

KACZYŃSKIM RZĄDZĄ
DUCHY PEERELU

DIABEŁ
WIECZNIE ŻYWY

MUNDIAL: TRENER
ZAKOPAŁ TALENTY

Kraków 11 grudnia 2022 nr 50 (3831)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Ile dziś znaczy Polska



Włącz Święta z RMF CLASSIC



Pobierz aplikację



Teraz gramy
tylko świąteczne przeboje
przez cały dzień!

**RMF
CLASSIC**

KS. ADAM

Boniecki: Co się jeszcze stanie

PEWNEGO DNIA DIABEŁ PRZYSZEDŁ NA ZIEMIĘ, aby pilnować swoich interesów. Diabeł wszystko wiedział i wszystko słyszał. I potem, kiedy wszystko zobaczył i wszystko usłyszał, wrócił do siebie, do otchłani, i tam zorganizował wielki bankiet. Pod koniec bankietu Diabeł się podniósł i wygłosił przemówienie: »Jest dobrze. Stale i wszędzie po trochu pożary oświecają ziemię. Jest dobrze. Ludzie zabawiają się w wojny jak wariaci. Jest dobrze. Pociągi wykołują się z łomotem, bo pełni ideałów chłopcy podkładają na szyny bomby, co powoduje oryginalną śmierć, śmierć bez spowiedzi albo spowiedź bez rozgrzeszenia. Jest dobrze...«.

I tak dalej. Choć ta stara piosenka Jacques'a Brela – „Le Diable (ça va)” – robi wrażenie, to jednak dziś ten obraz jest jeszcze straszniejszy, jeszcze bardziej diaboliczny. Jest straszniejszy, bo choć nasz glob staje się coraz mniej bezpieczny, to są ludzie, którzy robią wszystko, by uczynić go jeszcze bardziej zagrożonym, by przyspieszyć jego koniec lub przynajmniej koniec ludzkiej cywilizacji na nim. W piosence Brela zawarta jest ponura prawda o diaboliczności poczynań wielkich i potężnych ludzi sprawujących – a przecież nie robią tego samotnie – władzę. O złu i diable w dzisiejszym świecie pisze w tym numerze Artur Szporniak.

Są ludzie, zastępy ludzi, którzy zachodzą w głowę, co zrobić, by pokonać choroby, głód oraz egoistyczne odruchy tych, co myślą wyłącznie o sobie. Są też tacy, których interesuje własny interes, bez brania pod uwagę reszty świata. Dziś nie trzeba wielkiej wiedzy, żeby zdać sobie sprawę, iż w ten sposób zginiemy wszyscy. Dlatego jest to diabelskie.

Żyjemy w czasach, w których pojęcie „wojna sprawiedliwa” traci swój sens. Oczywiście, społeczeństwa napad-



nięte się bronią. Nie ma żadnej racji, dla której jakakolwiek społeczność miałaby się poddać i zgodzić na zagładę, i jednocześnie nie ma żadnej racji usprawiedliwiającej silniejszych w narzucaniu swej woli słabszym. Ukraina dziś stała się symbolem.

Może jednak – wszystko na to zdaje się wskazywać – ludzkość nigdy nie dojrzeje do globalnej solidarności. Zawsze znajdzie się człowiek czy znajdą się ludzie, dla których najważniejsze będą cele bezpośrednie, korzyści doraźne, których zainteresowanie nie będzie wychodziło poza ich własne interesy. Może ludzkość w swej większości, a może w całości, jest skazana na zagładę. Może instynkt władzy zawsze będzie brał górę nad troską o całą ludzkość, może zapewnienie dobrobytu sobie i niewielkiej grupie potrzebnych do tego osób zawsze będzie brało górę nad troską o całą ludzkość, a egoizm jest instynktem silniejszym od poczucia odpowiedzialności za całość. Wtedy żaden nacisk, żadna siła nie powstrzyma ludzi, którzy, zamknięci w dążeniu do zaspokojenia swoich egoistycznych celów, doprowadzą planetę Ziemię do zniszczenia. Może wysiłki tych, co ostrzegają przed konsekwencjami dotychczasowej beztroski, przed wycinaniem lasów, zatrutowaniem rzek, zaśmiecaniem morza, zatrutowaniem atmosfery, ostrzegają tych, którzy prą, nie zając sobie z tego sprawy, do własnej zagłady – są daremne.

A może nie są? Może po prostu źle rozumiemy historię ludzkości, błędnie z niej wnioskujemy o ludzkiej naturze. Píše o tym Kacper Pobłocki w tekście „Oducz się wszystkiego”, przy okazji ukazania się po polsku książki „Narodziny wszystkiego” Davida Graebera i Davida Wengrowa. Trwa walka o przetrwanie (człowieka na Ziemi). Walczących jest wielu, ich kwalifikacje są coraz lepsze. Nigdy nie wiadomo, co się jeszcze stanie. Wybór należy do nas. ©P



Moc czytania na Boże Narodzenie

Dziecko Boga w każdym z nas | Skąd przyszli pastuszkowie
Jak wierzyć we wcielenie | Boska matka po swojemu
Męskość wypchnięta z Kościoła | Kwaśny smak zimy
Opowieść wigilijna Radka Raka **oraz:**
Podłuchiwanie kaszalotów | Errata w żywocie świętego
Bliski Wschód: razem wbrew wojnie | Życie po Nike Jerzego Jarniewicza

**Podwójny, bożonarodzeniowy numer „Tygodnika Powszechnego”
w sprzedaży od środy 14 grudnia**



22 Z akademii do baru

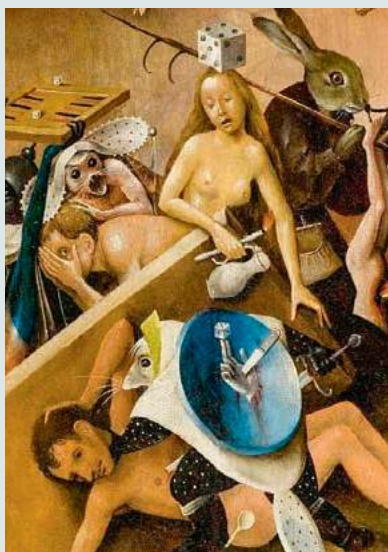
DAMIAN NOWICKI

Dzisiejsze uczelnie bywają połączeniem najgorszych cech korporacji i folwarku. Wyścigowi szczurów towarzyszy atmosfera, w której profesorowie traktują młodszych pracowników jak subiektów.

34 Bóg, diabeł i ludzki los

ARTUR SPORNIAK

Czy szatan jest nam potrzebny do zbawienia? Przekonajmy się.



81 Oducz się wszystkiego

KACPER POBŁOCKI
Było inaczej, niż sądzimy. Historia ludzkości to rozpadanie się wielkich obszarów kulturowych na coraz mniejsze jednostki. Gdy grupa osób decydowała się żyć inaczej, odłączała się. Zawsze mamy wybór.



26 Paralele z Peerelem

STEFAN SĘKOWSKI

System kształtowany za rządów PiS jest idealnie skrojony pod uprawianie polityki według założenia, że to nie instytucje są ważne, ale kadry. Dyktatura nam jednak nie grozi.



46 Zaczystka

PAWEŁ PIENIAŻEK Z UKRAINY

Na odzyskanych przez ukraińską armię ziemiach oddziały policji wyszukują dywersantów i kolaborantów, szukają pozostawionej broni i rozminowują drogi.



94 Zakopane talenty

MICHAŁ OKOŃSKI
Mentalność, zgodnie z którą „liczy się tylko wynik”, zabiła nie tylko naszą radość z gry. W przyszłości zabije też radość dziewczyn i chłopaków, którzy dopiero śnią o występach z orzelkiem na piersi.

6 Wirusowe zapalenie gospodarki
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Z akademii do baru
DAMIAN NOWICKI

26 Paralele z Peerelem
STEFAN SĘKOWSKI

29 Nóż na gardle
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
*Tysiące ludzi opuszczających więzienia
nie wie, jak wrócić do społeczeństwa*

■ ■ WIARA

34 Bóg, diabeł i ludzki los
ARTUR SPORNIK

38 Kobieto, pościel łóżko
MONIKA BIAŁKOWSKA
*o modlitewniku dla kobiet, który
przypomina listy Episkopatu*

40 Jak malować miłosierdzie
ROZMOWA Z O. TOMASZEM BIAŁKĄ,
TEOLOGEM: *W religii boimy się
grozy. Dlatego w projekcie malowania
dzisiaj Jezusa Miłosiernego odrzucono
najciekawszy obraz*

■ ■ ŚWIAT

46 Zaczystka
PAWEŁ PIENIAŻEK Z UKRAINY

49 Ojczyzna, rodzina, klub
DARIUSZ KAŁAN Z SARAJEWA:
*Państwa upadają albo zmieniają
granice, a klub FK Željo trwa odporny
na kaprysy historii*

52 Skoro trawy płyną
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z SALAMANKI
W HISZPANII opowiada historię Alego,
któremu udało się dotrzeć przez morze
do lepszego świata

TEMAT TYGODNIKA



12 Co o tym sądzi Warszawa
MAREK RABIJ

Głos Polski w świecie od dawna
nie brzmiał tak donośnie jak obecnie
i nie był równie uważnie słuchany.

**17 Wojna to wielka operacja
logistyczna**
ROZMOWA

Z MACIEJEM MATYSIAKIEM:
Czołg potrafi zużyć pół tony paliwa
na sto kilometrów, a haubica
dziennie ciężarówkę amunicji.

■ DODATKI ■

44 PARLAMENT EUROPEJSKI

65 WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

■ FELIETONY ■

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI

43 ZUZANNA RADZIK

92 OLGA DRENDA **93** PAWEŁ BRAVO

98 STANISŁAW MANCEWICZ

98 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

55 Przebudzenie Chińczyków
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
*o frustracji dużo głębszej niż
ta wywołana pandemią*

■ ■ HISTORIA

56 Jeszcze jeden polski grudzień
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK o tym, jak
zamordowanie sto lat temu prezydenta
Narutowicza groziło wybuchem
bratobójczych walk

■ ■ NAUKA

60 Dawca uniwersalny
ANNA BARTOSIK:
*Istnieją tak rzadkie grupy krwi, że
trafiają się u jednej osoby na milion.
Z myślą o nich próbuje się krew
hodować w laboratoriach*

62 Murem podzielona
ROZMOWA Z BIOLOGAMI,
PROF. RAFAŁEM KOWALCZYKIEM
I PROF. BOGDANEM JAROSZEWICZEM
o tym, jak płot graniczny szkodzi
przyrodzie

■ ■ KULTURA

81 Oducz się wszystkiego
KACPER POBŁOCKI

84 Nazwij to snem
DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *Duch Ukrainy,
Wernyhora, którego Juliusz Słowacki
zawłaszczył i uczynił zwiastunem
niepodległości Polski, został w Legnicy
wrócony swojej ojczyźnie. A we
Wrocławiu wszystkie duchy umarły*

87 Miesiąc dusz
ROZMOWA Z ESTOŃSKIM PISARZEM
ANDRUSEM KIVIRÄHKIEM

90 Twarz antybohatera
ANITA PIOTROWSKA o filmie „Nitram”

91 Między światami
LEKTOR o książce Jeremiego Przybory
„Wraz, czyli bez”

■ ■ ZMYŚŁY

94 Zakopane talenty
MICHAŁ OKOŃSKI

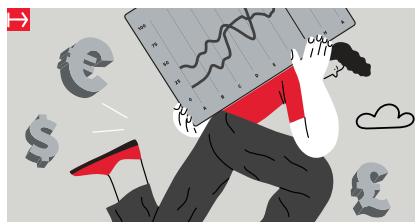
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Co obejrzeć w weekend

Dokument z festiwalu Watch Docs potrafi zmieniać świat,
a przynajmniej tych, którzy chcą go oglądać – ANITA PIOTROWSKA
polecia filmy i seriale na VOD | tygodnikpowszechny.pl/weekend

➔ Rosyjska ruletka

Kreml straszy i tropi „agentów zagranicznych”. Ale też ma
słodkie konfitury dla tych, którzy zechcą mu służyć
– ANNA ŁABUSZEWSKA | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka



Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY

Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ
TYGODNIA



WIRUSOWE ZAPALENIE SYSTEMU

Polska gospodarka hamuje. Dobra wiadomość:
wchodzimy w ten kryzys w niezłej kondycji.
Zła: ceny będą jeszcze rosnać.

MAREK RABIJ

WNAWALE HIOBOWYCH WIEŚCI ZE ŚWIA-
ta ekonomii łatwo było przeoczyć
ten news: Zakład Ubezpieczeń Społecznych
podał, że we wrześniu 2021 r. składki od-
prowadzało ponad 16,1 mln osób, z czego aż
milion – czyli 6,5 proc. – stanowili pracujący
w Polsce cudzoziemcy. Dzięki temu wskaź-
nik pokrycia bieżących wydatków wpływa-
mi ze składek sięgnął aż 85 proc. Pogłoski

o rychłej śmierci polskiego systemu ubezpie-
czeń społecznych, które tak chętnie rozpusz-
czają przeciwnicy jakiegokolwiek wpływu
państwa na gospodarkę, okazały się zatem
mocno przesadzone.

Jeszcze ważniejsze jest jednak to, że nasza
aktywność ekonomiczna od lat nie była na
tak wysokim poziomie. W ciągu roku liczba
biernych zawodowo mieszkańców Polski spa-

Warszawa,
listopad 2022 r.

dła o 0,7 proc. Wskaźnik bezrobocia w październiku wyniósł 5,1 proc. – równie niskiej liczby zarejestrowanych bezrobotnych nie mieliśmy od 32 lat, czyli od czasów poprzedzających reformy Leszka Balcerowicza. Gdyby spojrzeć na polski rynek pracy oczami metodologów Eurostatu, którzy za bezrobotnych uważają jedynie tych, którzy aktywnie szukają zatrudnienia, okazałoby się, że realna stopa bezrobocia w Polsce wynosi 2,6 proc. Uchodźcy z Ukrainy nie tylko nie zabrali Polakom miejsc pracy – oni wręcz rozkręcili naszą gospodarkę.

Na tym kończą się dobre wiadomości. Wprawdzie GUS podał właśnie, że w listopadzie inflacja zwolniła o pół punktu procentowego w porównaniu z październikiem, ale trudno się tym cieszyć. 17,4 proc. z listopadowego odczytu to wciąż bardzo dużo. Widać też, że inflacja, niczym wirus, zaczyna niszczyć żywiący ją organizm. Ekonomiści już od pewnego czasu spodziewali się, że w dławieniu drożyzny w polskich sklepach skuteczniejsza od Narodowego Banku Polskiego i jego podwyżki stóp procentowych okaże się sama drożyzna. Słowem, że ceny przestaną rosnąć po osiągnięciu pułapu, który przestanie być już nie tylko akceptowalny, ale po prostu dostępny dla wielu konsumentów. Obserwujemy właśnie początek tego procesu.

W trzecim kwartale 2022 r. produkt krajowy brutto Polski zwiększył się o 3,6 proc. w porównaniu z trzecim kwartałem poprzedniego roku (jeszcze w drugim kwartale 2022 r. PKB rosło w tempie 5,8 proc.). Głównym winowajcą jest inflacja, co widać w danych szczegółowych. Gdybyśmy bowiem rozebrali na drobne elementy owe 3,6 proc. wzrostu w trzecim kwartale, okazałoby się, że wkład konsumpcji krajowej w PKB spadł w tym czasie do zaledwie 0,5 punktu procentowego – z aż 3,6 punktów w drugim kwartale obecnego roku. To już nie hamowanie, ale raczej zderzenie ze ścianą.

Na początku przyszłego roku, kiedy wróci tymczasowo zawieszony VAT na paliwa, inflacja niemal na pewno przyspieszy do ok. 20 proc., co w kolejnych miesiącach zaprowadzi najpewniej polskie PKB w pobliże zerowej dynamiki. Większość ekonomistów nie spodziewa się wprowadzenia recesji, jednak grozi nam długotrwała i stosunkowo bolesna szorowanie brzuchem po gospodarczym dnie, które przełoży się na wyhamowanie wzrostu zarobków, a być może również na wyższe bezrobocie. Konsumenci będą wydawać coraz mniej, natomiast firmy, w obawie przed jeszcze głębszym spadkiem obrotów, powstrzymają się przed przerzucaniem kosztów na odbiorców, ale też nie będą mogły pozwolić sobie na hojne podwyżki, inwestycje czy zatrudnianie nowych ludzi. Po pewnym czasie inflacja spadnie do wartości jednocyfrowych, może nawet w okolicach 2,5 proc. zapisanych jako cel NBP – ale to niestety znaczy tylko tyle, że ceny pozostaną na obecnym, wysokim poziomie. ©

Alzheimer: krok w stronę terapii

BARTOSZ KABAŁA



DOTYCHCZAS NIE BYŁO MOŻLIWE Leczenie przyczynowe choroby Alzheimera, czyli najczęstszej formy otępienia. Samo łagodzenie objawów nie zatrzymuje postępu choroby, w której niszczenie struktur mózgu powoduje zanik pamięci i stopniową utratę funkcji poznawczych, prowadząc do całkowitej zależności pacjenta od opiekunów. Dowiedziano, że w tkance mózgowej osoby chorej gromadzą się nieprawidłowo zbudowane białka – amyloid beta oraz białko tau – i to one odpowiadają za wystąpienie i narastanie objawów. Te odkrycia stały się punktem wyjścia do opracowania terapii hamujących postęp choroby.

W „New England Journal of Medicine” opublikowano wyniki badania klinicznego dotyczącego jednej z takich terapii. Lecanemab to przeciwciało skierowane przeciwko rozpuszczalnym protrofibrilom amyloidu beta, czyli formie tego białka, która jest najbardziej toksyczna dla neuronów. Po 18 miesiącach obserwacji grupy prawie 900 pacjentów, u otrzymujących ten lek wykazano spowolnienie postępu choroby o 27 proc. Efekty oceniano na podstawie klinicznej skali otępienia. Choć różnica wyniosła zaledwie 0,45 w 18-punktowej skali, to lek oceniono jako bardzo obiecujący.

Jest to pierwszy preparat wykazujący pozytywny wpływ na funkcje poznawcze pacjentów z chorobą Alzheimera. Zarejestrowany przed rokiem w USA lek aduhelm znacząco zmniejsza złogi amyloidu beta w mózgu, ale nie wpływa na stan kliniczny chorych. Zawarte w preparacie przeciwciało, aducanumab, działa na mniej toksyczną dla mózgu formę białka, inną niż lecanemab. Ze względu na niewystarczające dane producent aduhelmu wycofał wniosek o jego rejestrację w Europie.

Podobne problemy ze skutecznością wykazał niedawno inny lek, gantenerumab. Dla niektórych naukowców wątpliwy stał się sam cel terapii – złogi amyloidu beta mogą być jednym ze skutków, a nie przyczyną choroby Alzheimera.

Kilka innych kwestii również studzi optymizm. Nowy lek wywołuje szereg skutków ubocznych, takich jak obrzęk mózgu i krwawienia śródczaszkowe. U 7 proc. badanych leczenie zostało przerwane ze względu na powikłania. Zaś sama terapia, jeśli zostanie dopuszczona, będzie kosztowna i trudna organizacyjnie. Pomimo tego, opisane badanie dowodzi, że możliwe jest znalezienie słabego punktu choroby – a to daje szansę na skuteczne leczenie w przyszłości. ©

Surowsze wyroki, wciąż bez resocjalizacji

PREZYDENT PODPISAŁ ustawę zaostrzającą kary za najcięższe przestępstwa. Pojawi się m.in. bezwzględne dożywocie dla sprawców trwale niebezpiecznych dla społeczeństwa, możliwe będzie też orzekanie wyroków do 30 lat (kara 25 lat zostanie zlikwidowana), np. za gwałt ze szczególnym okrucieństwem. Wydłużono również okres przedawnienia zbrodni zabójstwa – z 30 do 40 lat.

Nowelizacja kodeksu karnego zakłada fundamentalną zmianę w karaniu przestępstw drogowych. Kierowca złapany na jeździe po pijanemu straci samochód, jeśli w jego krwi znajdzie się co najmniej 1,5 promila alkoholu, nie-

zależnie od tego czy będzie sprawcą wypadku, czy nie.

Niektóre z tych zmian budzą kontrowersje. Z pozoru odpowiadają oczekiwaniom społecznym, jednak od lat wiadomo, że w Polsce problemem nie jest wysokość kar zapisanych w kodeksie, ale ślimaczące się procesy i (czasami) łaskawość sędziów. Odnowiony kodeks nie zmieni też najważniejszego problemu: polskie więzienia nie resocjalizują skazanych, a wielu z nich po wyjściu na wolność nie wraca do społeczeństwa. Właśnie dlatego przeciwko nowelizacji protestuje Naczelna Rada Adwokacka, uznając ją za przejaw populizmu cofającego nas do czasów PRL i zauważając, że oprócz surowszych kar za najcięższe zbrodnie, podwyższono je przy okazji za wiele innych przestępstw.

© MAREK KĘSKRAWIEC

Polska z perspektywy Rzecznika

MARCIN WIĄCEK, rzecznik praw obywatelskich, przedstawił w ubiegłym tygodniu sprawozdanie z działalności za 2021 r. To równocześnie przegląd najważniejszych wciąż nierozwiązanych problemów społecznych. Czytamy w nim:

■ *O opiece psychiatrycznej dzieci i młodzieży* – „Od lat jest niedoinwestowana i marginalizowana. Brak odpowiedniego wsparcia dla dzieci będących w sytuacji kryzysu psychicznego przyczynia się do tego, że Polska znajduje się w niechlubnej czołówce państw w zakresie liczby samobójstw wśród dzieci i młodzieży”.

■ *O uchodźcach przebywających na granicy koło Usnarza Górnego* – „Warunki, w których przebywali cudzoziemcy oraz fakt, iż odmawiało się im możliwości realizacji najbardziej podstawowych, fizjologicznych potrzeb oraz dostępu do opieki lekarskiej, prawnej i procedury uchodźczej, nosił znamiona nieludzkiego i poniżającego traktowania”.

■ *O kobietach* – „Pomimo prawnych gwarancji równego traktowania również w odniesieniu do wynagradzania, kobiety nadal zarabiają kilkanaście procent mniej niż mężczyźni. Na przestrzeni lat sytuacja ta nie tylko nie uległa poprawie, ale nawet się pogorszyła”.

■ *O wykluczonych komunikacyjnie* – „Brak publicznych połączeń sprawia, że uwięzieni w domach pozostają seniorzy, osoby z niepełnosprawnościami i ich opiekunowie, a dzieci mają ograniczony dostęp do edukacji”.

Prezentując raport Marcin Wiącek ocenił, że nawet 20-procentowy wzrost liczby wniosków składanych do Biura RPO w latach 2020-21 był związany głównie ze stanem epidemii. Zwrócił też uwagę na grupy najbardziej zagrożone zwiększającymi się kosztami życia, m.in. opiekunów osób z niepełnosprawnościami i ich niskie świadczenia pielęgnacyjne: „Wynoszą one dziś niecałe 2200 zł. Co więcej, opiekun – aby otrzymywać to świadczenie – musi zrezygnować z pracy, nie może dorabiać nawet w niewielkim zakresie. Taka sytuacja pogłębia istotnie stan wykluczenia społecznego”.

© ANNA GOC

KRAJ W SKRÓCIE

KARTOFEL

Niemiecka minister obrony ujawniła prasie szczegóły poufnych negocjacji z Polską w sprawie wyrzutki rakiet Patriot. Skandal, ale zarazem dobry pretekst dla PiS, by nie przyjmować pomocy z tego wrzyna kierunku i podrzucić gorącego kartofla Ukrainie. I tak wiadomo, że NATO się nie zgodzi.

PĄTNIK

Za kościelny grunt wart 4 mln zł Mateusz Morawiecki zapłacił 700 tys. zł. Teraz się okazuje, że ks. Sławomir Żarski (na zdjęciu), proboszcz sprzedający w 2002 r. 15 hektarów bankierowi, to nie tylko generał awansowany przez prezydenta Dudę, ale zarazem były agent SB o pseudonimie „Pątnik”. Ciekawe, czy zyski z tej transakcji parzą po nocach sumienie premiera RP.



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

BEZKARNOŚĆ

Sejm uniemożliwił ściganie przestępstw związanych z organizacją wyborów kopertowych w 2020 r. Niby chodzi o przekazywanie spisów wyborczych Poczcie Polskiej przez samorządowców, ale tak naprawdę odetchnąć z ulgą mogą przede wszystkim podlegający do tego czynu: Mateusz Morawiecki oraz Jacek Sasin. Gratulujemy.

TELEWYBORY

Zamiast 2 mld zł, TVP i Polskie Radio mają dostać w ramach tzw. rekompensaty abonamentowej 2,7 mld zł. Jako że to rok wyborczy, możemy się spodziewać, iż dodatkowe 700 mln pójdzie na jeszcze więcej jedynie słusznej prawdy. Dziękujemy.

Uczę, nie egzaminuję



JACEK TARAN

TEGOROCZNI MATURZYŚCI BĘDĄ MUSIELI ZMIERZYĆ SIĘ ze zreformowaną maturą. Największe zmiany dotyczą egzaminu z języka polskiego. Rozszerzono listę lektur, wydłużono wypracowanie, powrócił zawieszony na czas pandemii egzamin ustny. Coraz więcej polonistów deklaruje, że zrezygnuje z udziału w komisjach egzaminacyjnych.

Bunt rozkręca się po manifestie krakowskiego polonisty Przemysława Rojka, który wymyślił hasło „Uczę. Kocham. Nie egzaminuję”. Według niego nowe zasady tylko pozornie sprzyjają obiektywizacji oceny. – Jesteśmy bezradni – mówi Rojek „Tygodnikowi”. – Nie wiem, jak uczyć, żeby według nowych kryteriów uczniowie zdali maturę z jak najlepszymi wynikami. Egzaminatorzy dostali zbyt duży zakres uznaniowości, co może prowadzić do niesprawiedliwych ocen. W długim tekście łatwo popełnić drobne błędy językowe, które według tabel i przeliczników rekomendowanych przez CKE mogą obniżyć ocenę dobrej merytorycznie pracy. Doprowadzi to do spłaszczenia wyników na mocno przeciętnym poziomie.

Poloniści uważają też, że egzamin wykaże jeszcze większe różnice pomiędzy wielkimi miastami a szkołami w mniejszych miejscowościach. Wynika to nie tylko ze słabszego dostępu do korepetycji. Nauczanie zdalne w małych ośrodkach okazało się o wiele mniej efektywne niż w metropoliach. To wszystko przełoży się na wyniki najbliższych matur. © JACEK TARAN

Zarzuty z Pegasusem w tle

ŚLEDZCY ZE SZCZECINA wystąpili do Sądu Najwyższego o uchylenie immunitetu warszawskim prokuratorom Ewie Wrzosek i Małgorzacie M. (którą już wcześniej odwołano z funkcji zastępcy prokuratora rejonowego). Zarzuty dotyczą bezprawnego przekazania informacji z postępowań przeciw dwóm warszawskim kierowcom autobusów miejskich, podejrzanym o jazdę po narkotykach. Zdarzyło się to podczas kampanii prezydenckiej w 2020 r., w której startował Rafał Trzaskowski, a o dane miał się wystarczyć jego podwładny Michał D., odpowiedzialny za zarządzanie kryzysowe w stołecznym magistracie, zarazem były szef tamtejszej policji. Z wiadomości tekstowych opublikowanych przez śledczych wynika, że cała trójka była w familiarnych stosunkach, a Michał D. zwracał się do prokurator M. per „Małgos”.

W sprawie są też wątpliwości. Gabinet prokurator Wrzosek przeszukano pod jej nieobecność (zabrano dwa komputery i pendrive’a), a od niemal roku wiadomo, że jej telefon był inwigilowany przez system Pegasus. Ewa Wrzosek sugeruje, że mogło dojść do manipulacji treściami w jej telefonie. © MAREK KĘSKRAWIEC



MARKUS SCHREIBER / AP / EAST NEWS

BIEG ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA – tradycyjna impreza organizowana od kilkunastu lat w drugą niedzielę Adwentu w niemieckim miasteczku Michendorf (powiat Poczdam-Środkowa Marchia, na zachód od Berlina), podczas której uczestnicy biegają w strojach mikołajowych – odbył się 4 grudnia po raz pierwszy po dwuletniej pandemicznej przerwie. Pobięło ponad 900 osób w różnym wieku, od sześciu lat wżwyż, które mogły wybrać dla siebie dystans 2,5 km, 5 km lub też 10,5 km. Nagrodą były czekoladowe mikołaje. © WP / RBB

Południowa Afryka: kłopoty z prezydentami

WOJCIECH JAGIELSKI



ODKĄD W RPA POŻEGNANO SIĘ Z APARTHEIDEM, żaden przywódca kraju nie dotrwał do końca przysługującej mu konstytucyjną prezydenturę. Nelson Mandela – pierwszy czarnoskóry prezydent, który objął władzę w 1994 r. po pierwszych wolnych wyborach – ustąpił już po pierwszej kadencji, w 1999 r. „Pora oddać władzę młodemu”, oświadczył 80-letni wówczas Mandela. Jego następca, Thabo Mbeki – polityk kostyczny, zapatrzony w brytyjskich torysów – został w 2008 r., tuż przed końcem drugiej kadencji, odsunięty od władzy. Stracił ją wskutek pałacowego przewrotu Jacoba Zuma, trybuna ludowego, któremu Mbeki próbował udaremnić sukcesję.

Zuma okazał się przywódcą fatalnym i wyjątkowo pazernym na wynikające z władzy przywileje. Za jego rządów (2009-17) korupcja stała się narodową plagą. Przed końcem drugiej kadencji od władzy odsunęli go partyjni towarzysze, obawiając się, że obciążeni jego hipoteką przegrają wybory. Przywódcą spisku był Cyril Ramaphosa, niegdyśjszy przywódca związkowy i ulubieniec Mandeli (poko-

nany wcześniej przez Mbeki w walce o władzę, zajął się interesami i zbił milionowy majątek). Obejmując w 2018 r. prezydenturę, obiecywał wydać wojnę korupcji i zająć się fachowo gospodarką.

Na niespełna miesiąc przed partyjnym zjazdem, na którym miał zostać namaszczony na drugą prezydencką kadencję, Ramaphosa sam stał się bohaterem skandalu, który może pozbawić go urzędu. W czerwcu był szef wywiadu (i sympatyk Zuma) ogłosił, iż w lutym 2020 r. podczas włamania na farmę Ramaphosy złodzieje ukradli prawie 4 mln dolarów (Ramaphosa twierdzi, że tylko nieco ponad pół miliona), które trzymał w gotówce w kanapie, a których nie zgłosił do urzędu skarbowego. Specjalna komisja parlamentarna orzekła, że Ramaphosa mógł złamać konstytucję.

Teraz opozycja żąda impeachmentu; partyjni konkurenci Ramaphosy także chcą, by ustąpił. Do cierpliwości namawiają prezydenta tylko jego towarzysze, przekonując, że jeśli miałby wycofać się z polityki, powinien wpięrować przeprowadzić sukcesję i wynieść do władzy któregoś ze swoich sprzymierzeńców. © P

Dziwne zbiegi okoliczności

OD POCZĄTKU rosyjskiej inwazji na Ukrainę Białoruś odgrywa ważną rolę jako zaplecze dla armii agresora. Alaksandr Łukaszenka z jednej strony zapewnia Kreml o lojalności, z drugiej stwarza wrażenie, że nie jest zaangażowany w konflikt. 3 grudnia w Mińsku gościł minister obrony Rosji; skąpy komunikat po rozmowach mówił o podpisaniu protokołu do umowy o zapewnieniu bezpieczeństwa regionalnego, co zapewne oznacza dalsze używanie przez Rosję terytorium Białorusi do uderzeń na Ukrainę. Eksperci uważają włączenie się białoruskiej armii do działań wojennych za mało prawdopodobne, natomiast może zostać rozszerzone zaplecze szkoleniowe dla rosyjskich żołnierzy na terenie Białorusi i jej wsparcie dla armii sojusznika w sprzecz.

Białoruś znalazła się w centrum zainteresowania także w związku z nagłą śmiercią 64-letniego Władimira Makieja, bliskiego współpracownika Łukaszenki, szefa MSZ, a wcześniej administracji prezydenta. Zmarły był uważany za jedyne w otoczeniu Łukaszenki zwolennika niezrywania kontaktów z Zachodem. Jego zgon stał się powodem spekulacji medialnych: sugerowano, że został otruty. Dziennikarze śledczy z grupy Bellingcat zapowiedzieli zbadać „dziwnych zbiegów okoliczności” związanych z tą śmiercią.

Na granicy życia i śmierci znaleźli się natomiast w ubiegłym tygodniu więźni opozycjoniści: Maryja Kalesnikawa (na zdjęciu), była operowana w szpitalu w Homlu; przyczyną nagłej hospitalizacji nie podano, nie dopuszczono też członków jej rodziny, Mikołaj Statkiewicz (trafił do więziennego szpitala z zapaleniem płuc po dwukrotnym zakażeniu covidem). Więźniowie polityczni są ciągle poddawani represjom, a stan ich zdrowia nie niepokoi władz. © ANNA ŁABUSZEWSKA



STRINGER / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Wierzących portret własny

EDWARD AUGUSTYN



POLSKI KATOLIK CENI SOBIE TRADYCYJNE WARTOŚCI, ale chce pozostać w Unii Europejskiej. Autorytetem jest dla niego papież Franciszek i Jan Paweł II, ale nie biskupi. Zachowuje krytycyzm wobec księży, ale nie wobec Kościoła, który uważa za wspólnotę jednoczącą i moralny drogowskaz. Ochrona przyrody to dla niego Boży nakaz – przykazaniem „nie zabijaj” obejmuje także zwierzęta. Ekologów lubi, chociaż nie wierzy w ich bezinteresowność.

Taki portret rysuje się z badań przeprowadzonych przez pracownię ARC, którym poddano „najwerniejszych z wiernych” – osoby deklarujące się jako głęboko wierzące i praktykujące (ich reprezentatywną próbę, pod względem płci, wieku, wykształcenia i zamieszkania, stworzono na podstawie danych Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego). Wyniki zaprezentowano 3 grudnia na międzynarodowej konferencji „Creatio continua”, zorganizowanej przez Światowy Ruch Katolików na rzecz Ochrony Środowiska i Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie.

Jest w tych badaniach wiele oczywistości i kilka zaskoczeń. Największym – wysoka deklarowana świadomość ekologiczna, zwłaszcza osób starszych. Aż 93 proc. katolików uważa ochronę środowiska za obowiązek moralny i zapewnia, że dobrze się z niego wywiązuje. Uwierzyć trudno.

©© EDWARD AUGUSTYN

Więcej na stronie: www.powszech.net/badanie

Kościół to nie Chrystus

NA PORTALU WIEŻ.PL teolog ks. Andrzej Draguła opublikował komentarz do programu duszpasterskiego na rok 2022/23, firmowanego przez episkopat pod hasłem „Wierzę w Kościół Chrystusowy”. Zatyłował go: „(Nie) wierzę w Kościół”.

To skierowana do czytelników prowokacja zwracająca uwagę na to, o czym autorzy programu zapomnieli: Kościół nie jest takim samym przedmiotem wiary jak Bóg. Tę różnicę ukazują łaciński oryginał Credo, w którym wbrew polskiemu przekładowi w miejscu, gdzie mowa o Kościele, nie ma przyimka „in” – „w”. „Wierzmy w Kościół, przez Kościół, dzięki Kościołowi, a także wierzymy temu, co Kościół głosi w odniesieniu do naszego zbawienia. Ale Kościół – choć jest Mistycznym Ciałem Chrystusa – nie jest samym Chrystusem” – przypomina ks. Draguła.

©© ASK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SZAFARKI

Nabór kandydatek na nadzwyczajne szafarki komunii ogłosiła w parafiach, jako pierwsza w Polsce, archidiecezja łódzka. Muszą one mieć ukończony 25. rok życia, wykazywać się „wzorowym życiem moralnym, pobożnością”, powinny też posiadać wiedzę teologiczną.

ŚWIECKI PREFEKT

Maximino Caballero Ledo został prefektem Sekretariatu ds. Ekonomicznych Stolicy Apostolskiej. Zastąpił ks. Juana Antonia Guerrera Alvesa SJ, który zrezygnował ze stanowiska z powodów osobistych. Nowy świecki prefekt ukończył m.in. IESE Business School w Barcelonie, prowadzoną przez Opus Dei.

PO MSZY

Modlitwę do Michała Archanioła należy odmawiać po mszy, a nie przed jej zakończeniem – zaleca komisja liturgiczna diecezji warszawsko-praskiej. Dodawanie innych modlitw podczas mszy może sugerować wiernym, że w trakcie celebracji mszalnej czegoś brakuje – wyjaśniają liturgiści.

W STRONĘ ZACHODU

Niezależny od patriarchatu moskiewskiego Prawosławny Kościół Ukrainy oraz Ukraiński Kościół Greckokatolicki postanowiły wraz z władzami obwodu lwowskiego obchodzić Boże Narodzenie 25 grudnia, czyli zgodnie z kalendarzem gregoriańskim, a nie juliańskim. Podobne decyzje rozważane są w innych regionach Ukrainy.



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

KS. PIOTR STUDNICKI,
KIEROWNIK BIURA DELEGATA KEP
DS. OCHRONY DZIECI I MŁODZIEŻY:

Zadanie do odrobienia



JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

ARTUR SPORNIAK:
„Rzeczpospolita” opublikowała historię ks. Eugenisza Surgenta, który w latach 70. XX w. wykorzystał seksualnie wielu chłopców w kilku

diecezjach. Już w niedzielę w parafiach, w których pracował, odczytano komunikat z propozycją pomocy dla ofiar.

KS. PIOTR STUDNICKI: Skontaktowałem się z diecezjalnymi delegatami ds. ochrony dzieci i młodzieży i uznaliśmy, że taka informacja jest potrzebna. Komunikat odczytano w parafiach diecezji bielsko-żywieckiej, koszański-kołobrzeszkiej i pelplińskiej. Natomiast odnośnie do dziewczynek skrzywdzonych w Jeleśni w diecezji bielsko-żywieckiej przez ks. Józefa Loranca, o którym „Rzeczpospolita” napisała później, komunikat będzie odczytany w najbliższą niedzielę.

Wiemy, że ofiary ks. Surgenta prawdopodobnie były także w parafii w Wieliczce i na Salwatorze w Krakowie.

Krakowski delegat przekazał propozycję tego pomysłu swoim przełożonym, ale z tego, co wiem, inicjatywa nie została w tej archidiecezji podjęta.

Jak można dzisiaj ocenić postępowanie ówczesnego arcybiskupa krakowskiego kard. Karola Wojtyły?

W przypadkach obu sprawców zastosowano ówczesne prawo kanoniczne. To o tyle zaskakujące, że po Soborze Watykańskim II powszechna była tendencja, by upominać, ale odstępować od karania. Oczywiście dostrzec można brak świadomości skutków krzywdy wykorzystania seksualnego. Ta świadomość rodziła się w Kościele i społeczeństwie z czasem. Pierwsze badania psychologiczne na ten temat pochodzą z połowy lat 70.

Jak wtedy traktowano w Kościele pedofilię?

Jako niemoralne czy przestępcze zachowanie dorosłego. Natomiast perspektywa pomocy ofiarom wtedy nie istniała. To zadanie do odrobienia dzisiaj. Dlatego jeszcze raz apeluję: jeżeli ktoś został wtedy skrzywdzony i potrzebuje pomocy, np. wsparcia psychoterapeutycznego, niech zgłosi się do Fundacji Świętego Józefa. Dane kontaktowe znajdzie na stronie www.fs.org.pl.

©©

KULTURA W SKRÓCIE

POLSKIE RZEMIOSŁO

Londyńska wystawa „Młoda Polska: Ruch Odrodzenia Sztuki i Rzemiosł, 1890-1918” otrzymała Curatorial Exhibition Prize. To wyróżnienie przyznawane przez Association for Art History – najważniejsze stowarzyszenie historyków sztuki w Wielkiej Brytanii. Mimo pandemicznych ograniczeń wystawę odwiedziło w William Morris Gallery ponad 30 tys. osób.

DOBRY WYDAWCA

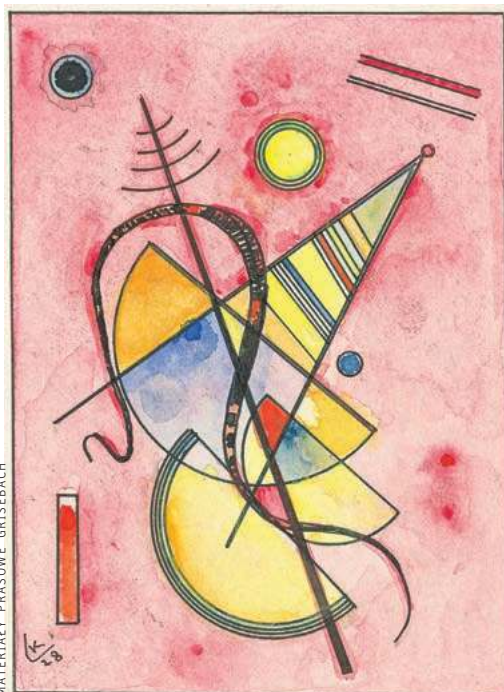
Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie zostało laureatem Pióra Fredry za książkę „Włodzimierz Puchalski. Domowroty. Poviernienia. Homing”. To jedno z najważniejszych edytorskich wyróżnień, przyznawane wydawcom książek najatrakcyjniejszych pod względem graficznym i artystycznym. Nasz tekst o książce i jej bohaterze na stronie powszech.net/puchalski.

ROMSKA PAMIĘĆ

Ekspozycja prac Małgorzaty Mirgi-Tas pt. „Wędrujące obrazy” jest już dostępna dla zwiedzających w Krakowie. To pierwsza wystawa artystki po sukcesie na tegorocznym Biennale Sztuki w Wenecji. Wystawa w Galerii MCK prezentuje uznany przez międzynarodową publiczność cykl „Wylot z Egiptu” oraz serię wielkoformatowych tkanin „Herstorie”. Na ekspozycji znalazły się również nowe prace, dotyczące historii nowohuckich Romów.

RDC **DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chłasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM



MATERIAŁY PRASOWE GRISEBACH

UTRACONA AKWRELA. Berliński dom aukcyjny Grisebach za 310 tys. euro sprzedał akwarelę Wassilego Kandinskiego z 1928 r. Dzieło, należące do Muzeum Narodowego w Warszawie, skradziono w 1984 r. Polskie ministerstwo kultury apelowało o jego wycofanie z aukcji. Nieskutecznie. Jednak oburzenie, z jakim spotkała się sprzedaż akwareli, sprawiło, że Grisebach wstrzymał realizację transakcji. Dlaczego doszło do aukcji? Jednym z powodów był brak wpisu o tym obiekcie w bazach dzieł utraconych oraz w Interpolu. Już w 1984 r. akwarelę sprzedano na aukcji w londyńskim Sotheby's, a od 1988 r. znajdowała się w ofercie monachijskiej Galerie Thomas. Nikt nie zgłaszał do niej roszczeń. Co więcej, niemiecki kodeks cywilny dopuszcza tzw. nabycie w dobrej wierze oraz uznaje przedawnienie roszczeń po 30 latach od wystąpienia szkody. Przykład akwareli Kandinskiego pokazuje trudności, jakie sprawia obowiązujące obecnie prawo.

© PIOTR KOSIEWSKI

Komputery nauczyły się knuć

„STRATEGO” wymaga długoterminowego planowania w obliczu niepełnych danych – gracze nie wiedzą, jakie figury przeciwnik ustawił na planszy. Gra zawiera 10^{534} możliwych stanów. Program DeepNash firmy DeepMind rozegrał sam ze sobą 5,5 mld gier, by opracować optymalne strategie. W rezultacie w rankingach jest trzecim najlepszym graczem ostatnich 20 lat.

Gra „Diplomacy” symuluje knowania wielkich mocarstw w obliczu wojny. Wymaga przewidywania działań i motywacji kilku przeciwników, negocjowania i współpracy. Stworzona przez Meta AI Cícero gra już lepiej niż 90 proc. ludzi.

Komputery z podobnymi problemami będą musiały radzić sobie na co dzień. Samosterujący samochód musi przewidywać zachowania innych pojazdów, nie znając planów kierujących nimi „graczy”. Gry mają zbliżyć nas do stworzenia maszyn, które odnajdą się w chaosie świata ludzi. Oby tylko nie wszedł im w krew nawyk wygrywania z nami wszystkimi środkami.

© MICHAŁ GIKOWSKI

Homo naledi używał ognia?

GDY ZESPÓŁ LEE BERGERA (na zdjęciu) ogłosił w 2013 r. odkrycie *Homo naledi* – dziwnego gatunku człowieka, który poniekąd bardziej przypomina małpy niż nas – jedną z zagadek było to, w jaki sposób te istoty dostały się dziesiątki metrów w głąb ciemnej i ciasnej Jaskini Wschodzącej Gwiazdy w RPA. W minionym tygodniu podczas wykładu w Waszyngtonie Berger ogłosił prawdopodobne wyjaśnienie tej zagadki – w wielu miejscach w jaskini znaleziono ślady ognia i zwęglonych kości zwierząt. Nie jest jasne, jak dawno te ślady powstały – badaczom nie udało się ich jeszcze precyzyjnie datować.

Znane skamieniałości *Homo naledi* liczą 236-335 tys. lat. Nasi przodkowie zaczęli używać ognia setki tysięcy lat wcześniej. Ale *Homo naledi*, o mózгах niewiele większych niż u szympanсів, siedzą na innej niż nasza gałęzi ewolucyjnej. Ogłoszone przez Bergera odkrycie pozwala w nowym świetle spojrzeć na te hipotezy, które mówią, że stworzyli oni bogatą kulturę – być może mieli nawet swoje rytuały.

© P. ŁK



JAMES OATWAY / REUTERS / FORUM

CO O TYM SĄDZI WARSZAWA

Głos Polski w świecie od dawna nie brzmiał tak donośnie
jak obecnie i nie był równie uważnie słuchany.
Ale opowieści o naszej mocarstwowej pozycji
lepiej traktować jak zaklęcia.

MAREK RABIJ



TO NAGRANIE PODBIJA OSTATNIO rosyjski internet, mimo że pochodzi sprzed dwóch lat, a wykonano je podczas jednej z tych konferencji naukowych, po których ślady zostają zwykle w okolicznościowej, niskonakładowej publikacji.

Doktor nauk technicznych Bułat Nigmatulin, członek Rady Państwa i dyrektor generalny rosyjskiego Instytutu Problemów Energetyki, prosi o włączenie pokaz slajdów. Następnie okrasza kolejne obrazki sardonicznym komentarzem – szokującym dla słuchacza przyzwyczajonego do narracji kremlofskich mediów, pokazujących Polskę jako kraj nieudaczników cierpiących na manię wielkości. „Będę porównywać do Polski. Ciągle w telewizji nadają, jaka Polska jest zła, taka i siaka, a Polska w ostatnich 30 latach zwiększyła swoje PKB dwuipółkrotnie” – grzmi z mównicy Nigmatulin i serwuje

skonfundowanym słuchaczom dane, z których wynika, że w tym samym czasie gospodarka Rosji urosła tylko o 20 proc.

Potem jest już tylko gorzej. Dla Rosji – bo kolejne slajdy ukazują przepaść, jaka dzieli ją od Polski niemal pod każdym względem, poczynając od stopy zwrotu z inwestowanego kapitału, przez udział klasy średniej w społeczeństwie, aż po edukację i wydatki na pomoc społeczną. „Przewagę” swojej ojczyzny Nigmatulin dostrzega jedynie w liczbie miliardów, tempie, z jakim ludzie wywożą z kraju kapitał, oraz w zapaści demograficznej, jakiej doświadcza Rosja od upadku Związku Radzieckiego. Konkluzja? Polska dokonuje skoku modernizacyjnego, katastrofa zagrożenia natomiast „rosyjskiej cywilizacji”.

„Mielicie rację”

Nagranie można traktować anegdotycznie, ale jest ono też ilustracją coraz wyraź-

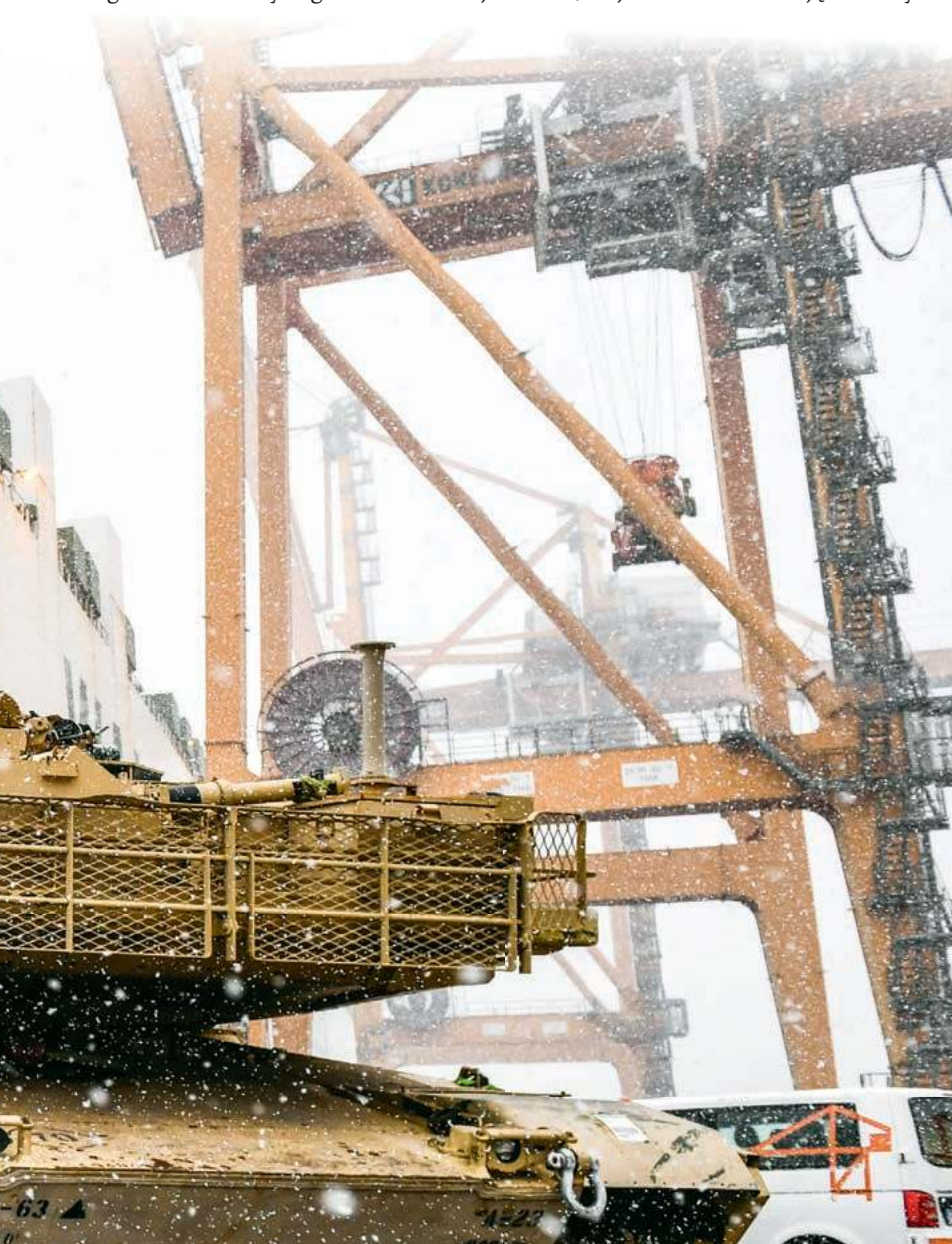
niejszego trendu. Od 24 lutego – dnia ponownej rosyjskiej inwazji – oczy świata zwrócone są nie tylko na Ukrainę, ale również na jej sąsiadów. Przy tej okazji upadają też ostatnie postzimnowojenne stereotypy, które pozwalały traktować Polskę jak młodszą i mniej rozgarniętą siostrę państw Europy Zachodniej.

W ciągu dziewięciu miesięcy udało się unieważnić większość klisz, przez które oglądano nas z zagranicy. Kraj ludzi niechętnych uchodźcom, który broił się przed muzułmańskimi migrantami, serdecznie ugościł u siebie ponad 1,4 mln Ukraińców, pomagając niemal 7 mln kolejnych przedostać się dalej na zachód. Polityczne elity, które rzekomo nie umieją uwolnić się od brzemienia historii, prowadzą wzorową współpracę z Ukraińcami. Wreszcie słynna *polnische Wirtschaft*, która okazuje się już szóstą największą gospodarką Europy z produktem krajowym brutto wyższym od PKB Czech, Słowacji, Ukrainy i Białorusi razem wziętych. Oraz z nowoczesną infrastrukturą, pozwalającą szybko przerzucić na wschód tysiące ton broni, żywności, paliwa i innej pomocy dla walczącego sąsiada [o tym więcej w wywiadzie na kolejnych stronach – red.].

Gdyby na siłę próbować uszeregować ostatnie polskie zdobycze wizerunkowe, na czoło wysunie się jednak tempo, w jakim rozpadł się mit o rusofobii rządzącej naszą polityką zagraniczną. Napadając na Ukrainę, Kreml mimo chodem potwierdził obawy i oceny płynące od lat nie tylko z Warszawy, ale także w Wilna, Rygi i Tallina. W połowie listopada tego roku przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble w rozmowie z dziennikiem „Handelsblatt” przyznał, że jest zły na siebie za to, że nie dostrzegał zagrożenia, jakie stwarza Rosja. „Nie chcieliśmy tego widzieć. A mogłem przyjrzeć się temu, co Rosja robiła w Czeczenii w 2008 r., albo posłuchać ówczesnego prezydenta Polski Lecha Kaczyńskiego” – zaznaczył.

W podobnym tonie o polskich obawach wobec wschodniego sąsiada ➔

Po agresji Rosji na Ukrainę USA zwiększyły liczebność swoich sił w Polsce, czego od dawna domagała się Warszawa. Obecnie przebywa u nas blisko 5 tys. amerykańskich żołnierzy. Na zdjęciu: rozładunek czołgów US Army w porcie w Gdyni.
4 grudnia 2022 r.



ADAM WARSZAWA / PAP

→ mówiła w kwietniu ówczesna brytyjska minister spraw zagranicznych Liz Truss, podkreślając, że „Polska zawsze miała klarowne spojrzenie na Rosję”. Nawet centroprawicowy francuski „Le Figaro” ze zrozumieniem pisze teraz o potrzebie głośniejszego wyrażania własnych interesów na arenie unijnej przez „kraje Europy Środkowej, które od początku miały rację w kwestii oceny rosyjskiego zagrożenia”.

Mądry Fin po szkodzie

Nagła korekta oceny planów i działań Moskwy na zachodzie Europy przekłada się na konkretne, zbieżne z polskim interesem decyzje. W opisie stosunków z Rosją, jaki pojawił się niedawno na stronie niemieckiego MSZ, czytamy, że „w obecnych okolicznościach nie jest już możliwe kontynuowanie wymiany i współpracy jak wcześniej”. To oczywista uwaga także na temat przyszłości gazociągów Nord Stream, w których Polska od po-

czątku widziała bardziej surowcowy strażak niż narzędzie biznesowe.

W Finlandii premier Sanna Marin przyznaje, że panujący do niedawna polityczny konsensus w kwestii oceny surowcowych planów Moskwy opierał się na błędnych założeniach. Budowę bałtyckich gazociągów postrzegano w Helsinkach bardziej jako realizację planów Berlina niż Moskwy, a obawy co do tej inwestycji dotyczyły raczej ekologii niż geopolityki. Dziś Marin mówi, że „z Rosją należy zerwać wszelkie więzi”, a „nasi przyjaciele z Polski i krajów bałtyckich mieli rację”. Ale od wiosny Helsinki zmagają się dokładnie z tym, przed czym ostrzegała Warszawa.

Fiński wniosek o akcesję do NATO rozwszczęził Rosję, która w maju odcięła Finlandii dostawy gazu. Większość Finów do ogrzewania domów używa elektryczności, zakręcenie rosyjskich kurków uderza jednak w przemysł, zaopatrywany

dotąd niemal wyłącznie w surowiec ze wschodu. Helsinki zapowiadają, że luki uda się wypełnić dostawami z innych źródeł, głównie gazem LNG, który ma docierać do budowanego właśnie terminala oraz przez oddany niedawno do użytku łącznik z Estonią, którym dopłynie surowiec importowany z Polski. W ten sposób projekt uniezależnienia się od rosyjskiego gazu, który udało się zrealizować Polsce poprzez budowę gazoportu w Świnoujściu i Baltic Pipe, stał się także elementem wzmacniającym bezpieczeństwa energetyczne sąsiadów.

Czy Polska może w najbliższych latach odgrywać jeszcze większą rolę na arenie energetycznej? Piotr Woźniak, były minister gospodarki i prezes państwowej spółki PGNiG, głównego polskiego dostawcy gazu ziemnego, na tak postawione pytanie odpowiada zdecydowanie: „nie”.

– W przypadku Baltic Pipe i gazoportu wykazaliśmy się geopolityczną wyobraźnią, której ewidentnie brakło niektórym krajom naszego regionu. Ale na tym kończą się nam obecnie atuty – mówi Woźniak. – W europejskim systemie dostaw energii elektrycznej coraz rzadziej jesteśmy tymi, którzy w trudnym momencie mogą poratować sąsiada mocami wytwórczymi, bo sami coraz częściej importujemy prąd, np. ze Słowacji, która dysponuje nadwyżkami. Naszą największą słabością jest jednak fatalny stan sieci przesyłowej, która od lat nie może się doczekać modernizacji. Np. połączenie z najbliższą ukraińską elektrownią atomową istnieje tylko w przemówieniach premiera Morawieckiego.

Sen o potędze

Wysokie noty dla Polski sprawiły jednak, że w debacie publicznej słychać dziś nowy ton. Nasz kraj jawi się w nim jako kandydat na regionalne mocarstwo, głównego rozgrywającego w tej części Europy, który miałby zastąpić w tej roli pogubione Niemcy. W jakim stopniu stymulują taką narrację rządowi spin doktorzy, próbując przypisać efekty wysiłków trzech ostatnich dekad wyłącznie rządowi PiS, a na ile jest ona po prostu odreagowaniem kompleksów rodem z PRL?

– Zbliżenie Polski z Ukrainą i możliwość jego dalszego rozwoju porównalby do potencjalnego przewrócenia stolika, przy którym ustalano dotychczas reguły gry w Europie – mówi Wojciech Konończuk, szef Ośrodka Studiów



SANKCJE sprawiły też, że w wielu aspektach irańczy musieli liczyć tylko na siebie. Dziś mają własne satelity, tworzą nowoczesne rodzaje broni, są o krok od możliwości budowy własnej broni jądrowej. Na wsparcie Iranu liczy m.in. Rosja, która kupuje od niego nowoczesne drony, a ostatnio także kamizelki kuloodporne i hełmy.

Iran: siła wbrew sankcjom

W TYM regionalnym mocarstwie położonym między Bliskim Wschodem a Azją Centralną wprowadzone przez Zachód sankcje powodują ciągły kryzys i niemożność dokonania prawdziwego skoku cywilizacyjnego. Potencjał państwa – dobrze wykształcone społeczeństwo, potężne zasoby ropy i gazu – jest jednak olbrzymi; jego władza, właśnie dzięki tanim su-

rowcom, unika zaś finansowej zapaści i wydaje miliony na armię. Silny rząd zarówno wzmacnia irańskie wpływy w regionie (po Liban i Strefę Gazy), jak i tłumi cykliczne protesty mieszkańców. Szczególne znaczenie ma tu wyłączony ze struktur armii i podległy ajatollahowi Chameineimu 150-tysięczny Korpus Strażników Rewolucji.

PARADOKS polega na tym, że siła polityczna Iranu została częściowo „zbudowana” przez Stany Zjednoczone. To one w 2001 r. rozprawiły się ze skonfliktowanymi z Iranem talibami oraz zlikwidowały regionalną konkurencję – Irak Saddama Husajna. To wtedy Iran stał się regionalnym hegemonem, a w kolejnych latach jego wojsko w praktyce uratowało Bagdad przed ofensywą tzw. Państwa Islamskiego. © K&S



Turcja: dyplomacja, siła i znów dyplomacja

PIERWSZA DEKADA XXI w.

była w tureckiej polityce zagranicznej czasem dyplomacji: kraj m.in. mediował między Izraelem a Syrią, odbudowywał więzi z Bałkanami, zwiększał wpływy w Azji Środkowej i aspirował do Unii Europejskiej. Polityka nastawiona na konsensus skończyła się jednak w 2010 r. wraz z falą wspieranych przez Turcję

rewolucji w państwach arabskich i wybuchem syryjskiej wojny domowej.

NOWA DOKTRYNA pchnęła

Ankarę m.in. do ograniczonych interwencji wojskowych w Syrii, Libii i północnym Iraku oraz wybudowania baz w Katarze i Somalii. Turcja weszła w spór z Arabią Saudyjską, inną lokalną potęgą, a relacje z Izraelem przez kolejne

lata pozostawały chłodne. „Szlachetna samotność”, motto ukute przez jednego z doradców prezydenta Erdoğan, sprawdzała się do niedawna: syryjski kryzys migracyjny i kierowane pod adresem Unii groźby otwarcia uchodźcom granic ugruntowały pozycję Ankary także na Zachodzie. Obok Węgier Turcja pozostaje ostatnim członkiem NATO, który nie ratyfikował akcesji Szwecji i Finlandii do Sojuszu.

OSTATNIE DWA LATA to

powrót do koncyliacyjnej polityki w regionie. Ankarę wznowiła konsultacje z Egiptem, poprawiła też relacje z Arabią Saudyjską i Izraelem. A w sukurs dyplomatom przychodzi też *soft power*, turecka popkultura, obecna już nie tylko na Bliskim Wschodzie.

© © ŻYM

Wschodnich. – Bo jeśli poważnie potraktujemy deklaracje w sprawie uzyskania członkostwa w Unii złożone niedawno Kijowowi, musimy też przyjąć, że za jakiś czas we wspólnotowej polityce zadebiutować może koalicja dwóch dużych państw. Jeśli dodamy do tego kraje bałtyckie i środkowoeuropejskie, może się okazać, że w kluczowych dla Europy sprawach istotny głos będzie mieć coraz częściej jej wschodnia flank.

Konończuk zastrzega: to na razie polityczna fikcja. – Przed Ukrainą długa droga do pokoju i jeszcze dłuższa do spełnienia wymogów członkowskich – mówi.

Wizje polsko-ukraińskiego sojuszu – realizacji starej koncepcji międzymorza – krążą jednak po obu stronach naszej wschodniej granicy. Aleksiej Arestowicz, doradca prezydenta Zełenskogo, mówił kilka tygodni temu wprost o „wspólnym zagospodarowaniu przestrzeni między Bałtykiem a Morzem Czarnym” przez

Polskę i zwycięską Ukrainę, w której znajdzie się też „miejsce dla krajów bałtyckich i odnowionej Białorusi”.

Jeśli szukać w tej wizji konkretów, jednym z nich będzie ocieplenie stosunku Ukraińców do Polski. Według badań opinii publicznej, przeprowadzonych latem przez ukraiński instytut badawczy Info Sapiens na zlecenie Centrum Mieroszewskiego, po 24 lutego aż 73 proc. Ukraińców zmieniło opinię o Polakach na lepszą. Wynik ten jest w przybliżeniu taki sam we wszystkich regionach Ukrainy. Badanie „Polska i Polacy oczami Ukraińców” pokazuje również, że 58 proc. Ukraińców uważa, że relacje między naszymi krajami winny ulec zacieśnieniu – także w formie sojuszu lub politycznej współpracy.

Nawet jeśli te nastroje nie wytrzymają próby czasu, wizerunek Polski jako kraju bliskiego kulturowo i językowo Ukrainie powinien przetrwać. Pomoże w tym cho-

ciażby ukraińska diaspora, którą w tym roku zasililo ponad milion nowych osób. Jej część zapanowała u nas korzenie, co tylko wzmocni i tak silny już wizerunek Polski jako kraju kompetentnego w kwestiach wschodnich.

Po 24 lutego Warszawa wyszła niejako przed szereg – zauważa Wojciech Konończuk. – Rozpoczęliśmy dostawy sprzętu wojskowego i pomocy humanitarnej, nie czekając na sojuszników. Polski rząd wręcz wymuszał na zachodnich partnerach, np. Niemczech, zwiększenie zaangażowania, odwołując się także do argumentów moralnych.

Polski trzeci sektor wziął z kolei na siebie rolę łącznika między ukraińskimi organizacjami pozarządowymi a Brukselą. Kiedy 24 lutego na Kijów spadały pierwsze bomby, na biurku głównego lekarza weterynarii w Warszawie od tygodnia leżał już wniosek o uproszczenie procedury wwozu zwierząt domowych z Ukrainy do Polski. Podanie złożyli działacze Fundacji Dobrych Zwierząt, przeczuwając wyzwania, przed jakim polskie służby graniczne staną w trakcie wojny. Jak mówi Joanna Szpiega-Bzdón, adwokatka specjalizująca się w prawie kynologicznym i współautorka tamtego wniosku, informacje z Ukrainy nie pozostawiały wątpliwości, że wśród uchodźców będzie mnóstwo osób ze zwierzętami.

– Pisało do nas wielu ukraińskich hodowców – wspomina prawniczka. – Dzięki temu polskie służby już 24 lutego zgodziły się uprościć przepisy i zezwolić na wjazd do Polski praktycznie każdemu zwierzęciu domowemu. Polskie służby weterynaryjne były z kolei inicjatorami zmian unijnych reguł przewozu zwierząt między państwami członkowskimi, uproszczonych tymczasowo właśnie po to, by umożliwić uchodźcom ze zwierzętami podróż w głąb Unii.

Wszystko to, jak zauważa Wojciech Konończuk, stworzyło Polsce wizerunek państwa, które w sytuacji kryzysowej nie chowa się za większych partnerów, lecz chętnie przejmując inicjatywę. Pierwsze pozytywne wrażenie umocniła jeszcze spokojna reakcja Warszawy na tragiczne wydarzenia w Przewodowie, gdzie ukraińska rakietą zabiła dwóch obywateli Polski.

Wojciech Konończuk: – W listopadzie brałem w Brukseli udział w konferencji, podczas której głos miało zabrać kilku

→ wysokich rangą polskich wojskowych. Wystąpienia naszych oficerów zgromadziły bardzo liczne audytorium. Polskie doświadczenia z pogranicza teatru działań wojennych są teraz dla naszych sojuszników bezcenne.

Drugi Izrael?

Tragedia w Przewodowie pokazała jeszcze jedno: jako pierwsze z wyrazami wsparcia pospieszyły kraje bałtyckie. W obliczu potencjalnego zagrożenia dla mniejszych państw to polska armia – obecnie najliczniejsza w regionie – będzie przecież realną forpocztą głównych sił NATO. Sądząc zaś po tempie, z jakim zbroi się Wojsko Polskie, Warszawa bierze to pod uwagę.

W 2023 r. wydatki na armię – wraz z pieniędzmi z pozabudżetowego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych – mają wynieść aż 143 mld zł, czyli ok. 4,3 proc. PKB

miejsce zajmuje Polska w tegorocznym rankingu Global Firepower, który ocenia siłę militarną 142 krajów świata. Badanie dotyczy siły wojsk lądowych, powietrznych oraz morskich – jeśli kraj ma dostęp do morza. Ponadto bierze się pod uwagę liczbę ludności, zasoby naturalne, jakość zaplecza logistycznego oraz stabilność finansów publicznych, a także położenie geograficzne i jego wpływ na możliwości obronne.

(spośród krajów wysoko rozwiniętych wyższy wskaźnik będzie miał tylko Izrael).

24.

Już w tym roku polska armia mogła się poczuć jak rozpieszczany jedynie na mikołajki. 4 listopada Agencja Uzbrojenia podpisała z koreańskim koncernem Hanwha Aerospace kontrakt na dostawę 218 ruchomych wyrzutni raketowych K239 Chunmu oraz pakietu amunicji. To część wartego 14 mld dolarów pakietu zamówień, które wysłaliśmy w tym roku do Korei Południowej. W porcie w Gdyni zacumował niedawno statek z pierwszymi z 180 czołgów K2 Black Panther, które dostarczy Polsce koncern Hyundai Rotem. Kolejne 800 maszyn ma zbudować polsko-koreańskie konsorcjum w zakładach w Poznaniu. W ramach kontraktu z Koreą kupujemy także 670 haubic K9A1/K9PL, które w praktyce zastąpią chwalone przez ukraińskich artylerzystów haubice krab. Listę koreańskich zakupów zamyka 48 myśliwców szkoleniowo-bojowych FA-50 i najpewniej (rozmowy jeszcze trwają) ciężkie bojowe wozy piechoty.

Kupujemy też w Stanach Zjednoczonych. Latem MON zadeklarował chęć zakupu sześciu baterii amerykańskiego systemu obrony powietrznej Patriot za ok. 42 mld zł oraz pół tysiąca wyrzutni raketowych M142 Himars (najprawdopodobniej skończy się na zakupie ok. 100-140 wyrzutni). W zamian za ponad 250 poradzieckich czołgów T-72, które Polska przekazała Ukrainie, nasza armia w przyszłym roku otrzyma 116 używanych amerykańskich czołgów M1A1 Abrams SA, do których w kolejnych latach dołączy 250 Abramsów w najnowszej dostępnej wersji A2 SEPv3. Nowe czołgi będą kosztować ok. 21 mld zł.

Znacznie bardziej kosztowne jest czekające na aprobatę Kongresu zapytanie o sprzedaż 96 śmigłowców bojowych AH 64 Apache. Polska chce maszyn w najnowszej i najlepiej wyposażonej wersji „Guardian”, dlatego ostateczne zamówienie będzie najpewniej opiewać na góra 32 sztuki. Na polskim niebie apache współpracowałyby z zamówionymi już w 2020 r. 32 myśliwcami F-35. MON zapowiada zresztą zakup kolejnych myśliwców z USA.

Sporo sprzętu dla wojska powstaje też w kraju. Podwarszawska spółka WB Electronics dostarczy drony i amunicję krążącą w ramach programu Gladius. Huta Stalowa Wola – 48 krabów, które uzupełnią lukę po armatohaubicach tej



Korea Południowa: jak słabości stały się atutem

UBOGIE PAŃSTWO, skazane na trudne sąsiedztwo z wrogo usposobioną Koreą Północną, w ciągu półwiecza zdołało nadgonić cywilizacyjne zaległości nie tylko w stosunku do sąsiadów, ale i państw rozwiniętych na Zachodzie. W latach 1961-2014 wzrost produktu krajowego brutto sięgnął 7,3 proc., co pozwoliło państwu

awansować na 14. miejsce na świecie pod względem wysokości PKB na mieszkańca. To wszystko przy jednoczesnym wzroście liczby ludności, która od czasu rozejmu w Panmunjom w 1953 r. podwoiła się z niespełna 25 do 51 mln osób.

ŹRÓDŁEM sukcesu Korei Południowej był strategiczny sojusz ze Stanami Zjednoczonymi,

które w pierwszych dekadach jej istnienia były militarnym gwarantem niepodległości i nawet obecnie – choć 600-tysięczna koreańska armia należy do największych i najnowocześniejszych na świecie – wciąż utrzymują tu blisko 30 tys. żołnierzy. Amerykańskie wsparcie pozwoliło też Koreańczykom rozwinąć prężny przemysł zbrojeniowy, a współpraca z amerykańskimi firmami i uczelniami zapewniła know-how, bez którego nie byłoby późniejszej globalnej ekspansji koncernów Samsung czy LG.

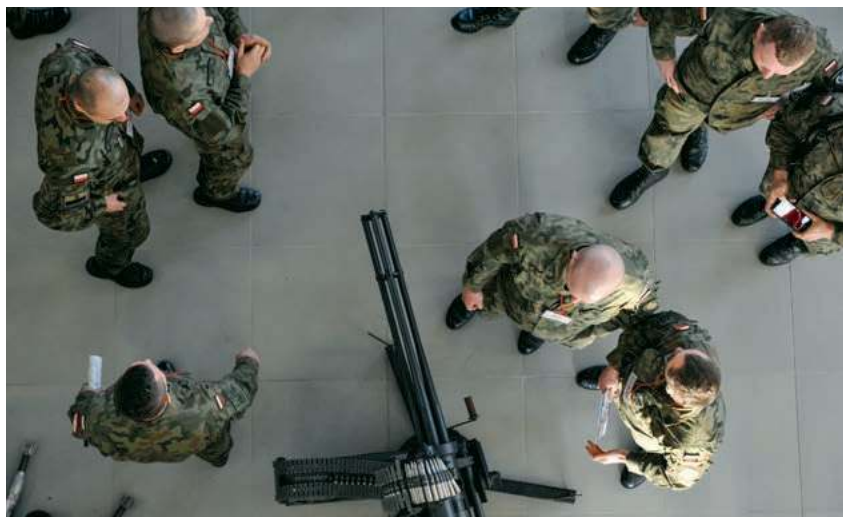
SUKCES Korei Południowej jest jednak przede wszystkim osiągnięciem samych Koreańczyków, którzy od lat przodują w globalnych rankingach najczęściej pracujących i najlepiej wykształconych nacji świata. © M R

serii, które Polska przekazała Ukrainie. W kwietniu minister Mariusz Błaszczak zatwierdził też umowę wykonawczą pomiędzy Agencją Uzbrojenia a Konsorcjum PGZ-Narew na dostawę wybranych elementów dwóch jednostek ogniowych systemu obrony powietrznej krótkiego zasięgu, zwanego Małą Narwią. Ten drobny na tle innych kontrakt wedle nieoficjalnych informacji kosztować będzie podatników ok. 1,5 mld zł, ale to tylko jeden element systemu obrony powietrznej o kryptonimie „Narew”, który łącznie pochłonie od 40 do 60 mld zł, a powstać ma w ciągu najbliższych 5 do 7 lat. Końca dobiegają również testy nowego bojowego wozu piechoty borsuk, który zbiera entuzjastyczne recenzje wśród żołnierzy – armia zapewne zamówi go w liczbie oscylującej wokół tysiąca sztuk.

I wreszcie ostatni element: zwiększeniu – czy raczej przywróceniu – zdolności operacyjnych polskiej marynarki na Bałtyku służyć ma program budowy trzech nowoczesnych fregat rakietowych Miecznik, na które wydamy około 9 mld zł.

Równie wielkiego programu modernizacyjnego wojsko polskie nie widziało od początków lat 80. Racjonalności nie można odmówić właściwie żadnemu ze składających się nań zamówień, wątpliwości budzą jedynie detale i sposób realizacji. Największym znakiem zapytania pozostaje kwestia, czy w realiach spowolnienia gospodarczego Polska zdoła unieść tak wielki wysiłek budżetowy. Jeśli zamówienia nie ulegną okrojeniu, a dodatkowo uda się znaleźć chętnych do służby wojskowej, w perspektywie kolejnych pięciu lat wojsko polskie może stać się faktycznie jedną z najsilniejszych sił lądowych Europy. Nasza „mocarstwość”, na razie wciąż w sferze pobożnych życzeń, nabierze wówczas pierwszych realnych kształtów. Trudniej będzie zbudować ją w wymiarze politycznym i dyplomatycznym, zwłaszcza rządowi pozostającemu w permanentnym sporze z unijnymi partnerami i negującym wspólnotowe wartości.

Lider – jak zauważa Wojciech Konończuk – to ktoś, za kogo uważa go reszta. Niekoniecznie ten, kto tak mówi o sobie. ©P MAREK RABIJ



BARTOSZ FRYDRYCH / EAST NEWS

Pokaz sprzętu wojskowego w Jasionce, styczeń 2017 r.

Wojna to wielka operacja logistyczna

MACIEJ MATYSIAK, EKSPERT WOJSKOWY:

Czołg potrafi zużyć pół tony paliwa na sto kilometrów, a haubica ciężarówkę amunicji dziennie. Musimy więc wysyłać dzień w dzień na Ukrainę tysiące ciężarówek.

AURELIUSZ M. PĘDZIWIŁ: Słyszmy o kolejnych dostawach broni dla Ukrainy, ale rzadziej o tym, że ta broń potrzebuje amunicji, paliwa, części zamiennych. Jaki to wysiłek, aby te czołgi i haubice mogły uczestniczyć w boju?

MACIEJ MATYSIAK: Zaczniemy od tego, że liczby dotyczące pomocy wojskowej dla Ukrainy, np. amerykańskiej, wydają się imponujące. To setki różnych egzemplarzy broni, setki tysięcy pocisków. Ale musimy sobie zdawać sprawę, że Ukraina jest prawie dwa razy większa od Polski, a front rozciąga się na dystansie około tysiąca kilometrów. I okazuje się, że ta cała pomoc jest kroplą w morzu potrzeb. Oczekujemy zwycięstwa Ukrainy, czyli odzyskania terytoriów zagrabionych przez Rosję i jej militarnego pokonania. Ale przy obecnym zaangażowaniu nie jest to wysoce prawdopodobne. Potrzeby są o wiele większe.

Oczywiście gdyby nie pomoc Zachodu, Ukraina nie zatrzymałaby napaści rosyjskiej i nie przetrwałaby jej. Ta pomoc spowodowała, że Ukraińcy zadali

armii rosyjskiej bardzo duże straty sprzętowe, przez co straciła ona impet i musiała zrezygnować z usiłowania zajęcia Kijowa.

Mówi Pan o pomocy, która przyszła, zanim w lutym zaczęła się rosyjska inwazja na całą Ukrainę?

Zdecydowanie wcześniej. Minimum od dwóch-trzech lat prowadzono wspólne szkolenia. Także sama Ukraina wiele zrobiła. Jej armia przed rokiem 2014 prawie nie istniała.

Na Krymie nie podjęła walki...

...a jej dowódcy przeszli na stronę rosyjską. Dowódca ukraińskiej floty czarnomorskiej stał się nawet zastępcą dowódcy rosyjskiej floty czarnomorskiej. Poddawały się całe koszary. Ukraińska armia była ograbiona ze sprzętu, miała słabych i skorumpowanych dowódców.

Zbigniew Brzeziński, który wtedy był w Polsce, powiedział:

„Jak mieliśmy im pomagać, skoro oni sami nic nie zrobili?”



→ Tak. I to był wstrząs. Zajęcie Donbasu zmusiło Ukrainę do działania. Z oddolnej inicjatywy powstały oddziały ochotnicze, które stawiały Rosjanom opór. A później zaczęło się tworzenie sił zbrojnych z prawdziwego zdarzenia. Posowiecka struktura ukraińskiej armii i sposób jej dowodzenia zostały zmienione na wzór natowski.

Tegoroczna rosyjska napaść na Ukrainę zweryfikowała propagandową narrację Rosji w kwestii siły jej armii, obnażyła jej słabe punkty. Pod tym względem możemy już śmiało powiedzieć, że Rosja przegrała. Nie wiemy jednak, czy przegra też finalnie, zgodnie z naszymi i ukraińskimi oczekiwaniami, czyli zostanie wyparta z całości terytorium Ukrainy w granicach sprzed 2014 r.

Bo Rosja ma olbrzymie rezerwy?

Potencjał rosyjski w zakresie wojsk konwencjonalnych jest nieporównywalny z ukraińskim, naszym, a nawet wielu krajów Europy Zachodniej, zarówno pod względem ilości sprzętu, nawet niskiej jakości, jak i liczby ludzi, nawet słabo wyszkolonych. A Putin jest w stanie poświęcić wiele. Jak wiele? Nikt tego nie wie, bo nikt nie siedzi w jego głowie. Rosja dysponuje ponadto potencjałem nuklearnym, którym nas szantażuje. Wynik tej wojny będzie więc zależał od tego, jak mocno będziemy nadal wspierać Ukrainę.

Jak to wygląda dziś? Zaczniemy od polskich krabów. Ile ich Ukraina dostała?

W pierwszej transzy przekazaliśmy bodajże osiemnaście tych samobieżnych armatohaubic, potem jeszcze kilka. Powiedzmy, że jest ich dwadzieścia kilka. Sprawdzają się znakomicie i są bardzo chwalone. To potwierdzenie, że potrafimy produkować skuteczną, nowoczesną, bardzo dobrą broń. Na Ukrainie funkcjonują też haubice niemieckie i francuskie, a także ciągnięte haubice amerykańskie, bardzo sprawne. W sumie jest ich tam już prawie dwieście.

I co to oznacza, jeżeli mają dzień w dzień uczestniczyć w boju?

Że musimy zapewnić dla nich amunicję, części zamiennie i paliwo. Weźmy przykład czołgu T-72, który na przejechanie 100 kilometrów potrzebuje od 350 do nawet 500 litrów oleju napędowego, gdy porusza się w ciężkim, grząskim terenie. Czyli do pół tony. Samochód osobowy z dwulitrowym silnikiem diesla spala taką ilość na dystansie około 8 tys. kilometrów, czyli 80 razy dłuższym. Armia ukraińska ma kilkaset takich czołgów. Jeśli przemnożymy ich dzienne zapotrzebowanie na paliwo przez już ponad 250 dni wojny, otrzymamy astronomiczne liczby.

A to tylko czołgi. Żeby państwo mogło funkcjonować, potrzebne jest również paliwo dla pozostałych pojazdów, także obsługujących infrastrukturę cywilną. Ukraina ma zaś bardzo ograniczone możliwości jego wytwarzania, bo jej gospodarka jest zniszczona. Trzeba je więc dostarczyć z zewnątrz.

Wróćmy do amunicji.

Ukraina musi ją dostawać, bo nie ma takiego potencjału, żeby ją produkować. Np. krab jest w stanie w ciągu dnia wystrzelić kilkadziesiąt, może nawet setkę pocisków. Aby mógł prowadzić intensywny ostrzał, potrzebuje jednej ciężarówki amunicji dziennie.

Czyli mówimy o setkach ciężarówek dziennie samej tylko amunicji?

Zalóżmy, że Ukraina dysponuje tysiącem luf armatnich. To znaczy, że przy intensywnych działaniach codziennie musi do nich dojechać tysiąc ciężarówek amunicji.

Mówię tu o broni artyleryjskiej i amunicji do niej, która pochodzi z Zachodu i musi przejechać z zachodnich fabryk i magazynów przeważnie przez Polskę, potem przez całą Ukrainę i dotrzeć w pobliże linii frontu, a potem zostać dostarczona do tych dział. Poza tym Ukraina ma także własną broń i artylerię porosyjską, która zużywa podobne ilości amunicji.

Armia ukraińska stara się działać oszczędnie. Według statystyk, które opublikowała, zużywa dziesięć razy mniej amunicji niż Rosjanie. Ale wciąż jest to od pięciu do sześciu tysięcy pocisków dziennie. Pomnożone przez liczbę dni wojny daje to nawet półtora miliona sztuk, czyli liczbę, którą trudno jest ogarnąć wyobraźnią. A przecież artyleria to nie wszystko. Na Ukrainę trzeba jeszcze dostarczyć rakiety, karabiny maszynowe, broń indywidualną i amunicję do nich.

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

- **RZESZÓW**, poniedziałek 12 grudnia, spotkanie z Justyną Król – aktorką Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie, „Następna do raju” / stacjonarne /
- **POZNAŃ**, wtorek 13 grudnia, spotkanie z ks. prof. Alfredem Wierzbickim, „Między innymi o radości” / stacjonarne /

- **LUBLIN**, czwartek 15 grudnia, spotkanie autorskie z Jarosławem Kurskim na temat książki „Dziady i dybuki” / stacjonarne /
- **WARSZAWA**, czwartek 15 grudnia, spotkanie z Izą Orlów, Katarzyną Poskrobko, Pawłem Olszyńskim i Marcinem Tumulką, „Detencja. Życie w oczekiwaniu.” / stacjonarne /

Z tego robią się setki tysięcy ton sprzętu, amunicji i paliwa.

Czyli jest to ogromna operacja logistyczna?

Tak.

Także dla Polski?

W kwestii pomocy natowskiej dla Ukrainy Polska ma kluczowe znaczenie, bo tędy przebiega większość szlaków dostaw, po drogach albo mostem powietrznym z amerykańskiej bazy w niemieckim Ramstein. W Polsce te transporty lotnicze są przeładowywane i kierowane na Ukrainę. Paliwo i większość ciężkiego sprzętu jedzie koleją, co oznacza następne wyzwanie logistyczne, bo pociągi trzeba przestawiać na szerokie tory.

Kolejnym wyzwaniem jest zabezpieczenie tej operacji, bo nie można wykluczyć prób sabotażu, a nawet ostrzału. Oczywiście takie działania byłyby *de facto* wypowiedzeniem wojny NATO. W związku z powyższym nad południową Polską wiszą cały czas samoloty rozpoznawcze. Przestrzeń powietrzną patrolują też samoloty bojowe Sojuszu: polskie, amerykańskie, brytyjskie, włoskie. Cały czas, przez 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu.

Powiedział Pan, że to, co Ukraina dostaje, ciągle jest kroplą w morzu potrzeb. Czy istnieją fizyczne możliwości, żeby dostarczyć tyle, ile trzeba?



AURELIUSZ M. PĘDZIWOŁ

MACIEJ MATYSIAK jest pułkownikiem rezerwy Wojska Polskiego. Pełnił funkcję zastępcy szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego, obecnie jest ekspertem fundacji Stratpoints, pełni też obowiązki dyrektora Instytutu Nauk o Bezpieczeństwie Akademii Nauk Stosowanych w Gnieźnie i jest wykładowcą Szkoły NATO w Oberammergau w Niemczech. Uczestniczył w misjach w Chorwacji, Kosowie, Bośni i Hercegowinie oraz Iraku.

O przepustowość i drożność bym się tak bardzo nie martwił. To zadanie dla planistów, którzy są wprawieni w tym, co robią. Problemem może okazać się wydolność krajów wspierających. Teraz przekazują zasoby zgromadzone na wypadek konfliktu zbrojnego. Ale jeśli ta wojna potrwa dłużej, zapewne staną przed dylematem, ile jeszcze mogą odstąpić Ukrainie. Pewnie będą musiały ruszyć z produkcją broni, a zwłaszcza amunicji, by uzupełnić uszczuplone zapasy, które powinniśmy przeciw mieć na wypadek ewentu-

alnego zagrożenia. Na własne potrzeby musimy mieć amunicję na minimum 30 dni. Ale jej się nie wyrabia w sposób ciągły. Nie jest więc wykluczone, że będziemy musieli przestawić gospodarkę na tory wojenne, choć sami tej wojny nie prowadzimy. A to oznacza wysiłek gospodarczy, otwieranie linii produkcyjnych, przeznaczanie sił, finansów i zasobów na produkcję tego wszystkiego, czego potrzebują walczący żołnierze ukraińscy.

A robić to trzeba w czasach kryzysu energetycznego i wysokiej inflacji.

Tak. Ale pamiętajmy, że Rosja sama doświadcza podobnych problemów, a nawet w większej skali, bo jest poddana sankcjom. Wprawdzie mówi, że jej społeczeństwo jest w stanie wytrzymać więcej, w przeciwieństwie do nas, którzy zdaniem Putina jesteśmy zniewieściali.

W każdym razie nasze morale jest równie ważne, jak morale społeczeństwa ukraińskiego, które przeciwstawia się agresji rosyjskiej. Powinno być zatem na tyle silne, żebyśmy dali radę i potrafili znieść pewne dolegliwości po to, by wesprzeć Ukrainę, a tym samym odsunąć zagrożenie stwarzane przez agresywną Rosję.

Czyli chodzi o to, żeby wyborcy na Zachodzie nie wyrócili tych rządów, które wspierają Ukrainę?

Żeby swoim podejściem nie zmusili rządzących do odstąpienia od pomagania Ukrainie.

© Rozmawiał AURELIUSZ M. PĘDZIWOŁ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik),
Małgorzata Nocui, Michał Okoński, Marek Rabij,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczmarska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydawniczy: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomałowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Ślawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmarska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Ezawowe żony



WEDLE TRADYCJI TALMUDYCZNEJ W ZIEMI Izraela koledzy mieli zwyczaj pytać niedawno ożenionego kompana: „maca czy moce?” i – w zależności od odpowiedzi – z grubsza wiedzieli, jak się układa w nowym stadle. Pytanie owo opierało się na dwóch wersach biblijnych: „Kto znalazł [hebr. *maca*] żonę dobrą, znalazł szczęście” (Prz 18, 22; Cyilkow) oraz „Znalazłem [hebr. *moce* (ani)] też bardziej gorzką niż śmierć kobietę” (Koh 7, 26). Już u Patriarchów właściwy ożenek synów jest niezwykle istotny: Abraham wysłał zaufanego sługę, by sprowadził kuzynkę dla Izaaka, Izaak – za namową Rebeki – nakazuje Jakubowi, by szukał żony w odległym od rodzinnej Beer-Szewy domu swego wuja. Młodzieniec przez 14 lat odpracowuje możliwość założenia rodziny z Rachelą, po drodze poślubiając jej starszą siostrę, i haruje jeszcze przez 6 lat, by móc rosnącą rodzinę utrzymać. Historia Diny – jedynej wymienionej z imienia córki Jakuba – jest żywym dowodem na zmaganie się Dzieci Izraela z kwestią egzogamii.

Jak wyglądają dokonania matrymonialne Jakubowego brata-bliźniaka? „Esaw zaś miał czterdzieści lat, gdy pojął żonę Jehudytę, córkę Beer i Chittejczyka, również i Bosmatę, córkę Elona Chittejczyka” (Rdz 26, 34). Wygląda więc na to, że ustatkował się w tym samym wieku, co jego ojciec. Ezaw nie zaskarbił sobie życzliwości rabinów – sugerowali, że wcześniej porwał i gwałcił cudze żony. Dwie pierwsze Ezawowe połowice były „umartwieniem ducha dla Ic’haka i Ribki” (następny wers). Syn widział, że rodzice – delikatnie mówiąc – nie byli zachwyceni jego wyborem. Kiedy odsyłali Jakuba do Padan-Aram, ojciec m.in. powiedział: „Nie pojmiesz żony z pośród córek Kanaanu” (28, 1). Pomny na to, „[p]oszedł tedy Esaw do Iszmaela, i pojął sobie Machalatę, córkę Iszmaela, syna Abrahama, siostrę Nebajota, oprócz żon swoich, za żonę” (28, 9). Najwidoczniej wnuczka Abrahama wydawała mu się świetną partią.

Natrafiamy jeszcze w Księdze Rodzaju na genealogię potomków Ezawa. Można tam przeczytać, że „Esaw pojął był żony swoje z pośród cór Kanaanu: Adę, córkę Elona, Chitejczyka, i Oholibamę, córkę Any, córkę Cybeona, Chiwejczyka. I Bosmatę, córkę Iszmaela, siostrę Nebajota” (Rdz 36, 2-3). Próbując dojść do ładu z imionami, rabini twierdzą, że Adę zwano również Bosmat, a Judytę – Oholibamą. Stosując etymologię ludową, kojarzą je z nierządem i bałwochwalstwem. Imię trzeciej żony – Machalat – można rozumieć dwojako: dzięki tym zaślubinom Ezaw uzyskał przebaczenie (hebr. *mechila*), ale również dobrze – stoczył się jeszcze bardziej (*machala* to dosłownie „choroba”). Tak czy inaczej, przekaz jest jasny: spadkobierca rodzinnej misji nie może się ożenić z „obcą”. Jak to ujął zgrabnie Jan Brzechwa: „żuk na żonę żuka szuka”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Nie upraszczajmy



PRAWDA JEST ZAWSZE PO NASZEJ STRONIE. A za ostateczny argument służy nam powiedzenie: przecież tak zawsze było. Tak jest, bo ja tak myślę. Ten spór trwa na wielu płaszczyznach, zarówno w Kościele, od Stolicy Apostolskiej poczynawszy, a na kuchniach i sypialniach skończywszy. Żeby to pokazać, przygotowałem małą antologię na wielkie tematy. Wielkie nie z woli Boga; to nasze pomysły na pobożność.

W Ewangeliach czytamy: „Gdy Józef zbudził się, uczynił tak, jak mu nakazał anioł Pański, i przyjął swoją żonę. Nie współżył z nią, aż urodziła Syna”. Mówiąc o dziewictwie Maryi, ostatnie zdanie skrętnie omijamy, a Józefa nazywamy jedynie oblubieńcem. Na innym miejscu mamy: „Dlatego mówię wam: oprócz przypadku nierządu, jeśli ktoś porzuca żonę i żeni się z inną, cudzołoży”. „Oprócz nierządu” – ileż papieru i atramentu zużyto, żeby udowodnić, iż to zastrzeżenie nijak nie podważa nierozzerwalności związku małżeńskiego.

Następny cytat: „Niektórzy nawróceni ze stronnictwa faryzeuszów oświadczyli: Trzeba ich [nawróconych z pogaństwa] obrzezać i zobowiązać do przestrzegania Prawa Mojżeszowego (...). Po długiej wymianie zdań przemówił do nich Piotr: (...) sądzę, że nie należy nakładać ciężarów na pogan, nawracających się do Boga, lecz napisać im, aby się wstrzymali od pokarmów ofiarowanych bożkom, od nierządu, od tego, co uduszone, i od krwi”. Tymczasem jak dotychczas zajądamy się kaszanką. Gdybyśmy też chcieli usprawiedliwić karę śmierci, znajdziemy odpowiednie słowa: „Jeśli ktoś byłby przyczyną upadku jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie – mówi Jezus – lepiej byłoby dla niego, aby mu zawieszono kamień młyński na szyi i utopiono w głębinie morskiej”.

Paweł Apostoł pisze: „Tego, kto jest słaby w wierze, przyjmujcie bez roztrząsania poglądów. Jeden jest przekonany, że może jeść wszystko, słaby natomiast spożywa jarzyny. (...) Ten, kto je wszystko, niech nie lekceważy tego, który czegoś nie je. Ten zaś, kto nie je wszystkiego, niech nie osądza tego, który je. Bóg przecież go przyjął. (...) Ktoś znowu wyróżnia jeden dzień spośród innych, dla innego wszystkie są równie ważne. Niech każdy zostanie przy swoim przekonaniu. Ten, kto dokonuje rozróżnienia, czyni tak ze względu na Pana. Także ten, kto je, czyni to ze względu na Pana, ponieważ składa dzięki Bogu. Kto zaś nie je, ten nie je przez wzgląd na Pana i także dziękuje Bogu”. Więc jak to jest z tym „obowiązkiem kościelnym” i postami, a co za tym idzie: z dispensami?

W dobie ekumenizmu może warto też wrócić do sporu nie tyle o realną obecność Chrystusa, co o sposób, w jaki Jezus się uobecnia (chodzi o proces przemienienia chleba i wina w Ciało i Krew Pana). Czy warto Biblię preparować? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Obietnica Izajaszowa

*W sercu łagodnym
odpoczywa
mądrość.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



*Żyjemy nie wiedząc,
że żyjemy.
Dlatego uspokajanie ciała
i umysłu i siedzenie,
po prostu będąc ze sobą
samym, jest aktem
rewolucyjnym.*

THICH NHAT HANH



„W ów dzień głusi usłyszą słowa księgi, a oczy niewidomych, wolne od mroku i ciemności, będą widziały” – tak brzmi

obietnica ogłoszona nam niedawno w liturgii przez Izajasza (zob. Iz 29, 18); obietnica – jak ufamy – już wypełniona (jak wszystkie obietnice) w Jezusie Chrystusie. Znamy Go z Ewangelii jako Tego, który głuchym przywraca słuch, a niewidomym wzrok.

Obietnica Izajasza – w swej pierwszej części – uderza precyzją: mówi nie tylko o tym, że głusi odzyskają słuch, ale także po co mają go odzyskać. Dopóki pozostają głusi – nie mogą „słyszeć słów Księgi”.

W tym właśnie miejscu można się zdziwić: wszak księgę można przecież po prostu przeczytać, nie potrzebując jej słyszeć; wielu z nas nawet pewnie woli przeczytać. Nawet jeśli lubimy audiobooki, sięgamy po nie z reguły wtedy, gdy wykonujemy inną czynność, nie wykluczającą podzielności uwagi. Jeśli jednak chcemy poważnie się skupić na książce, to ją po prostu czytamy. O co więc chodzi w złożonej nam przez Boga obietnicy: „głusi usłyszą słowa Księgi”?

Otóż najpewniej idzie o to, że słowo słyszę wtedy, gdy jest ono aktualnie wypowiedziane do mnie przez konkretną osobę (Osobę). Nie zapoznaję się z nim jako z abstrakcyjną mądrością – słyszę je jako zwrócone bezpośrednio w moją stronę. Mówione słowo otwiera przestrzeń rela-

cji – i to relacji, która właśnie się wydarza. Skierowane do mnie słowo – a dokładniej: osoba (Osoba) kierująca do mnie słowo – czeka na odpowiedź, na jakąkolwiek reakcję. Udawać, że nie słyszę, oznacza coś więcej niż tylko czegoś nie poznać, zamknąć się na jakąś prawdę – oznacza raczej zlekceważyć Kogoś, zamknąć się na dialog / spotkanie. Czytam książkę napisaną (kiedyś) do wszystkich – słucham słowa wypowiedzianego (w tej chwili) do mnie.

Takie jest – a przynajmniej może być – nasze codzienne doświadczenie: otwieram i czytam Biblię, i to jest bardzo piękne. W trakcie lektury niektóre z jej zdań „słyszę” – tak jakby Pan właśnie je wypowiadał do mnie. Budzą one we mnie żywy rezonans: czasem mnie rozradują; innym razem pocieszą; kiedy indziej upomną; a jeszcze innym razem uruchomią i poślą. Nie, nie one, lecz Pan, który mówi. Drukowany „tekst” staje się naraz żywym Słowem.

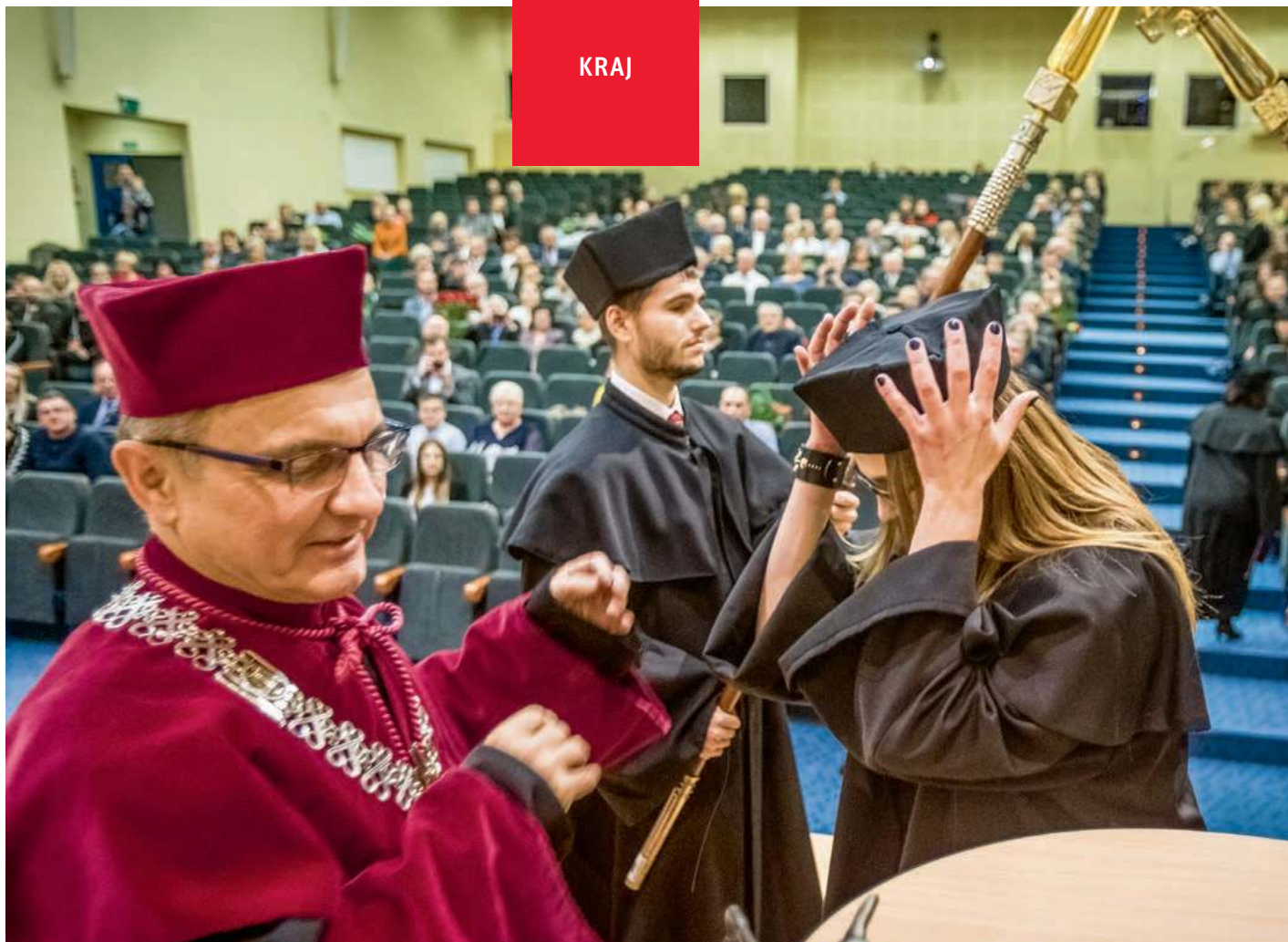
Podobnie na świętej liturgii: odczytywane są dwa lub trzy czytania; dodatkowo jedno (psalm) najczęściej jeszcze odśpiewujemy. Kiedy ostatni z lektorów zamyka lekcjonarz, rodzi się w nas pytanie: co z tego usłyszeliśmy? Którym z zdań Bóg przemówił? A może tylko jednym zdaniem? Lub słowem? A może żadnym?

Czy On milczy? Czy może my jesteśmy głusi? Czytamy, ale bez doświadczenia wiary, gdyż „wiara rodzi się z tego, co się słyszy” (Rz 10, 17), nie z tego, co się czyta. Chrześcijańska wiara jest aktualnym spotkaniem z Osobowym Bogiem, a nie tylko rozumną akceptacją przeczytanego tekstu. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 XII)

3. niedziela Adwentu: Iz 35, 1-6a. 10;	Czwartek: Iz 54, 1-10;
Ps 146; Jk 5, 7-10; Mt 11, 2-11;	Ps 30; Łk 7, 24-30;
Poniedziałek: Lb 24, 2-7. 15-17a; Ps 25; Mt 21, 23-27;	Piątek: Iz 56, 1-3a. 6-8; Ps 67; J 5, 33-36;
Wtorek: So 3, 1-2. 9-13; Ps 34; Mt 21, 28-32;	Sobota: Rdz 49, 1a. 2. 8-10; Ps 72; Mt 1, 1-17;
Środa: Iz 45, 6b-8. 18. 21b-25;	4. niedziela Adwentu: Iz 7, 10-14;
Ps 85; Łk 7, 18b-23;	Ps 24; Rz 1, 1-7; Mt 1, 18-24.

Wybrał PIOTR SIKORA



Promocje doktorskie na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie, grudzień 2018 r.

Z AKADEMII DO BARU

Dzisiejsze uczelnie bywają połączeniem najgorszych cech korporacji i folwarku. Wyścigowi szczurów towarzyszy atmosfera, w której profesorowie traktują młodszych pracowników jak subiektów.

DAMIAN NOWICKI

W RAMACH PROJEKTU „PHD Mental Health” z 2021 r. Krajowa Reprezentacja Doktorantów przygotowała raport, który miał oszacować kondycję zdrowia psychicznego studentów trzeciego stopnia w Polsce. Badano takie kryteria jak poczucie samotności, skłonności depresyjne, doświadczenie stresu, lęku oraz wypalenia zawodowego. Wnioski są alarmujące. 73 proc. badanych zdradza objawy depresji o różnym

nasileniu, 67 proc. doświadcza lęku. W 2021 r. w Polsce kształciło się 27 597 doktorantów.

W przeciwieństwie do licencjatu i magisterki doktorat w teorii ma być początkiem kariery naukowej. Dlatego w rekrutacji, oprócz średniej ocen i dyplomu, brany pod uwagę jest także dorobek naukowy. Zalicza się do niego publikacje w recenzowanych czasopiśmie, udział w projektach badawczych, wystąpienia

na konferencjach, a także aktywność na uczelni, ukończone kursy i zdobyte certyfikaty.

W trakcie rekrutacji to wszystko jest mile widziane. Po dostaniu się na studia staje się już wymogiem, za którym idą jednak korzyści. Status doktoranta umożliwia m.in. darmowe ubezpieczenie zdrowotne, zniżki, możliwość skorzystania z preferencyjnego kredytu, a okres kształcenia wlicza się do stażu pracy. Jest



AKUB ORZECZOWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

z głowy, a mit o sprawiedliwej nagrodzie za uczciwą pracę leży w gruzach. Zdaniem Elżbiety profesorowie nie traktowali poważnie ani doktorantów, ani ich zainteresowań badawczych. Do tego dochodził zwykły seksizm.

– Mimo że siedzieliśmy na wykładach w pierwszych rzędach, to niektórzy profesorowie notorycznie zwracali się do nas „panowie”. Gdy po pewnym czasie doktoranci zaczęli się wykruszać i zostały prawie same kobiety, pojawiły się ironiczne uwagi i dywagacje, czy powinno się mówić „filozofki czy filozofinie?”. Uważano, że naszą rolą na tych studiach jest „ładnie pisać o ładnych rzeczach” – wspomina Elżbieta.

W parze z gładko podanym szowinizmem i seksizmem dostrzegła też problemy alkoholowe części wykładowców, na które reszta kadry przyrywała oczy. – SeminaRIA były odwoływane, bo jeden albo drugi profesor za mocno popili – opowiada Elżbieta. – Zdarzało się też, że ktoś przychodził na zajęcia na mocnym kacu. Jednego wykładowcę przeniesiono na nienaukowe stanowisko, aby tylko go nie zwalniać. Podobnie było z nepotyzmem. Zatrudnianie rodziny nie było wyjątkiem, nikt też nie przejął się faktem, że redaktor naczelny pisma naukowego zatrudnia w nim swe dziecko.

Jedną z najbardziej upokarzających kwestii była wysokość stypendium. Wynosiło niewiele ponad 2 tys. zł, więc kobieta musiała wziąć dodatkową pracę. Aby pogodzić oba światy, wybrała gastronomię, gdzie pracowała jako kelnerka i barmanka. Miała to być praca tymczasowa i dorywcza, a stała się pełnowymiarowa. Elżbieta biegała między stolikami w lokalu niedaleko swojego wydziału. Wtedy też dochodziło do najbardziej symbolicznych i obciążających jej psychikę momentów. Zdarzało się jej obsługiwać zarówno swoich studentów, jak i profesorów.

– Ci pierwsi przychodzili na piwko po zajęciach, a ja im je podawałam. Ale najgorsze były spotkania z profesorami. Gdy mnie rozpoznawali, byli zażenowani, nie wiedzieli, jak się zachować. Ale miało to też, o ironio, dobre strony. Na jeden z najlepszych pomysłów mojego doktoratu wpadłam, dosłownie, szorując kibel w knajpie – wspomina.

Elżbieta nie pochodzi ani z bogatej, ani z inteligenckiej rodziny. Mimo wysoko punktowanych artykułów i uczestnictwa

w prestiżowych konferencjach pokutował u niej tzw. syndrom oszusta, objawiający się niewiarą we własne możliwości i przekonaniem – wbrew obiektywnym sukcesom – że za chwilę ktoś odkryje jej niekompetencję. Wyjątkowo upokarzające były też cykliczne kawki czy winko z profesorami.

– Nie wiedziałam, co się działo podczas biennale w Wenecji oraz nie jeździłam w Alpy z rodzicami. Czyściłam kible i walczyłam o utrzymanie się na powierzchni – przyznaje Elżbieta. – Właśnie w takich momentach „zakulisowych prywatności” uświadamiałam sobie, że nie pasuję do tego świata. Próbowałam rozmawiać z tymi ludźmi, jakoś się dopasować, ale skończyło się na krzyście tożsamości. Zmieniałam ton głosu, imitowałam gesty i mimikę tych lepiej urodzonych, a po wszystkim biczowałam się, że zawsze będę córką rencistki i magazyniera.

Jej zdaniem dzisiejsza akademika jest połączeniem korporacji i folwarku, ponieważ wyciąga najgorsze cechy obu światów, jednocześnie dając niewiele korzyści.

Elżbieta: – Ze strony korporacyjnej uczelnię utożsamiam nie z rozwojem naukowym, ale z walką o punkty, czyli tzw. punktozą, z wyścigiem szczurów. Z drugiej strony profesorowie traktują uczelnię jak swój dworek, a innych pracowników naukowych jak subiekty. W korporacji jest przynajmniej dział HR-u, gdzie można zgłosić szowinistyczne uwagi. W folwarku to niemożliwe, tu pan rządzi swoimi włościami.

Elżbieta obroniła doktorat kilka miesięcy temu, ale nie bardzo jest w stanie sobie wyobrazić, co musiałoby się zmienić, by w ogóle rozważała jeszcze etat na uczelni. Szczególnie teraz, gdy doceniono jej doświadczenie i została menadżerką restauracji. Cały czas szokuje ją w tej pracy „zdroworozsądkowość”.

– To jest paradoks, że dopiero w gastronomii, o której nierzadko słyszy się jako o świecie pełnym wyzysku i łamania praw pracowniczych, spotkałam ludzi oraz szefów, którzy szanują mój czas, pasję i życie prywatne. Do tego mam umowę o pracę, przyzwoitą pensję i elastyczny grafik. Myślę, że żadnej z tych rzeczy nie uświadczyłabym w akademii. To dzięki gastronomii mam czas i pieniądze, by móc chodzić do galerii i muzeów, oglądać wystawy sztuki. A jak

też stypendium doktoranckie – do niedawna wynosiło ok. 2 tys. zł.

W ramach nowej ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce z 2018 r. do życia powołano szkoły doktorskie, które do 2023 r. mają zastąpić wcześniejsze studia doktoranckie. Zaostrenie zasad rekrutacji oraz zmniejszenie liczby miejsc miało wyłonić najlepszych kandydatów. Dla równowagi wprowadzono też nowe zasady przyznawania stypendiów, a minimalną kwotę określono na 37 proc. wysokości wynagrodzenia profesora. Dziś stypendium wynosi 2371,70 zł brutto miesięcznie, a po ocenie śródrokowej – 3653,70 zł. Na nowe stawki łapią się tylko uczestnicy szkół doktorskich, którzy zaczęli studia nie wcześniej niż w roku akademickim 2019/2020.

gorzej urodzona

Zaczynając doktorat na wydziale filozofii, Elżbieta czuła dumę i ekscytację. Uczel-niana rzeczywistość szybko wybiła jej to

→ mnie najdzie ochota, to pojedę nawet na to zasrane biennale do Wenecji – dodaje ze złością.

Punkty jak pokemony

Marzenia Arkadiusza o doktoracie pojawiły się jeszcze przed obroną licencjatu na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jego pierwsze dwa lata były intensywne, ale rozwojowe, a Arek utożsamiał się z tym, co robił. Myślał o sobie z dumą w kategoriach badacza i dydaktyka. W parze z seminariami, prowadzeniem zajęć, nauką do egzaminów, wnioskowaniem o granty i dofinansowania uczęszczał na obowiązkowe warsztaty, gdzie uczono go, jak „właściwie” robić doktorat, by nie „odpaść z wyścigu”. Takich słów używano.

Arek: – Co pół roku każdy doktorant musiał wypełnić raport podsumowujący jego naukową aktywność. Szybko okazało się, że zamiast jakości liczy się końcowa suma punktów. Praktyczne rady dotyczyły m.in. tego, jak wymyślać tytuły projektów grantowych, bo to już było punktowane. Radzono nam, aby się nie martwić, czy cokolwiek z tego wyjdzie, bo kilka punktów wpadnie za samą próbę. Czasem były to quasi-coacherskie zajęcia z kategorii: „wszystko jest możliwe, jeśli otworzysz się na kreatywne myślenie”. A łapanie punktów porównywano wprost do pokemonów!

Z semestru na semestr coraz jaśniej-sze stawało się, że doktorant Arkadiusz nie zdoła wywiązać się z obowiązków, choć ograniczył wszelkie „rozpraszcze”, w tym życie towarzyskie i uczuciowe. Został przy śnie, nauce i okazjonalnym reseccie ze znajomymi doktorantami. Gdy do niego dochodziło, dręczyło go poczucie winy, że zamiast czytać książki do nocy, poszedł ze znajomymi na pierwszą od tygodni imprezę.

Arek uważa, że i tak miał dużo szczęścia, ponieważ trafił do stosunkowo spokojnego zakładu. Twierdzi, że nie było spektakularnych dramatów czy przebojów – wszyscy po prostu harowali ponad siły. Incydenty zdarzały się okazjonalnie: ktoś poprowadził zajęcia „na bani”, inny zamknął się w gabinecie, a na zewnątrz wydostawała się ostra woń marihuany. Poznając coraz bardziej strukturę i układy na uczelni, Arek odkrywał jej tajemnice. Na przykład: pan profesor X i pani profesor Y nie mogą uczestniczyć w jednym projekcie, choć zajmują się tym samym,

O gastronomii mówi się
jak o świecie pełnym
wyzysku i łamania praw
pracowniczych.

A ja dopiero tu spotkałam
**szefów, którzy szanują mój
czas i życie prywatne.**

ponieważ byli kiedyś małżeństwem, ale X zdradził Y z panią doktor Z.

Arek podkreśla, że chociaż rosył w nim zmęczenie, niemoc i frustracja, to nie miał żadnych wybuchów złości czy okresowych załamań. Nie chodził po wydziale jak niektórzy doktoranci, przypominający zombie, i nie szedł się wypłakiwać w toalecie. A jednak czuł, że coś jest nie tak. Wycieńczenie było tu standardem. Obserwując innych młodych wykładowców na korytarzach widział, że popadli w pracoholizm i głównie dzięki temu utrzymali się na uczelni.

– Najgorsza była presja robienia więcej i szybciej. Do tego ciągle wyścig za punktami i wzajemne nakręcanie się. Nikt nigdy nie powiedział nam wprost: „Macie zapierdalać jak przy taśmie”, bo nie musiał. System przypominał fabrykę, w której produktem jest nauka – mówi.

Na uczelni nie było instytucjonalnie wyznaczonej osoby, która skutecznie pomagałaby walczyć ze skutkami stresu, wycieńczenia i wypalenia. Szukanie pomocy poza akademią, np. u psychologa, również nie wchodziło w grę, bo Arka zwyczajnie nie było na to stać.

Na początku czwartego roku kryzys nerwowy przybrał na sile. Arek nie był w stanie napisać ani jednego zdania, a czytane w książkach litery przestały łączyć się w słowa. Wtedy Arek zniknął na całe dni, grając na komputerze. Dna, jak twierdzi, sięgnął, gdy koronawirus zamknął ludzi w domach. Czy miał depresję, nie wie, bo nikt jej oficjalnie nie zdiagnozował. Niedługo później się poddał. Przestał pojawiać się na uczelni, na co nikt nie zwrócił uwagi. Jego zdaniem to klasyczna reakcja – podobne zniknięcia są na porządku dziennym i mało kto się nimi przejmuje.

– Nie znam bezproblemowych doktorantów. Jeżeli gdzieś tacy są, to muszą być naprawdę genialni albo bogaci z domu, aby pozwolić sobie na bezstresowy dok-

torat – mówi gorzko, ale zaraz dodaje, że mimo iż uczelnia stała się dla niego źródłem opresji, to współczuje tym, którzy muszą nią zarządzać. – Dyrekcje szkół wyższych również nie potrafią pomóc „przetyranym” doktorantom, ponieważ same są uwiązane wymogami ministerialnymi i muszą się spowiadać z wyników. Jeżeli borykasz się z wypaleniem, a twoja praca cię przytłacza, to zamiast szukać pomocy, powinienes ją zmienić na inną. Nikt ci nie pomoże. Ten problem nie jest jednostkowy, ale systemowy.

Wysiedzieć „dupogodziny”

Julia zdecydowała się na karierę naukową, ponieważ interesowały ją procesy i zagadnienia wiążące się ze współczesnym projektowaniem wnętrz. Jednak swój doktorat obroniony na jednej z akademii sztuk pięknych uważa za nieporozumienie.

– Prawie wszystkiego musiałam nauczyć się sama, bo teoria była na „rozlażłym” poziomie, a dziury w ramie programowej łątano niezbyt sensownymi wykładami. Chodziło raczej nie o nas, ale o to, by profesorowie mogli wyrobić sobie pensum. Zdecydowałam się jednak zostać, ponieważ wiedziałam, że pracując ze studentami będę się cały czas rozwijać – podkreśla.

Julia twierdzi, że granty były tak słabo opłacane, że nawet się o nie nie starała. Szczęśliwie udało jej się zdobyć dofinansowanie w ramach programu „Młoda Polska” z ramienia Narodowego Centrum Kultury. Ale i tak, odkąd rozpoczęła karierę naukową, jej bezpieczeństwo finansowe opiera się raczej na braniu dodatkowych zleceń zawodowych poza uczelnią. – Teraz wykładam i jest nieco lepiej, ponieważ zarabiam 4600 zł brutto, aczkolwiek utrzymanie się wyłącznie z pensji, przy kredycie i z małym dzieckiem, jest wyzwaniem – przyznaje.

Julia wyklada na uczelni od blisko dekady. Mimo że przestała być studentką kilka lat temu, wciąż doświadcza „studentckiego zapierdolu”. Twierdzi, że ma tak naprawdę dwa etaty: jeden oficjalny, a drugi ukryty. Najbardziej absurdalne jest to, że akredytacja uczelni zależy od osiągnięć jej kadry, czyli wystaw, publikacji, udziału w projektach czy konkursach. Bardzo trudno na to znaleźć czas.

– Poza wymaganą liczbą zajęć pracownikiem naukowym dochodzi dużo tzw. godzin organizacyjnych, jak wypełnianie tabelki czy pilnowanie studentów na eg-

zaminach. Ponieważ nie dostajemy za nie dodatkowego wynagrodzenia i zwyczajnie trzeba to wysiedzieć, nazywamy to „dupogodzinami” – mówi Julia.

Jako wykładowczynie regularnie spotyka się z młodszymi studentkami i studentami, którzy żalą się jej na przedmiotowe lub protekcyjne traktowanie oraz umniejszanie kompetencji. Zdarza się, że obrony profesorowie rozpoczynają tekstami typu „taka duża praca, a pani taka malutka!”. Normą mają być też podszyte seksualnością aluzje wobec kobiet; broniący się studenci nie słyszą takich uwag, a zadaje się im wyłącznie merytoryczne pytania.

Julia: – Na moim wydziale jest kilku profesorów, którzy trafiali przed oblicze rektora, ale nic to nie zmieniało. Kiedyś poproszono mnie o napisanie skargi na jednego z profesorów. Dotyczyła dwuznacznych komentarzy i nieodpowiedniego zachowania. Zgłosiłam to, a on otrzymał naganę. Jednakże dwa miesiące później ten sam wykładowca dostał nagrodę. Na uczelni wszystko zostało po staremu.

Jedną z metod weryfikacji wykładowców są anonimowe ankiety dobrowolnie wypełniane pod koniec każdego roku przez studentów. Jak się okazuje, i to można obejść.

Julia: – Jeden z prowadzących, notabene ten sam, który otrzymał nagrodę, ma opinię totalnego „zwyrola”, który przekracza wszelkie granice. Jednego roku negatywnych ocen było tak dużo, że trzeba było dodrukować formularze. Skończyło się tak, że ankiety zaginęły „w niefortunnych okolicznościach”. I tyle było z opiniowania.

Mimo że jest kilka lat po obronie doktoratu, a jako pracownica uczelni zarzą-

dza własną pracownią, dalej doświadcza umniejszania dorobku i nadmiernej kontroli ze strony profesorów. Dopiero habilitacja sprawi, że zostanie tzw. pracownikiem samodzielnym i nie będzie musiała tłumaczyć się z każdej decyzji.

Po latach spędzonych na uczelni Julia widzi jednak światopoglądowe przemiany. Młodszy doktorzy, którzy zostali przeciwieni przez brutalny system, są bardziej empatyczni i wrażliwi. Nie oznacza to jednak, że akademia skazana jest na sukces, a progresywność i inkluzywność będzie niedługo oczywistością. – Teoretycznie światelkiem w tunelu powinno być powołanie w zeszłym roku na mojej uczelni rzecznika praw studenta, ale stare układy wciąż dobrze funkcjonują. Np. obecny asystent dziekana został zatrudniony po tym, jak jego ojciec, który pracuje w dużej firmie komputerowej, zasponsorował sprzęt do dziekanatu – podsumowuje Julia.

Co dalej?

Głównym założeniem szkół doktorskich było przekształcenie doktoranta ze studenta w młodego badacza, na wzór modelu kształcenia na Zachodzie. Oprócz wprowadzenia powszechnego systemu stypendialnego ustawa z 2010 r. opierała się m.in. na modelu doktoratów wdrożeniowych, które są formą pośrednią między naukowo-abstrakcyjnym a czysto praktycznym sposobem kształcenia. Ma to wyposażać doktorantów w umiejętność niezależnego myślenia i zaradność na rynku pracy.

Zdaniem Barbary Pietrzyk-Tobiasz, członkini zarządu i koordynatorki ds. prawnych w Krajowej Reprezentacji Doktorantów, musimy wdrożyć wiele rozwiązań naprawczych w tym

systemie. Chodzi np. o ustawowe zwiększenie wysokości stypendiów tak, by młodzi naukowcy nie byli zmuszeni do podejmowania dodatkowego zatrudnienia, o prawo do przerw w kształceniu oraz większy wpływ na relację z promotorem. – Aktualnie mamy tylko jeden przypadek dopuszczalnego zawieszenia kształcenia w szkole doktorskiej: na okres urlopu związanego z rodzicielstwem. Nie ma żadnych innych, ustawowych opcji, nawet w przypadku problemów zdrowotnych. Podobnie jest z wpływem na współpracę z promotorem. To intensywna relacja na cztery lata, od której zależy, czy rozprawa doktorska będzie skutecznie złożona. Doktoranci powinni mieć wpływ na wybór promotora – podkreśla Pietrzyk-Tobiasz.

Jedną z ról KR D jest ochrona praw i interesów doktorantów oraz podnoszenie ich świadomości prawnej w tym zakresie. Pietrzyk-Tobiasz twierdzi, że raport z 2021 r. dotyczący zdrowia psychicznego był dla nich zaskoczeniem ze względu na skalę zjawiska. Na szczęście coraz więcej osób ma odwagę o tym głośno mówić. Barbara Pietrzyk-Tobiasz: – Jako zastępczyni rzecznika praw doktoranta dostrzegam coraz większą liczbę zgłoszeń dotyczących mobbingu, molestowania seksualnego, konfliktów z promotorem bądź władzami uczelni. Do tego dochodzi lęk. Wiele osób nie radzi sobie i boi się wykorzystywać istniejące środki prawne, aby poprawić swoje położenie, ponieważ najzwyczajniej obawia się negatywnych konsekwencji. To jeszcze bardziej przemawia za potrzebą fundamentalnych zmian.

© DAMIAN NOWICKI

Imiona użyte w tekście zostały zmienione na prośbę bohaterów.

TP

Nagroda dla naszego autora!

Przemysław Wilczyński został laureatem Nagrody im. prof. Romana Czerneckiego w kategorii „publicystyka” za tekst „Nieobecność usprawiedliwiona”.

Artykuł dostępny jest pod adresem powszech.net/nieobecność

Nagroda im. prof. Romana Czerneckiego to najważniejsze w Polsce wyróżnienie dla autorów i autorek prac o edukacji.

Serdecznie gratulujemy!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAZYNA MAKARA



Jarosław Kaczyński na spotkaniu z mieszkańcami Tomaszowa Mazowieckiego, 23 listopada 2022 r.

LUKASZ SZELĄG / REPORTER

Paralele z Peerelem

STEFAN SĘKOWSKI

System kształtowany za rządów PiS jest idealnie skrojony pod uprawianie polityki według założenia, że to nie instytucje są ważne, ale kadry. Dyktatura nam jednak nie grozi.

CZY PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ JEST nowym wcieleniem PZPR, które chce odbudować w naszym kraju PRL? Tego typu porównania snują a to Małgorzata Kidawa-Błońska z Platformy Obywatelskiej, a to Adam Jarubas z Polskiego Stronnictwa Ludowego, pojawiały się też na łamach postkomunistycznej „Trybuny” – co ciekawe, tam również w formie inwektywy. Czasem jest to także lustrzane odbicie podobnych oskarżeń padających w stronę opozycji z ust polityków PiS, którzy uważają swoje ugru-

powanie za nową inkarnację Solidarności, zaś politycznych przeciwników widzą „tam, gdzie stało ZOMO”. Wiele jest w tych oskarżeniach przesady, jednak poszukiwanie podobieństw między Polską po 2015 roku a tą przed 1989 może być przydatne dla zrozumienia, w jakim miejscu się obecnie znajdujemy.

Polska PiS to nie PRL bis

Najważniejszym kontrargumentem dla tezy o wracającym PRL-u jest choćby fakt, że artykuł o podobnie krytycznej

wobec rządzących wymowie nie mogłby się na łamach „Tygodnika” ukazać przed 1989 r. – z powodów cenzuralnych. Dziś mamy demokrację, opozycja może wygrać wybory, cieszymy się wolnymi mediami, przestrzenią dla swobodnego życia społecznego i wolnością gospodarczą. W czym więc problem?

W PRL-u obowiązywała doktryna jednolitej władzy państwowej, wedle której formalnie najwyższą władzę sprawował Sejm, kontrolujący działalność innych organów władzy i administracji państwowej. Sądy nie były odrębną władzą, ale miały za zadanie, zgodnie z konstytucją z 1952 r., stać na straży ustroju PRL, ochraniać zdobycze ludu pracującego, strzec praworządności socjalistycznej i własności społecznej, zaś dopiero w dalszej kolejności chronić prawa obywateli oraz karać przestępców. Gminne i wojewódzkie rady narodowe także były organami państwa i nie miały nic wspólnego z samorządem terytorialnym. W praktyce, zgodnie z zasadą centralizmu demokratycznego wszystkie organy podporząd-

kowane były linii najwyższych władz partii, czyli Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR, z jego pierwszym sekretarzem na czele. To od niego zależało, kto zasiadał w Radzie Państwa (formalnie kolegialny odpowiednik dzisiejszego urzędu prezydenta kraju), kto był premierem i jakie ustawy przyjmował Sejm. A także jaki plan gospodarczy mają realizować jednostki gospodarki społecznej i któremu mają podlegać, ledwo tolerowane, prywatne zakłady rzemieślnicze i małe gospodarstwa rolne.

Transformacja systemowa przeniosła nas w tym zakresie do innego świata. Wprowadzono konkurencyjne wybory, trójpodział władzy, usamodzielniono samorządy, uwolniono gospodarkę, odpaństwowiono ją i otwarto na świat. W międzyczasie popełniono także wiele błędów, ale była to fundamentalna zmiana. Staliśmy się demokratycznym państwem.

Politbiuro przy Nowogrodzkiej

Po 2015 r. pojęcia takie jak jednolita władza państwowa czy centralizm demokratyczny znowu cisną się na usta. I chodzi nie tylko o strategię podporządkowywania władzy sądowniczej politykom, poprzez ograniczanie niezależności Trybunału Konstytucyjnego oraz sądów powszechnych i Sądu Najwyższego. PiS stara się uzależnić od centrali również samorządy, odbierając im kolejne kompetencje. Formalnie wciąż mamy trójpodział władzy, prezydenta, premiera oraz Sejm uchwalający ustawy, jednak realne centrum dowodzenia znowu przesuwają się z parlamentu i rządu w stronę partii – na Nowogrodzką, gdzie Polską kieruje Komitet Polityczny PiS, z prezesem Jarosławem Kaczyńskim na czele. Analogia do politbiura i pierwszego sekretarza jest uderzająca. Zgoda z wolą prezesa jest konieczna niezależnie od tego, czy mówimy o „piątce dla zwierząt”, czy przyjęciu niemieckiego systemu obrony Patriot, mającego chronić naszych obywateli. Wola szefa partii emanuje także na formalnie niezależne instytucje, takie jak Rada Polityki Pieniężnej czy Trybunał Konstytucyjny.

W tym zakresie symptomatyczny jest wymiar sprawiedliwości. Zmiany nie przenoszą nas w czasy PRL-u jeden do jednego, przede wszystkim dlatego, że mamy Krajową Radę Sądownictwa (za której powołaniem optował zresztą Ja-

rosław Kaczyński przy Okrągłym Stole). Jednak fakt, iż o jej składzie decydują posłowie, a nie, jak to było w zamiarze twórców konstytucji, sędziowie (co miało także liczne mankamenty, ale to nie temat tego tekstu), uzależnia ją od polityków, podobnie jak podporządkowanie prokuratury ministrowi sprawiedliwości.

Centralizacja odbywa się też nieformalnie, jak choćby wtedy, gdy na początku września dano nauczycielom historii i terazniejszości do wyboru... jeden podręcznik. Cel był jasny: uczniowie mają poznawać jedynie słuszną, zgodną z doktryną PiS wizję najnowszej historii Polski. Także procedowana ustawa lex Czarnek 2.0 oddaje znacznie więcej władzy niż dotąd podporządkowanym rządowi kuratorom. Kosztem rodziców i dyrekcji szkół.

Obraz podobieństw w zakresie podejmowania decyzji państwowych dopełnia prawny decyzyzizm, który zakłada, że nie liczy się jakaś tam konstytucja czy ustawy, ale wola wyrażona przez władzę: partię mieniającą się reprezentantem narodu. W Polsce mamy dziś do czynienia z licznymi działaniami „bez żadnego trybu”, czego najbardziej drastycznym przykładem było obowiązywanie „stanu nadzwyczajnego bez stanu nadzwyczajnego” w okresie pandemii COVID-19 bądź zakaz wjazdu dla dziennikarzy oraz niesienia pomocy migrantom w strefie, w której obowiązywał stan wyjątkowy przy granicy z Białorusią. Groteskowym, ale bardzo kosztownym przykładem było także uzasadnianie drukowania kart wyborczych przez Poczta Polską przed sławnymi wyborami kopertowymi „formułą Sasina”, czyli stwierdzeniem, że co prawda nie ma jeszcze ustawy, która by stanowiła podstawę prawną dla takiego działania, ale skoro rządzący zakładają, że taką ustawę uchwalą, to można już na jej podstawie zacząć działania.

Decyzyzizm doprowadził także do przejęcia mediów publicznych poprzez utworzenie Rady Mediów Narodowych po to, by odebrać w ten sposób możliwość wybierania władz mediów Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji. Jak stwierdził TK jeszcze za prezesury Andrzeja Rzeplińskiego, było to niezgodne z ustawą zasadniczą, jednak PiS się tym nie przejął. Oczywiście TVP i radio publiczne nie pełnią roli *stricto* propagandowej, a na ich antenie można usłyszeć bądź zobaczyć także polityków i publicystów kry-

tycznych wobec rządu, niemniej newralgiczne miejsca, takie jak redakcje programów informacyjnych mediów ogólnopolskich, pełnią funkcję wybitnie służebną wobec PiS. Jeśli chodzi o natężenie propagandy, to – prócz kierunku wektora – ciężko odróżnić TVP za rządów Macieja Szczępańskiego oraz za Jacka Kurskiego czy Mateusza Matyszkowicza.

Kadry w służbie narodu

Te podobieństwa nie muszą być intencjonalne – nie twierdzę, że Jarosław Kaczyński chce restauracji PRL. Nie są jednak przypadkowe. System wypracowany za komuny i kształtowany za rządów PiS jest idealnie skrojony pod uprawianie polityki według czterech założeń: że to nie instytucje są ważne, a kadry, że te kadry są po „naszej” stronie, że „my” reprezentujemy jedyną uświadomioną część społeczeństwa oraz że naszymi decyzjami politycznymi możemy dowolnie kreować rzeczywistość.

Paradoksalnie komuniści w swej ideologicznej warstwie byli bardzo sceptyczni wobec państwa. Rewolucja proletariatu miała doprowadzić do pojawienia się upragnionego społeczeństwa bezpaństwowego. Instytucje państwowe, takie jak parlamentaryzm, praworządność czy samorządy – to były tylko atrapy służące interesowi klasy właścicieli. Paradoksalnie, rzekomo propaństwowi politycy PiS oraz bliscy im publicyści i intelektualiści także bagatelizują znaczenie instytucji, w których widzą emanację interesów a to lobbystów, a to obcych mocarstw.

W świetle takiego myślenia najważniejsze są kadry, czyli politycy PiS; postawieni w każdym miejscu będą podejmowali słuszne decyzje. Jeśli Jarosław Kaczyński mówi, że „mamy u nas partię polską i partię niemiecką”, to przedstawia stronnictwo rządzące jako przewodnią siłę narodu. Logiczny wniosek jest taki, że władza nie jest czymś przygodnym w życiu PiS, jak każdej innej partii, która raz rządzi, a raz jest w opozycji. Ona się PiS należy, ponieważ jest koniecznym warunkiem realizacji interesu ogółu Polaków.

Zostawiając na boku kwestię fruktów płynących ze sprawowania władzy, daje ona przede wszystkim wpływ na rzeczywistość. Temu służy wieczna walka z „imposybilizmem”, który powoduje, że polityk nie może podjąć skutecznie

→ decyzji, albo że nie zostaje ona wykonana i nie może, w konsekwencji, zmienić biegu wydarzeń. Jednolita władza państwowa, w której rządzących nie blokują niezależne instytucje kontrolne, zaś takie twory jak Rada Polityki Pieniężnej są wprzęgnięte w politykę rządu, to odpowiednia struktura dla realizacji opisanej doktryny. Jest ona siostrą komunistycznego woluntaryzmu, który miał zlikwidować anarchię rynkową i płynnie regulować życie społeczne i gospodarcze na podstawie centralnego planu.

Dążenia i rzeczywistość

Tu się kończą podobieństwa. Nie wydaje się, by PiS dążył do wprowadzenia czegoś na kształt populistycznej dyktatury. Przede wszystkim decyzyjista i przeciwnik imposybilizmu może być także szczerym zwolennikiem demokracji rozumianej jako rządu większości, której swobody działania nie mogą ograniczać ani sztywne reguły, ani opozycja, ani instytucje zewnętrzne (niezależnie od tego, że taka demokracja bez ograniczników jest antywolnościowa). Poza tym PiS potrzebuje konkurencyjnych wyborów dla legitymizacji własnej władzy, i dziś ją niewątpliwie posiada. Wolne wybory są bowiem jednym z ideologicznych fundamentów wolnej Polski. Rządząca partia może więc starać się wykorzystywać państwo dla ułatwienia sobie zwycięstwa, drenować je ze środków, uprawiać propagandę w mediach czy zmieniać wielkość i granice okręgów wyborczych – ale wybory pozostaną wolne.

Jednak nawet gdyby i ten bezpiecznik wysiadł, to w zaprowadzeniu w Polsce neo-PRL przeszkadza rzeczywistość.

Realne centrum władzy
znowu przesuwają się
z parlamentu i rządu w stronę
partii – na Nowogrodzką,
skąd Polską kieruje
Komitet Polityczny PiS.

**Analogia z dawnym
politbiurem jest uderzająca.**

Świat zmienił się przez ostatnie ponad trzy dekady. Komuniści mogli rządzić Polską bez legitymacji dzięki temu, że Polska była zależna od Związku Sowieckiego, który opierał się na podobnej doktrynie i miał bardzo podobny ustrój. Dziś jesteśmy częścią zupełnie innego układu, członkiem NATO i Unii Europejskiej, które zbudowane są na liberalno-demokratycznym fundamencie ideowym. Moskwa nie chciała demokratyzacji, a Waszyngton i Bruksela nie chcą niszczenia wolności w Warszawie, co dobitnie pokazały swoją postawą wobec lex TVN czy ograniczania praworządności. Także w kraju jest bardzo wielu interesariuszy, którym centralizacja i zaprowadzanie jednolitej władzy państwowej nie jest na rękę. To, że mimo upływu siedmiu lat mówimy nadal o próbach i procesie, a nie o dokończonym projekcie, to także zasługa samorządowców, nauczycieli czy sędziów, którzy sprzeciwiają się daleko idącym zmianom i naciskają choćby na prezydenta Andrzeja Dudę, by wetował najbardziej radykalne zmiany.

Wreszcie, kapitalizm uniemożliwia reaktywację PRL. W realnym socjalizmie, w którym trzy na cztery osoby pracowały dla państwa, a pozarządowe i pozapartyjne życie społeczne musiało szukać kościelnego parasola ochronnego, by przetrwać – od państwa zależało być albo nie być obywatelem. Dziś założenie, że słowo prezesa PiS staje się ciałem, jest znacznie bardziej iluzoryczne. Państwo o wpływ na rzeczywistość przepycha się nie tylko z innymi państwami, ale także potężnymi międzynarodowymi korporacjami, nie zapominając o żywej, wciąż zmieniającej się tkance społecznej. Politycy PiS to widzą, więc próbują wpływać na rzeczywistość za pomocą silnych przedsięwzięć państwowych. Ale dziś Nowogrodzka nie ma szans na miraż ręcznego sterowania gospodarką. A jeśli chodzi o jej wpływ na życie społeczne, może próbować skupować niechętnie media, może nieprawomyślnie NGOsy odcinać od publicznej kroplówki, nawet zwalniać krytycznych wobec władzy pracowników (w zależnych od niej spółkach), ale i tak przestrzeń do działalności alternatywnej jest bardzo duża.

Kaczyński może się więc dwoić i troić, a i tak nie będzie miał takiego wpływu na polską rzeczywistość jak Gierek. Co nie znaczy, że zawracanie kijem Wisły w kwestiach systemowych, nawet częściowe, nie jest szkodliwe. Jednolita władza państwowa połączona z centralizmem demokratycznym ogranicza wolność, elastyczność podejmowania decyzji oraz tworzy idealne żerowisko dla politycznych pieczeniaryzy, którzy blokują rozwój cywilizacyjny naszego kraju.

© STEFAN SĘKOWSKI

TP W ŚWIĄTECZNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” DODATEK

GDAŃSK MIASTO LITERATURY

- Rozmowa z Marcinem Hamką, pełnomocnikiem prezydenta Gdańska ds. programu „Gdańsk Miasto Literatury”
- Tekst o nowym, ważnym miejscu na kulturalnej mapie miasta – kamienicy przy Długiej 35
- Krótkie wprowadzenie w literackie życie stolicy Pomorza

Dodatek powstaje we współpracy z Gdańską Galerią Miejską realizującą projekt „Gdańsk Miasto Literatury”

Zapraszamy do lektury i na TygodnikPowszechny.pl/ksiazki

GDAŃSK
MIASTO
LITERATURY

Gdańska
Galeria
Miejska
GM

GDAŃSK

Nóż na gardle

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Tysiące ludzi opuszczających polskie więzienia nie wie, jak wrócić do społeczeństwa. Są bezradni wobec zmian cywilizacyjnych, a państwo swoją polityką spycha ich na margines.

NIE BYŁEM PRZYGOTOWANY NA WYJŚCIE. Miałem ustawione całe życie w więzieniu, znałem klawiszy, wiedziałem, co z kim można załatwić. W głębi serca nie chciałem wolności – Wojciech spędził w więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim 8 lat, siedział za włamanie, rozboje i napaść na taksówkarza. Za kratami skończył zawodówkę, ale nie miał większych nadziei na to, że znajdzie pracę, i wciąż utrzymywał się z kradzieży oraz paserstwa. Na wyjście z zakładu karnego dostał zimowe ubrania i pieniądze na bilet do domu. – Ale ja nie chciałem do domu, przecież za dwa miesiące, może pół roku, znowu trafiłbym za kraty – przyznaje. – U nas w kamienicy prawie każdy siedział. Tylko matka, dopóki żyła, harowała od świtu do nocy, żeby na te paczki do pierdła dla synów i ojca starczyło. Taką byliśmy dla niej rodziną.

Wojciech „wychował się” w Łodzi. Z dzieciństwa pamięta głównie alkohol i awantury. Smak domowego samogonu poznał, gdy miał dziesięć lat, a jak miał dwanaście – upił się do nieprzytomności. Od piętnastego roku życia pił z braćmi i ojcem. W mieszkaniu nie było prądu, potem nie było też instalacji, bo ją sami wypruli ze ścian i zanieśli na złom. – Jak przychodziło święto zmarłych, to wszystkie dzieciaki z kamienicy leciały na cmentarz – wspomina. – Zbieraliśmy zniszcze, żeby oświetlić dom. Kto by tam myślał w takich warunkach o nauce?

Po wyjściu z więzienia nie miał gdzie się podziać. Nikt nie chciał na stałe zatrudnić człowieka z taką przeszłością. Po-

mogli mu przypadkowo poznani członkowie Kościoła zielonoświątkowców, to dzięki nim znalazł kąt do mieszkania i pracę fizyczną.

Adam, emerytowany strażnik więzienny, pracował w areszcie śledczym w Polsce południowo-wschodniej. Nie wierzy w resocjalizację w polskich więzieniach. – Osadzeni uczestniczyli w różnych programach, chodzili na spotkania AA, wielu pracowało, a i tak wracali za kraty. Chodzi nie tylko o to, czy oni są w stanie się zmienić, ale też o to, czy jako społeczeństwo jesteśmy gotowi ich przyjąć z powrotem.

Adam przekonuje, że nie jesteśmy. Kiedy osadzony wychodzi poza mury więzienia, musi poradzić sobie z wyzwaniami, o których ludzie nieposiadający takich doświadczeń nie mają pojęcia. Fundusz postpenitencjarny zapewnia wprawdzie doraźną pomoc, ale nie rozwiązuje podstawowych problemów, czyli zatrudnienia i dachu nad głową. Nierzadko człowiek, zanim trafił do zakładu karnego, był uzależniony od alkoholu, miał zaburzone lub zerwane relacje z rodziną, czasem wręcz doświadczenie bezdomności.

– Zdarza się, że przy długoletniej karze przeskok technologiczny jest tak duży, że ludzie nie potrafią się zaadaptować. Sklepowa kasa samoobsługowa może być dużym wyzwaniem. Podobnie jest z urzędami lub bankowością – mówi Paulina Wróbel, psycholożka i menadżerka w Stowarzyszeniu Pro Civium, przeciwdziałającemu wykluczeniom społecznym. – Ludziom opuszczającym zakład karny bardzo często towarzyszy też poczucie utraconego czasu, próbują wiele postanowień zrealizować zbyt szybko. Jest to szczególnie trudne przy odbudowywaniu relacji z bliskimi.

W więzieniu rządzi kasa

Polskie więzienia nie mogą resocjalizować, bo same wymagają gruntownej reformy. Odbierają pensjonariuszom poczucie godności, pozwalają na istnienie drugiej władzy. Osadzony siedzi w załoczonej celi, mając do dyspozycji trzy metry kwadratowe. Na jednego wychowawcę przypada czterdziestu więźniów, na jednego psychologa – dwustu. W Norwegii wychowawca ma pod opieką tylko trzech skazanych.

JACEK ŚWIERCZYŃSKI / FORUM



Zakład karny w Opolu Lubelskim, grudzień 2016 r.

→ – Ludzie nie mają czasu na pracę z osadzonym, bo uzupełniają papiery, są źle opłacani i nieprzygotowani do tego zawodu – twierdzi Mateusz, który przez pięć lat był funkcjonariuszem dawnego aresztu śledczego na Mokotowie. – W efekcie przychodził do nas osiemnastolatek, który coś ukradł, a wychodził zbir gotowy przystawić nóż do gardła z byle powodu.

Historie ludzi, którzy w więzieniach doświadczali piekła i brutalizowali swoje postawy, nieraz wywoływały społeczne dyskusje. Choćby zabójca Pawła Adamowicza: trafił do aresztu za napad, a po wyjściu na wolność dokonał morderstwa. – W więzieniu doświadczyłem przemocy, miałem problemy z alkoholem, uzależniłem się od pornografii – wymienia Wojciech. – Onanizowaliśmy się na czas, to się w więzieniu nazywa „derby”, od wyścigów konnych. Wychowawcy nie mieli dostępu do naszych prawdziwych problemów. Zresztą, nikomu chyba nie zależało na ich rozwiązaniu.

W więzieniu osadzony nigdy nie jest sam, nawet gdy się załatwia. Stłoczony na małej przestrzeni, musi walczyć. W celi to najsilniejszy, najbardziej bezwzględny i gotowy na wszystko więzień podporządkowuje sobie kolegów, wysługuje się nimi i upokarza ich. Często należy do kasty grypsujących, którzy wciąż w wielu polskich więzieniach stanowią nieformalną władzę. Niższa kasta – frajerzy – podejmują pracę i uczestniczą w programach resocjalizacyjnych. Cwel stoi najniżej: to osoba doświadczająca psychicznej i fizycznej przemocy, nierzadko gwałcona.

– Dzisiaj te podziały nie są już tak oczywiste – uważa Adam, emerytowany funkcjonariusz. – Podam przykład. Jest osiemnastolatka, czterech grypsuje, czterech to frajerzy i jeden z nich mówi: „Mogę załatwić dobry telewizor do celi, ale nie będę mył kibla”. Jeśli jeszcze raz na jakiś czas rzuci pozostałym karton fajek, to już w ogóle ma szacun w celi. Teraz w więzieniu rządzi kasa.

Gdy osadzony był śmieciem

Paweł Moczydłowski, socjolog, profesor Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, autor książki „Drogi życia więźnia”, w latach 1990-1994 był dyrektorem Centralnego Zarządu Zakładów Karnych. Od lat krytycznie ocenia sytuację polskiego więziennictwa.



Osadzeni przebywają w odizolowaniu, skazani na łaskę i niełaskę systemu, w którym rządzi prawo pięści.

Uczą się tych zachowań, które pozwolą im przetrwać w brutalnej rzeczywistości.

– Takiej nienawiści, jaką współczesna władza sieje wobec więźniów, jeszcze w Polsce nie było. Podają nawet fałszywe dane, żeby zbić kapitał polityczny na strachu wobec osadzonych – uważa Moczydłowski. – Wracamy do niechlubnych czasów PRL-u. Brak transparentnego podziału na władzę wykonawczą, sądowniczą i ustawodawczą czyni z naszego państwa miejsce, w którym więzień zamiast odbywać karę, jest dalej ścigany i poddawany represjom.

Kiedy Moczydłowski został dyrektorem CZZK, miał 36 lat i był najmłodszym członkiem rządu. Na dodatek ośrodkami penitencjarnymi wstrząsały wtedy bunt – protestowali zarówno osadzeni, jak i strażnicy. Więzienia płonęły, ale mimo to Moczydłowski wierzył, że zmiany przywrócą osadzonym godność i sprawią, że ich powrót do normalnego życia będzie łatwiejszy. Zaczął od próby zmiany atmosfery, do tej pory opartej na nienawiści personelu i więźniów. Dużo trudu kosztowało też przeprowadzenie kampanii, która miała zmienić stosunek obywateli do osadzonych.

– Więzień w odbiorze społecznym był śmieciem. Jak się w ten sposób traktuje

człowieka, to on nigdy nie zejdzie ze złej drogi – uważa Moczydłowski. – Jestem za uczciwym karaniem za złe czyny, nie możemy jednak odbierać osadzonym nadziei.

Na skutek reform Moczydłowskiego w celach pojawiły się cywilne ubrania zamiast więziennych drelichów, zdjęcia rodzinne, odbiorniki radiowe i telewizory. Tam, gdzie było to możliwe, otwarto cele i pozwolono swobodnie przemieszczać się więźniom w określonych godzinach. Zwiększono liczbę dostępnych przepustek i widzeń. Więzienia otworzyły się na współpracę z instytucjami zewnętrznymi, udzielającymi wsparcia osadzonym i ich rodzinom. Wielu z nich poddawało się np. terapii prowadzonej przez Stowarzyszenie Anonimowych Alkoholików. – Zmiany zaczęliśmy od toalet, wcześniej to był niczym niezastąpiony kubek w kącie. Wstawiliśmy sedes i przegrodę, żeby więzień miał choć cień intymności – wspomina Moczydłowski. – Pracowaliśmy też nad zmianą mentalności funkcjonariuszy. Wielu z nich odeszło, bo nie byli w stanie przyjąć do wiadomości, że zwrot skierowany do więźnia: „zapier...”, w dupę je...ny”, trzeba zamienić na zdanie: „Proszę wejść do celi”. Język krył w sobie istotę tamtych czasów, odbierał osadzonym podmiotowość.

Reformy utknęły w pół drogi. Okazało się, że nie tylko społeczeństwo, ale nawet niektórzy członkowie rządu nie byli gotowi na taką liberalizację. Coraz częściej pytano publicznie: „Mamy więzienia czy sanatoria?”. Niektórzy politycy prawnicy obiecywali, że cofną zmiany.

Bez wiary w prawo

Ma 48 lat, bogatą kartotekę policyjną i kilka lat spędzonych w więzieniu. Zanim dźgnął nożem mężczyznę, który wyszedł rano po bułki – sprawca błąkał się po starym mieście w Zamościu i pił. Nie miał pracy, wdawał się w awantury, kradł, spał na melinach. Tego dnia w sklepie był agresywny i żądał alkoholu, a kiedy ekspedientka nie chciała mu go podać, postanowił złość wyładować na kliencie. Ostrze noża wbił aż po rękkość. Nie uciekał. Poszedł do drugiego sklepu z zakrwawionym nożem i wyszedł z butelką wódki.

– W więzieniu człowiek dziczeje i za każdym razem wychodzi gorszy. Upokorzenie, jakiego tam doświadczasz, stawia go poza marginesem społecznym – podkreśla Moczydłowski. – Podstawą resocjalizacji musi być praworządny zakład karny,

tymczasem nasz system penitencjarny pozbawia człowieka wiary w prawo. Wszystko staje się moralnym bagnem, a polityków interesuje tylko poszerzanie władzy nad osadzonym.

Paweł Moczydłowski, zbierając materiały do książek, odwiedził wiele placówek i widział, jak okropne stosunki tam panują. Empatii wobec ludzi wykluczonych i skazanych na ostracyzm nauczył go też doświadczenia własnego życia. Wychowywał się w domu dziecka (i wtedy stał się przeciwnikiem kary śmierci), tułał po internatach. Obserwował różne ludzkie losy i wiedział, jak łatwo może się człowiekowi powinąć noga. Jak wiele w życiu jest rzeczy niezależnych od jego woli.

Moczydłowski podkreśla, że polski system penitencjarny opiera się na konfrontacyjności, a funkcjonariusze są wykonawcami społecznie oczekiwanego rewanżu na osadzonych. Tymczasem zadaniem strażników powinna być obrona skazanych przed populistycznymi zapędami. Powinni wskazywać im drogę do przemiany wewnętrznej, która stanie się podstawą życia na wolności.

Prof. Monika Płatek w pracy „System penitencjarny państw skandynawskich” namawia do debaty nad racjonalną polityką kryminalną i karną w Polsce. Píše: „Z dążenia do unikania społecznego wykluczenia biorą się w sposób naturalny poszukiwania rozwiązań, które także więźniów nie odcinają od społeczeństwa otwartego. Skandynawowie poszukują więc takiego sposobu urządzania systemu penitencjarnego, który nie skazuje na wykluczenie za społeczną burtę”.

W Szwecji cele są jednoosobowe (minimum 6 m²), stoi w nich łóżko, szafa, stół, krzesło, półka na książki. Cele zamyka się tylko między godz. 20 a 6.30. Osadzony ma do dyspozycji salę gimnastyczną, stół bilardowy, może kontaktować się z innymi pensjonariuszami. Między śniadaniem a obiadem uczestniczy w zajęciach – to może być praca, nauka, udział w terapii. Proces resocjalizacji pomyślany został tak, by wyposażać ludzi w wiedzę i umiejętności pozwalające skutecznie zawalczyć o własne życie po wyjściu na wolność.

Z kolei w Danii aż 90 proc. więźniów wychodzi na warunkowe zwolnienia, wcześniej jednak podpisuje z państwem kontrakt. Wyszczególnione są w nim warunki kary probacyjnej, czyli odbywanej

poza murami zakładu. Warunkiem pobytu na wolności może być np. terapia w grupie AA.

– W krajach skandynawskich wyszli z założenia, że aby resocjalizacja i readaptacja społeczna miały sens, należy podchodzić do osadzonych z szacunkiem. To się sprawdza – wyjaśnia psycholożka Paulina Wróbel. – Oprócz programów resocjalizacyjnych pracuje się nad mentalnością ludzi, rozmawia o więziennictwie, przeciwdziałając stygmatyzacji. Te wszystkie działania dają większą skuteczność w zapobieganiu ponownym powrotom do zakładów karnych.

Przemoc rodzi przemoc

Nie można tego powiedzieć o Polsce, w której za kratami siedzi ok. 70 tys. osób. Według danych za 2019 r. prawie 45 proc. przestępstw było popełnianych do roku od opuszczenia przez sprawcę zakładu karnego, a ok. 40 proc. osób pierwszy raz zwolnionych z więzienia łamało ponownie prawo w przeciągu 5 lat. To również efekt braku programów resocjalizacyjnych, które powinny funkcjonować już w zakładzie karnym, oraz braku działań readaptacyjnych i terapeutycznych dla byłych osadzonych. Mało jest też wsparcia dla rodzin.

– Dlatego nasze Stowarzyszenie Pro Civium kładzie szczególny nacisk na rodzinę jako czynnik readaptacyjny – podkreśla Paulina Wróbel. – Wspieramy je psychologicznie, prawnie, prowadzimy zajęcia z doradztwa zawodowego. Wierzymy, że ma to ogromne znaczenie w prawidłowym powrocie do społeczeństwa.

W sierpniu Sejm przyjął program reform „Nowoczesne więziennictwo”, a ustawy powstały pod kierunkiem wiceministra Michała Wosia. Na stronie internetowej Centralnego Zarządu Służby Więziennej (dawnego CZZK) czytamy: „Więźniowie nie powinni mieć przywi-

leją, więzienie powinno być jak dobre lekarstwo”. Można mieć jednak wątpliwości, czy nowe przepisy będą skuteczną terapią dla chorego systemu. Reformy zakładają m.in. rozszerzenie możliwości pracy więźniów, rozwój dozoru elektronicznego, wzmocnienie bezpieczeństwa w zakładach karnych oraz lepsze wykształcenie służby więziennej. To ważne sprawy, ale brakuje też wielu innych aspektów wymagających zmian.

– Z wielkim bólem patrzę na program reform, ponieważ ogranicza on możliwość utrzymywania przez więźnia kontaktów z rodziną oraz światem zewnętrznym, a to jest szczególnie ważne w resocjalizacji osadzonych – uważa Paulina Wróbel.

Skazani przebywający w odizolowaniu od świata, skazani na łaskę i niełaskę systemu, w którym rządzi prawo pięści, uczą się zachowań, które pozwalają im przetrwać w brutalnej rzeczywistości. A potem przenoszą ten sposób funkcjonowania za mury. Po wyroku wracają do społeczeństwa pełni frustracji i buntu, a pozostawieni na marginesie upominają się o siebie nie na drodze oficjalnej, bo tej nie znają. Przystawiają więc nóż do gardła przypadkowym obywatelom. I to oni płacą rachunek za zaniedbania i krótkowzroczność kolejnych rządów.

– Wielu ludzi w Polsce nie wierzy w resocjalizację, ale problem polega na tym, że tych przywróconych społeczeństwu jednostek nie widać, bo w statystykach nie ma przestępstw, które mogliby popełnić, a nie popełnili – twierdzi Paweł Moczydłowski. – Jeżeli osadzony bierze udział w programach naprawczych, pracuje i ma dobry kontakt z rodziną, to po wyjściu na wolność ma szansę na zmianę. Muszą jednak istnieć sprawne służby, które mu w tym pomogą. Dziś polskie więzienie opiera się na przemoc, a przemoc rodzi tylko przemoc.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 910/21 na skutek wniosku Gminy Stanisławów toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Antonim Brzoście, zmarłym 12 lipca 1974 roku w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w miejscowości Ładzyń.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



ZBIGNIEW PREISNER

I PRZYJACIELE

„Stare i nowe kolędy”

zaśpiewają:

Beata Rybotycka, Edyta Krzemień,
Joanna Pocią, Maciej Balcár,
Zbigniew Preisner,
Zespół Jana Karpiela Bułeki

5 stycznia 2023
Cavatina Hall w Bielsku-Białej

6 stycznia 2023
Teatr Wielki - Opera Narodowa
w Warszawie

7 stycznia 2023
Centrum Kongresowe ICE Kraków

8 stycznia 2023
Narodowe Forum Muzyki
we Wrocławiu

9 stycznia 2023
Sala Ziemi w Poznaniu

10 stycznia 2023
Polska Filharmonia Bałtycka
im. F. Chopina w Gdańsku

BILETY: BILETSERWIS.PL

Prestige
MIM

bs BILET
SERWIS

REGENT
WATKOW HOTEL

WZECZPOLITA

TYGODNIK
POWSZECHNY

VIVA!

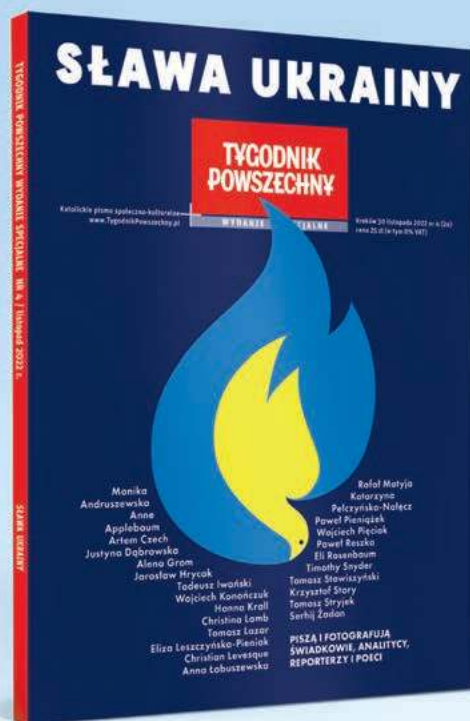
Claudia

onet

proart

VISION

ams



**Historia walki,
oporu, poświęcenia.
Solidarności i pomocy.**

To także nasza historia.

PREMIERA!

Wydanie specjalnie „Tygodnika Powszechnego”
już w sprzedaży.

Szukaj w najlepszych punktach z prasą
lub zamów swój egzemplarz na
zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

WSPÓŁWYDANIE:

DOFINANSOWANIE:



Wydanie sfinansowane z Funduszu Stabilizacyjnego dla Kultury i Edukacji 2022
Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec
i Goethe-Institut www.goethe.de.



Federal Foreign Office



TOMASZ

Stawiszyński: Władca iluzji



Z Ubiegłorocznej podkastowej rozmowy Sama Harrisa z Samem Bankman-Friedem – do niedawna uważanym za złote dziecko epoki cyfrowego kapitalizmu, błyskotliwego geniusza biznesu – pamiętam przede wszystkim poczucie

dziwnego dysonansu.

Z jednej strony bowiem słuchałem charyzmatycznego młodzieńca, którego kariera to gotowy materiał na scenariusz hollywoodzkiego hitu. Syn dwójki wybitnych profesorów prawa z Uniwersytetu Stanforda, absolwent fizyki na MIT, twórca obracającej kryptowalutami spółki FTX, której wartość wyceniana była w momencie nagrywania tej rozmowy na kilkadziesiąt miliardów dolarów. Do tego wszystkiego jeszcze – radykalny filantrop, przeznaczający znaczną część swoich gigantycznych dochodów na działalność dobroczynną w duchu efektywnego altruizmu à la Peter Singer. Robi wrażenie, nieprawdą? A gdyby amerykańskim scenarzystom wciąż było mało – mieszkanie i lider poliamorycznej komuny mieszczącej się w niebotycznie drogiej posiadłości na Bahamach. Wszystko to przed trzydziestką. Już widzę ten rekordowy *box office*, już widzę sypiące się nominacje do Oscarów.

Z drugiej jednak strony było w słowach Bankmana-Frieda coś niepokojącego. Jak to określić? Wtedy odniosłem mgliste wrażenie, że pomimo całego deklarowanego zaangażowania w sprawy społeczne jest to człowiek wyrachowany, żeby nie powiedzieć: makiaweliczny. Szczególnie jeden fragment rozmowy przykuł w tym kontekście moją uwagę. W pewnym momencie, opowiadając o tym, co przywiodło go do miejsca, w którym teraz jest, SBF (to jego popularny pseudonim) wspominał, jak to po studiach zupełnie nie wiedział, co właściwie powinien zrobić ze swoim życiem. Czuł dojmującą pustkę, a każdy scenariusz wydawał mu się równie mało atrakcyjny. Wypisał więc te najważniejsze na kartce, ale dalej nic go nie przyciągało. Niedługo potem zetknął się z rynkiem kryptowalut i postanowił tam rozwinąć skrzydła. W bardzo krótkim czasie stał się najjaśniejszą gwiazdą pośród młodych miliarderów, hołubioną przez media, uwielbianą w kręgach artystycznych i politycznych. Zwłaszcza w tych drugich, tak hojnie dotował bowiem Partię Demokratyczną, że uplasował się na drugim miejscu w rankingu największych indywidualnych jej darczyńców, zaraz po George'u Sorosie.

Niecały miesiąc temu jednak kariera Bankmana-Frieda znieckała się załamała, a wraz z nią załamała się wydolność finansowa ogromnej liczby inwestorów, którzy mu zaufali. Z docierających do opinii publicznej informacji na ten temat wyłania się historia wprost nie do uwierzenia. W spółce FTX, trzeciej co do wielkości giełdzie kryptowalut na świecie, praktycznie nie prowadzono księgowości. Wydatki w ogóle nie były rejestrowane. Potężne pieniądze odpływały na luksusowe

posiadłości samego założyciela oraz – co dodatkowo bulwersujące – najprawdopodobniej również na posiadłości jego rodziców, szanowanych ekspertów od prawa podatkowego. Rzekoma rekordowa wartość, a co za tym idzie płynność finansowa spółki, opierała się wyłącznie – jak to bywa w przypadku klasycznych piramid finansowych – na... wierze w to, że mamy do czynienia z rzetelnym przedsięwzięciem. Kłopoty zaczęły się w momencie, w którym były inwestor Changpeng Zhao postanowił spieniężyć wyemitowane przez FTX tokeny, czyli po prostu powiedział: „sprawdzam”. Już samo zgłoszenie takiego wniosku spowodowało spadek akcji firmy, kiedy zaś okazało się, że nie jest ona w stanie zdobyć potrzebnych funduszy – ruszyła lawina podobnych roszczeń. 11 listopada FTX ogłosiła bankructwo, Bankman-Fried z najbardziej obiecującego młodego geniusza biznesu stał się zaś nowym Bernardem Madoffem.

No dobrze, ale jak to właściwie możliwe, że tak intensywnie wierzyli w tę wydmuszkę wytrawni inwestorzy, a także najbardziej prominentni światowi politycy, z Billem Clintonem na czele? Dziś myślę, że moje wrażenie sprzed roku należy poddać pewnej korekcie. Owszem, nie wycofuję się z diagnozy o wyrachowaniu, nie sądzę już jednak, że mamy do czynienia z człowiekiem, który bardzo starannie kalkulował każdy swój krok. Obraz całkowitej degrengolady i strukturalnej anarchii w FTX zdecydowanie przeczy takiemu przypuszczeniu. Jak się zdaje, w sposób niezwykle wyrachowany Bankman-Fried myślał wyłącznie o... swoim własnym wizerunku. Może zatem dlatego beznamietnie rachował, kim w życiu zostać, że zajmowało go nie to, co tak naprawdę chciałby robić, ale to, jak chciałby być postrzegany?

Trzeba przyznać – przynajmniej do pewnego momentu ta kreacja doskonale mu się udawała. Umiejętnie wpisywał się w najbardziej rozpowszechnione współczesne zbiorowe fantazje, w kompozycję jakości składających się na współczesne sny o potęgę, władzy i sukcesie. Oto niektóre z tych jakości: młodość, geniusz, efektywność, bogactwo, a przy tym otwarte i szczodre serce. Cóż z tego, że pod spodem wszystko wyglądało inaczej? Charakterystyczną cechą naszych czasów jest wszak to, że pod spód już prawie nikt nie zagląda. Liczą się powierzchnia, kreacja, efekt, jaki wywiera się na innych, pragnienia, jakie się w nich budzi albo – przeciwnie – zaspokaja. Jest to doprawdy zarazem zadziwiające i przerażające, że wyłącznie na takich iluzjach można zbudować miliardowy majątek. Jest to zarazem pocieszające, że wciąż jeszcze – mimo wszystko – zdarzają się w świecie tych iluzji jakieś weryfikacje. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 697/22 toczy się sprawa z wniosku Skarbu Państwa – Generalnego Dyrektora Dróg Krajowych i Autostrad Oddział w Warszawie o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat kwoty 101,31 złotych z tytułu ograniczenia sposobu korzystania z nieruchomości: działka nr 67/3 o pow. 0,1350 ha, położona w miejscowości Koberne, dla której nie ma urzędzonej księgi wieczystej i dla której nie ustalono właściciela, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez uczestniczkę Ewę Tkacz po przedstawieniu przez nią dowodu własności.

BÓG, DIABEŁ I LUDZKI LOS

Czy szatan jest nam potrzebny do zbawienia?
Przekonajmy się.

ARTUR SPORNIAK

LEKCJA RELIGII. KATECHETA PRÓBUJE budować pozytywny przekaz – mówi, że Bóg stworzył ludzi dla nieba, dla wiecznej komunii z sobą. Bystry nastolatek pyta: skoro tak, dlaczego Bóg nie stworzył nas od razu w niebie, wtedy ominęlibyśmy całe to zmaganie na ziemi? Zaskoczony katecheta myśli o bezmiarze ziemskich nieszczęść. Próbuje coś mówić o odrzuceniu drogi na skróty.

To przykład wskazujący na istnienie pytań wybuchowych, które potrafią wywrócić nasz światopogląd. Dlatego obchodzimy się z nimi ostrożnie, a najchętniej je ignorujemy. Na szczęście nie wszystkie dzieci uda nam się na nie zniezulić. Gdy taki młody człowiek nabierze nieco biegłości w metafizyce, do głowy mogą mu przyjść kolejne pytania: skoro Absolut jest bezkresną Doskonałością i wypełnia sobą wszystko, jak jest możliwe istnienie niedoskonałego świata i – co za tym idzie – po co Pan Bóg go stworzył? Bilans bowiem stał się ujemny: Bóg plus świat to mniej niż doskonały samoistny Absolut. Jak usprawiedliwić to manko?

Arcypytyanie z tego gatunku, które pozostaje bez satysfakcjonującej odpowiedzi: skąd i po co jest zło przynoszące cierpienie? Jeśli odniesiemy to pytanie do Bożych przymiotów, powstaje aporia (trudność w rozumowaniu), której wersja kanoniczna pochodzi od Epikura: czy Bóg chce zapobiegać złu, lecz nie może? Nie jest zatem wszechmocny. Czy może, ale nie chce? Jest więc niemilosierny. Czy może i chce? Skąd zatem zło? Czy nie może i nie chce? Dlaczego więc nazywać go Bogiem?

Pytania niebezpieczne albo beznadziejnie trudne, ale gdy przestaniemy je zada-

wać, będzie to świadczyć o śmiertelnym duchowym kryzysie (przekonywał o tym np. Marcin Król). Dzisiaj coraz ważniejszym, nowym kontekstem dla nich staje się rozwój nauk przyrodniczych i kształtowany przez niego obraz świata. Trzeba szukać odpowiedzi, które uwzględniają tę właśnie perspektywę.

Raj symulowany

Dlaczego nie znaleźliśmy się od razu w niebie? Jako Bożą odpowiedź na to pytanie można potraktować opowieść o raju. Od dawna mamy świadomość, że nie jest to relacja historyczna (na szczęście Kościół już się nie upiera, że Adam i Ewa to postacie rzeczywiste). Raju nigdy na ziemi nie było – wyklucza go historia naturalna świata. Opowieść z Księgi Rodzaju można zinterpretować jako mityczną symulację, poprzez którą Bóg mówi: zobaczcie, gdybym umieścił was od razu przy sobie, zdradzilibyście mnie i stracili do mnie dostęp (teatralnie zobrazowany wygnaniem z raju)! Nie jesteśmy gotowi na niebo.

Nasz dyżurny bystry nastolatek mógłby odpowiedzieć, że to, z jakim wyposażeniem nas Pan Bóg stworzył, zależało przecież od Jego woli – dlaczego nie stworzył nas moralnie silniejszych (albo inteligentniejszych) i przez to mniej podatnych na podszepty węża?

Problem w tym, że nie wyszliśmy wprost spod Jego ręki (tu znowu daje o sobie znać kontekst naukowy) – jesteśmy dziećmi ewolucji biologicznej i z tym realistycznie trzeba się liczyć. Bóg nie jest magiem, który dowolnie wyzaruje nasz stan początkowy. Pozostawił autonomię procesom naturalnym. Nasze czło-

wiecze „ustawienia fabryczne” wykuwały się w miliardach lat selekcji przypadkowych mutacji. Są, jakie są – doświadczamy wolnej woli i możemy racjonalnie wybierać (wierzący w opatrność powinni westchnąć: dzięki Bogu!), jednocześnie będąc pod wpływem silnych, zastanych, „zwierzęcych” skłonności. Naszemu wnętrzu daleko do niebieskiej harmonii.

Ale mit o Raju niesie też zaskakujące przesłanie. W miejscu, gdzie przebywa Bóg, przebywa też ten trzeci. Raj – czyli przestrzeń Boga – wcale nie jest bezpiecznym miejscem. Czyha tam diabeł. Skąd się wziął? Dlaczego Bóg godzi się na jego obecność? To kolejne zagadnienie z gatunku wybuchowych.

Przestroga

Istnieje zwodniczo prosty sposób porażenia siebie z aporią Epikura: odwołanie się do teologii apofatycznej. Boga nie jesteśmy w stanie zrozumieć; cokolwiek o Nim mówimy, trafia w próżnię. Apofatyzm jest przestroga, by mierzyć siły na zamiary, co w myśleniu o Bogu oznacza, że z góry skazani jesteśmy na porażkę. Ale apofatyzm nie może być argumentem na początku drogi – zamykałby wtedy możliwość rozmowy, byłby unikiem, a nie odpowiedzią. Bo w istocie odpowiedzią nie jest – jest procesem, dojrzewaniem, horyzontem.

Poświadcza to Księga Hioba. Bóg odpowiada Hiobowi szeregiem pytań, ukazując właśnie apofatyczny horyzont: „Przepasz no biodra jak mocarz! Będę cię pytał – pouczysz Mnie. Gdzieś był, gdy zakładałem ziemię? Powiedz, jeżeli znasz mądrość. Kto wybadał jej przestworza?



Wiesz, kto ją sznurem wymierzył? Na czym się słupy wspierają? Kto założył jej kamień węgielny ku ucieście porannych gwiazd, ku radości wszystkich synów Bożych?” (38, 3-7). Następuje to jednak dopiero na końcu księgi – po całym dramatycznym procesie przeżywania cierpienia: lamentach, skargach na Boga, ataku przyjaciół i obronie przed ich argumentacją.

Mamy zatem prawo odłożyć perspektywę apofatyczną na koniec i jeszcze raz spróbować wszystko przemyśleć.

Stwórczy skurcz

Taką pracę wykonał w drugiej połowie XX w. Hans Jonas w głośnej książce „Idea Boga po Auschwitz”. Wychodząc od faktu, że Bóg nie zatrzymał swoją interwencją zagłady narodu wybranego, żydowski myśliciel doszedł do przekonania, że nie może On być równocześnie dobry, rozumiały i wszechmocny. A skoro jest dobry (trudno inaczej o Nim myśleć) i rozumiały (przecież objawił się w Biblii), to nie może być wszechmocny. Zdaniem Jonasa Bóg sam wyrzeka się swojej mocy.

By to uzasadnić, przywołuje on koncepcję XVI-wiecznego kabalisty Izaaka Lurii, który przewrotnie zinterpretował stworzenie świata przez Boga, odwracając nasze potoczne wyobrażenia: stwarzanie to nie tworzenie czegoś, tylko powstrzymanie się. Bóg, wypełniając wszystko swoją doskonałą istotą, musiał zrobić miejsce dla świata, wobec tego skurczył się i samoograniczył.

Koncepcja *cimcum* (z hebrajskiego „kurczyć się”) ma ciekawe metafizyczne konsekwencje. Gdyby Bóg zaprzestał tak rozumianego stwarzania, świat nie zapadłby się w nicość, jak naucza tradycyjna teologia, tylko błyskawicznie zamieniłby się w Boga, rozpląnął w Nim. Gdyby z kolei Bóg chciał w świecie dokonać bezpośredniej interwencji – efekt byłby podobny: Bóg przełamałby taką interwencją swój stwórczy „skurcz” i natychmiast pochłonął wszystko w sobie.

Od razu widać, że koncepcja ta będzie odpowiadać teologom liczącym się z wymogami nauk przyrodniczych, dla których jedynym do przyjęcia modelem Bożego działania w świecie jest model →

Hieronim Bosch „Piekło”,
fragment tryptyku „Ogród rozkoszy
ziemskich”, ok. 1500 r.

→ nieinterwencyjny. Na przykład John Polkinghorne – fizyk z Cambridge, który w 52. roku życia przyjął święcenia w Kościele anglikańskim i zajął się teologią – wspomina o niej w książce „Nauka i Opatrzność. Interakcja Boga ze światem”, powołując się na protestanckiego teologa Jürgena Moltmanna, który z kolei koncepcję *cimcum* przywołuje w książce „Bóg w stworzeniu”. W Polsce o tej koncepcji pisze ks. Tadeusz Pabjan, pokazując, że nie tylko szanuje ona prawa natury, ale także zdejmuje z Boga odpowiedzialność za zło obecne w świecie (skoro Bóg nie może w świat ingerować), dając zatem nowe impulsy teodycei.

Jednak odnosząc się do poglądów Jonasa, Pabjan wykazuje, że doprowadza on koncepcję Boskiego samoograniczenia do skrajnego ujęcia, które właściwie trudno odróżnić od deizmu – według żydowskiego myśliciela Bóg może jedynie z troską i niepokojem obserwować samoistny rozwój świata i ludzkiej historii, a to, co uznajemy za opatrzność, jest fikcją. Boża troska tutaj jest nieodróżnialna od obojętności Boga.

Tymczasem zauważmy, że koncepcja *cimcum* wcale nie musi prowadzić do takiego radykalizmu – pewną formę opatrzności da się z nią pogodzić. Jej oryginalna wersja – jak zauważa Gershom Scholem w „O głównych pojęciach judaizmu” – stwierdza, że „wszystko, co istnieje, jest wynikiem podwójnego ruchu, w którym Bóg cofa się sam w siebie, a zarazem emanuje coś ze swego bytu”. I ta emanacja także jest ważna. By stworzenie mogło zaistnieć, Bóg musi być aktywny stwórczą mocą. Gdyby całkiem się wycofał, powstałaby nicność. Działa zatem przynajmniej na poziomie ontologicznym. Dlaczego nie uznać, że Bóg może subtelnie działać także na innych poziomach bytowych?



DOMÈNEC PUBLICANA / WIKIMEDIA X2

Raj, przestrzeń Boga,
wcale nie jest
bezpiecznym miejscem.

**Czyha tam diabeł.
Skąd się wziął?**

Dlaczego Bóg godzi się
na jego obecność?

Szacunek dla praw przyrody

Warunkiem nakładanym przez nauki przyrodnicze na teologię nie jest zupełny brak obecności Boga w świecie, tylko Jego poszanowanie dla praw przyrody, które sam stworzył. Co najmniej od lat 80. minionego wieku znaczny wysiłek teologów liczących się z naukami przyrodniczymi skupiony jest na tym, by wskazać możliwość Bożego działania zgodnego z prawami przyrody, a tym samym zagwarantować miejsce dla Bożej opatrzności w historii świata i ludzi.

Dodajmy, że unikatowe naukowe przedsięwzięcie lat 90. zainicjowane przez Watykańskie Obserwatorium Astronomiczne wraz z amerykańskimi myślicie-

lami w postaci serii interdyscyplinarnych konferencji naukowych dotyczyło właśnie tego zagadnienia: „Bożego działania w perspektywie nauki”. Jak owo działanie jest możliwe, przy założeniu, że nie ingeruje bezpośrednio w fizyczną rzeczywistość? Na przykład Polkinghorne twierdzi, że Bóg może oddziaływać na świat dzięki elastyczności i otwartości procesów fizycznych, potwierdzanych przez współczesne odkrycia (np. w mechanice kwantowej czy termodynamice).

Można to pokazać na prostym przykładzie (co nie znaczy, że Bóg rzeczywiście w tak prosty sposób działa). Ponieważ rozwój fizyki uświadamia nam, że świat nie jest w pełni deterministyczny, możemy założyć, że jakaś przyczyna powoduje kilka możliwych skutków, a ten, który się akurat realizuje, pojawia się przypadkowo. Jeśli za tym przypadkiem będzie stać Boże działanie, nie będzie ono łamało praw przyrody.

Skoro jednak Bóg ma wpływ (ograniczony prawami przyrody) na fizyczną rzeczywistość, powraca problem Jego (ograniczonej) odpowiedzialności za zło w świecie. Jak np. usprawiedliwić „przypadkowe” pojawianie się wad letalnych u dzieci? Czy można Boga obarczać odpowiedzialnością za konkretne przypadki cierpienia?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Ale coraz lepiej zdajemy sobie sprawę, że niektóre procesy – traktowane przez nas jako fizyczne zło – są wpisane w strukturę świata na zasadzie konieczności. Przykładem jest biologiczna śmierć. Tak złożone organizmy, jak nasze, które, aby utrzymać wewnętrzną homeostazę, pobierają energię z zewnątrz i oddają do otoczenia produkty przemiany materii, tylko przez pewien czas mogą przeciwstawiać się dodatniej entropii, będącej miarą nieuchronnego rozpadu. Tymczasem w Księdze Mądrości mamy przykład intuicji, że Bóg nie odpowiada za śmierć: „Śmierci Bóg nie uczynił i nie cieszy się z zagłady żyjących” (Mdr 1, 13). To oczywiście myślenie przednaukowe, bo jeśli Bóg wpisał ewolucyjny rozwój w naturę wszechświata, to odpowiada jakoś za strukturalnie konieczną śmierć. Być może dzisiaj powinniśmy w tym wersecie dostrzec intuicję, że śmierć nie może być końcem.

Choć w konkretnych przypadkach doświadczenia zła fizycznego nie potrafimy rozstrzygnąć, czy są one efektem strukturalnej konieczności, a zatem, czy Bóg mógł

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 1001/21, na skutek wniosku Agnieszki Marii Siudzińskiej toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Siudzińskiej z domu Kaszewskiej, zmarłej 26 czerwca 2009 roku w Drożdżówce, ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim, a także po Jacku Wojciechu Siudzińskim, zmarłym 2 marca 2021 roku w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

czy też nie mógł wpłynąć na dany fizyczny proces, świadomość, że zasadniczo ma taką możliwość, jest fundamentem sensowności modlitwy błagalnej. Wiemy jednak, że wiele naszych modlitw w ważnych sprawach nie zostaje „wysłuchanych”. Zastępy dzieci zamiast dorastać i cieszyć się życiem, przedwcześnie umierają – mimo modlitewnego szturmowania nieba przez wspólnoty. Wykluczamy, że Bóg nie chce pomagać – czy jest więc aż tak słaby?

Alibi dla Boga

I tu w refleksję o źródle zła i sensie cierpienia wkracza ten trzeci. Możliwe, że Bóg nie zawsze może pomóc – wygląda na to, że ma zobowiązania, o których niewiele wiemy. To bardzo stara intuicja, tak stara, jak wiara w diabła. Teologicznie precyzował ją św. Augustyn. „Jest on przekonany, że rzeczywiście naturalne zło (z wyjątkiem tego, które może być Boską karą) należy przypisać działaniom istot wolnych i racjonalnych, choć nie będących ludźmi” – pisze Alvin C. Plantinga w książce „Bóg, wolność i zło”. Teistycznie nastawiony przedstawiciel amerykańskiej analitycznej filozofii religii zauważa, że jeśli Augustyn ma rację (dodajmy, w kwestii zła, a nie Boskiego karania), zło fizyczne redukowaloby się do zła moralnego, które jest łatwiej „usprawiedliwić”. Zakłada się bowiem, że świat z istotami wolnymi, choć grzesznymi, jest lepszy od świata z istotami bezwolnymi. Innymi słowy – wartość samej wolnej woli przeważa zło, które zdecyduje się ona czynić. Na tym polega teologiczne znaczenie diabła – staje się on alibi dla Boga.

Jeśli jednak nie potrafimy rozróżnić koniecznych procesów przyrody i działań Boga, tak samo nie będziemy potrafili rozróżnić, za co odpowiada diabeł, a co jest efektem strukturalnej fizycznej konieczności. Wątpię zatem, czy szatanowi dałoby się przypisać winę za wszelkie zło fizyczne, jak chciał św. Augustyn. Ale już samo zestawienie działań Boga i diabła prowadzi do pytania, czy przypadkiem nie zesłaliśmy na manowce manicheizmu.

Taką sugestię wysunąłem w 2019 r. w tekście „Diabelski kłopot” (powszechnet/diabeł). Jeżeli z dużym trudem staraliśmy się obecnie zrobić miejsce dla subtelного działania Boga, które musi szanować prawa przyrody, czy jest miejsce na działanie w świecie szatana? A jeśli je przyznamy, czy nie będzie to działanie równe Bogu? Tego właśnie się w moim



Bóg szanuje
wolną wolę
rozumnych stworzeń.
**Byłoby wbrew Jego
zamysłowi zbawczemu,**
gdyby chciał dać szatanowi
możliwość jej zawłaszczania.

artykule obawiałem. Niepotrzebnie, ponieważ także do stworzenia szatana powinniśmy odnieść koncepcję *cimcum* – Bożego samoograniczenia.

Bóg, stwarzając anioły, obdarza je wolną wolą i dzieli się z nimi swoją mocą działania w świecie. W ten sposób utrzymywane zostaje status aniołów jako stworzeń. Oczywiście Bóg tym samym ryzykuje, że wolne stworzenia wykorzystają otrzymaną moc przeciwko Niemu. I wygląda na to, że tak się stało. Potwierdza to odwieczna religijna intuicja, która obcuje z istnieniem diabła, a także sygnały obecne w Biblii – czego przykładem jest wspomniana już Księga Hioba.

Składa się ona z nierównych części: klamry, będącej nieudolną opowieścią o historii Hioba, oraz poematu o wielkich walorach literackich. Prawdopodobnie autor owego poematu – składającego się z mów Hioba, jego przyjaciół i Boga – wykorzystał jako kontekst istniejącą, prymitywnie moralizującą opowieść o Bogu ukazanym jako chępliwy władca, którego ambicje sprytny szatan łatwo wykorzystuje, czego skutkiem jest trudne do wyobrażenia cierpienie najwierniejszego Bożego sługi.

Przyjmijmy za współczesną biblistyką, że nośnikami objawienia są często raczej

intuicje zawarte w opowieści niż sama opowieść. Intuicje w tym przypadku są następujące: sprawa Boga z ludźmi nie przypomina kina rodzinnego, bardziej grecki dramat. Bóg musi się liczyć z przeciwnikiem ludzi, który dysponuje potężną mocą zsyłania chorób i fizycznych nieszczęść. Hiob w malignie cierpienia nie przestaje jednak być lojalny wobec Boga – wyczuwa, że to, co go spotyka, nie jest dobrowolnie zrządzone przez Stwórcę. Źródło zła znajduje się gdzie indziej.

Uznanie istnienia szatana to przykład tego, że teologia nie musi zbyt szybko rezygnować z pewnych koncepcji czy prawd, które na pierwszy rzut oka trudno pogodzić ze współczesnym obrazem świata, kształtowanym przez nauki przyrodnicze. Ale zanim przejdę do konkluzji, konieczna jest uwaga odnosząca się do problemu opętania. Bóg szanuje wolną wolę rozumnych stworzeń – byłoby wbrew Jego zamysłowi zbawczemu, gdyby chciał dać szatanowi możliwość jej zawłaszczania, jeśli sami w jakiś sposób mu jej nie oddamy. Dlatego nonsensem jest m.in. mówienie o przedmiotach czy zwierzętach stanowiących rzekomą furtkę dla szatana albo o opętaniu małych dzieci.

Końcowy akt dramatu

Najbardziej zaskakujący wniosek z całego tego wywodu: coraz powszechniejsza ostatnio w naszych kościołach, a tak irytująca współczesną wrażliwość, pochodząca z minionej epoki modlitwa Leona XIII do Michała Archanioła, by „szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, mocą Bożą strącił do piekła”, ma jednak sens. Aniołowie nie muszą się liczyć ze złą wolą szatana. Podobnie jak my, ludzie, nie mamy problemów, by walczyć np. przy pomocy nowoczesnej medycyny z fizycznym złem i cierpieniem. Chrześcijaństwo wprost motywuje nas do niesienia ulgi strapionym. Nie mamy też zahamowań, by przy użyciu państwowego przymusu wsadzać złoczyńców do więzień. Kiedy trzeba, bronimy się przed najeźdźcą. Gdy w grę wchodzi „rzeczy niewidzialne”, możemy liczyć na obronę hufców anielskich przed zakusami Złego. Tymczasem Bóg musi się liczyć z każdą stworzoną przez siebie wolną wolą i autonomią. Paradoksalnie i my, i aniołowie możemy być często skuteczniejsi od Boga w doraźnej rozprawie ze złem.

→ Oczywiście tak się dzieje tylko w pierwszym (ludzkim) i drugim (anielskim) akcie dramatu pt. „Zło w świecie”. W trzecim, końcowym akcie – wkracza Bóg ze swoją ewangeliczną odpowiedzią. Ta odpowiedź jest uniwersalna – ona naprawdę rozwiązuje węzeł gordyjski problemu zła i przełamuje dramatyczne fatum.

Zamiast odwoływać się do życia świętych, pokażę tę możliwość na postaciach literackich. Gdyby Kreon zgodził się na niespodziewany krok i sam poddał ustanowionej przez siebie karze, przełamałby w ten sposób nieuchronny los i uratował swoją siostrzenicę Antygone, syna Hajmona i żonę Eurydykę. Zofia z powieści Williama Styrona nie musiała dać się wciągnąć w demoniczną grę, wybierając, które ze swoich dzieci chce ocalić – mogła razem z córeczką i synem iść na śmierć.

Bohaterem trzeciego aktu jest Jezus, który – jak wierzymy – jako Syn Boży, Jedno z Ojcem, przełamał Bożą bezradność wobec śmierci i zła, sam ofiarując życie, umierając na krzyżu i zmartwychwstając. I to jest ten ostateczny *happy end*.

■ ■ ■

Powróćmy do apofatycznej perspektywy. Jeżeli jest życie po śmierci i dane nam będzie w nie wejść, może się okazać, że wszystko jest inaczej. Nie spodziewam się jednak, byśmy byli rozczarowani. ©© ARTUR SPORNIAK

Msza święta w 110. rocznicę urodzin Jerzego Turowicza

zostanie odprawiona
przez księdza Adama
Bonieckiego w **sobotę,**
10 grudnia, o godz 17.00
w bazylice św. Floriana,
przy ul. Warszawskiej 1b
w Krakowie.

**Zachęcamy do wspólnej
modlitwy!**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kobieto, pościel łóżko

MONIKA BIAŁKOWSKA

Zebranie 365 mądrych i świeżych modlitewnych refleksji jest sztuką. Nie udało się: rozważania pachną banałem i niebezpiecznie przypominają listy Episkopatu.

DLA KOGO JEST „MODLITEWNIK DLA kobiet”? Szeroki wybór rozważań ponad stu autorek miał być kluczem do tego, by trafiły do każdej kobiety. Niestety, nie trafiają, albo inaczej: do każdej kobiety trafi najwyżej kilka z nich. Jeśli zupełnie różne są doświadczenia nastolatki, rozpaczającej po utracie pierwszej miłości, i matki ciężko chorych dzieci – to cel publikacji był wprawdzie ambitny, ale niemożliwy do zrealizowania. Nie da się napisać dobrego duchowego przewodnika dla kilku milionów ludzi, których nie łączy nic poza płcią.

To zarzut wobec całego dzieła, a nie poszczególnych autorek. Duża część z nich zawodowo nie zajmuje się przecież pisanem. Trudno też komentować osobiste doświadczenia, utratę męża czy nienarodzonego dziecka. Wierzę, że każde ze świadectw wypływa prosto z serc tych kobiet i nie chcą kwestionować ich uczuć i doświadczeń. Jednocześnie nie mogę uciec od myśli, że samo przeżycie trudnych sytuacji nie sprawia jeszcze, że stajemy się dla innych inspiracją. Żeby się nią stać, musimy doświadczenie poddać głębszej refleksji i wyciągnąć z niego uniwersalne wnioski.

Tego – może ze względu na krótką formę, może na brak właściwej redakcji – zdecydowanie zabrakło. W efekcie dostajemy czasem trudne i osobiste, ale częściej banalne, a momentami wręcz naiwne świadectwa, zbyt dosłowne, żeby mogły stanowić ponadczasowe przesłanie.

Przygoda w sercu

Niepokojący za to jest obraz kobiet, jaki wyłania się z modlitewnika. Piszę o tym z zastrzeżeniem, że być może odczułam to mocniej. Przeciętą czy-

telniczka będzie raczej czytać kolejne rozważania dzień po dniu, a ja musiałam przestudiować całość w jeden wieczór.

Wydaje się, że najlepszym streszczeniem wizji kobiety zamkniętej w tych rozważaniach jest ten fragment: „Mało spotykam kobiet, które czują się naprawdę wartościowe; które świadome własnej wartości potrafią postawić granice, komunikować je i strzec, które rozumieją, gdzie jest ich siła i co posiadają (...). Mało spotkałam kobiet, od których chcę się uczyć kochać, które mnie inspirowały miłością, która jest w nich”.

Niewiele takich kobiet widać w modlitewniku. Kobiety z rozważania na rozważanie nieustannie się biczą, wychodząc głównie od tego, co im nie wychodzi. Mówią o sobie, że zachowują się tak, jakby zapomniały o miłości, wciąż czegoś nie potrafią, są niewyspane, szybko wpadają w złość, męczą się monotonią i rutyną, ich celem jest przetrwać, zarobić i dotrzeć do wieczora, podejmują fatalne decyzje, w tym takie, których nie da się naprawić – i za wszystko zawsze winią siebie. A kiedy stawiają własne potrzeby nad oczekiwaniami innych, mówią, że „pozwalamy sobie na niedoskonałość”.

Gdzieś potem odkrywają Boga i mówią, że muszą inaczej, ale to już tylko na koniec, na marginesie, żeby nie przesłonić winy i bólu.

Nie ma tu kobiet, które walczą o ważne dla siebie sprawy. Nie ma tych, które prowadzą fundacje i firmy, które desperacko wyszarpują gdzieś pieniądze na skarpety dla kolejnego niechcianego uchodźcy, podejmują decyzje dotyczące dziesiątek i setek ludzkich żyć, dyskutują o kształcie prawa. Napięty grafik i kalendarz zapisany po brzegi

nie są znakami zorganizowania i odpowiedzialności za konkretny kawałek świata, ale znakami ucieczki w działanie – przed zranieniem, niespełnionymi pragnieniami i „biedą naszego serca”. Nawet jeśli otrzymujemy zadanie, by pomyśleć, co chcielibyśmy zrobić w życiu po raz pierwszy, to nie po to, żeby to pragnienie zrealizować. Wystarczy, że „zapiszemy je w swoim sercu”.

Treści naiwne

Choć każda z autorek jest zapewne fascynującą postacią, ich rozważania zebrane w takim natężeniu brzydko pachną bałanem.

Jest odrzucenie, jest chęć zemsty – jest lektura poleconej książki i wszystko mija, bo wystarczy się pomodlić. Jest dwoje młodych ludzi – zakochują się, ale mają do siebie daleko – więc on się jej oświadcza i po ośmiu latach mają już czworo dzieci. Jest samotność – więc „czujemy się opuszczone i zostawione przez wszystkich. Same na wielkiej planecie Ziemia”. Jest stół – więc „z utęsknieniem wyciekujemy niedzielnego obiadu, niespiesznego porannego śniadania czy misternie zaplanowanej kolacji. Gromadzenie się przy stole jest otwarciem się na dialog, na wzajemne poznanie, jest zaproszeniem do wzajemnej celebracji obecności Boga i bliźniego”.

Kiedy zebrać to razem i przeczytać w jeden wieczór, niebezpiecznie przypomina zaczyna listy Konferencji Episkopatu.

Są też w rozważaniach ukryte treści dość naiwne. Tatuaze mogą uzależniać, więc zastanów się, jak porozmawiać z kimś, kto robi sobie kolejny. Wiara wyklucza rozwód z optyki małżonków, wprawdzie „nie dotyczy to przemocy”, ale „tak naprawdę nie ma wyjścia, nie ma innej drogi, [tylko] pozbyć się wszystko, co się rozsypało, bo się ślubowało”. Znowu tylko modlić się trzeba o wsparcie.

Zadaniem postawionym dorosłym kobietom jest: „Pościel swoje łóżko, zwłaszcza, jeśli nie robisz tego codziennie”. A jedna z autorek zachwyca się długą listą osób, które Jan Paweł II zawsze witał w trakcie swoich homilii – udając zapewne tylko niewiedzę, że owe fragmenty przygotowywane były przez gospodarzy miejsca, trudno więc je uznać za dowód wyjątkowego traktowania każdego człowieka przez papieża.



MODLITEWNIK DLA KOBIET

Wydawnictwo Stacja7,
Kraków 2022

Sterylnie, daleko od świata

Ostatnim wreszcie – dla mnie osobiście najbardziej znaczącym problemem modlitewnika – jest całkowite oderwanie go od świata, w którym żyjemy, czy raczej ograniczenie kobiecego świata do niemieckiego „KKK” – *Kinder, Küche, Kirche* (dzieci, kuchnia, kościół). To również świadczy o tym, z jaką wizją kobiecości mamy do czynienia.

Dopiero kiedy dotarłam do dnia 193 i przeczytałam krótkie nawiązanie do pogrzebu królowej Elżbiety, uzmysłowiłam sobie, że rozważania musiały być pisane w ostatnich miesiącach. Tymczasem poza wspomnianym pogrze-

bem i dwoma wzmiankami o wojnie w Ukrainie zupełnie nie widać w nich świata. Nie ma śladów pandemii, nie ma kryzysu gospodarczego, nie ma ogromnych podziałów społecznych, nie ma kwestii uchodźców, problemów rodziców dzieci niepełnosprawnych czy nawiązania do sporów politycznych. Jasne jest, że modlitewnik to nie miejsce na publicystykę, ale na usta ciśnie się pytanie – czy naprawdę kobiet nie interesuje żadna z tych spraw? Naprawdę cały spór o życie i o aborcję można zamknąć w zdaniu o „krzykliwych i wzburzonych feministkach”? Czy rzeczywiście pytania o wiarygodność i odpowiedzialność Jana Pawła II za ukrywanie przestępców seksualnych można zamknąć w krótkim fragmencie o ataku na autorytety?

Czy można wreszcie dzisiaj modlić się w Kościele i żyć w Kościele, nie pytając o nadużycia duchownych, o jego przeszłość, o młodzież, o wiarę, o to, że coraz nas mniej? Czy rzeczywiście obchodzi kobiety to jedynie na tyle, żeby powiedzieć krótko, pod hasłem „skandale”: „Na kryzys Kościoła mam odpowiedzieć swoją dojrzałością i wsparciem. Sam Bóg wystarczy” – i wrócić do kuchni?

Wierzę, że niektóre czytelniczki w tym modlitewniku odnajdą siebie. Być może poczuć się umocnione i poprowadzone. Jeśli tego właśnie potrzebują, niech im służy. Niedobrze byłoby, gdyby do takiej wizji kobiecości ograniczyło się myślenie o kobietach w Kościele. Naprawdę jest nas więcej. Naprawdę mamy więcej odwagi. I naprawdę możemy rozmawiać o czymś więcej niż tylko o plotkach i kwiatach. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli toczy się postępowanie w sprawie I Ns 266/22 z wniosku Wiesława Chciuka o stwierdzenie nabycia prawa własności przez zasiedzenie nieruchomości gruntowej o łącznej powierzchni 0,84 ha, położonej w Zaleszanach, powiat stalowowolski, woj. podkarpackie, oznaczonej jako działki ewidencyjne: nr 648 o pow. 0,14 ha, nr 593 o pow. 0,37 ha, nr 582 o pow. 0,25 ha, stanowiące grunty orne, oraz nr 477 o pow. 0,08 ha, stanowiąca grunty rolne zabudowane, dla których nie są prowadzone księgi wieczyste. Zgodnie z Aktem Własności Ziemi nr RG.ON-5536a/73 z dnia 10.06.1980 r. oraz nr GZ.7421-62-11-38-80 z dnia 10.06.1980 r. jako właściciel przedmiotowych działek figuruje Józefa Dominek, c. Jana i Agnieszki, z d. Kalist. W/w nieruchomość znajduje się aktualnie w posiadaniu Wiesława Chciuka.

Sąd wzywa wszystkich właścicieli ww. nieruchomości, a w szczególności następców prawnych Józefy Dominek, bądź ich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do tejże nieruchomości. O ile w tym terminie nikt się nie zgłosi albo praw swoich nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono wykazane.

Jak malować miłosierdzie

O. TOMASZ BIŁKA, TEOLOG:

W religii boimy się grozy. Dlatego w projekcie malowania dziś Jezusa Miłosiernego odrzucono najciekawszy obraz.

ARTUR SPORNIAK: Zgadniesz, jaki polski obraz jest najbardziej znany na świecie?

O. TOMASZ BIŁKA OP: Domyślam się, że Jezus Miłosierny.

Faustyna była bardzo niezadowolona, gdy zobaczyła to, co namalował według jej wskazówek Eugeniusz Kazimirowski. Natomiast obraz Adolfa Hyły z tagiewnickiej kaplicy znaleźć można prawie na każdym kontynencie. To według Ciebie dobre obrazy?

Kazimirowskiego znam tylko z reprodukcji. Nie wydaje mi się, by był to zły obraz, choć wielu krytykuje go za sztampowość. W każdym razie według powszechnej opinii obraz Hyły jest gorszy. Jak mówił Jezus do Faustyny, nie w sile pędzla tkwi moc tego obrazu, ale w łaśce z nim związanej. Obaj malarze czynią znak, który ma komunikować istotne treści. Jezus stoi w białej szacie, przywołującej sakrament chrztu. Spojrzenie Jego jest „spojrzeniem z krzyża” – taką odpowiedź Kazimirowski otrzymał przez Faustynę. Co to znaczy, czy ma to być spojrzenie pełne miłości, a może bólu – pozostaje pytaniem. Lewa ręka Jezusa uchyla połę tuniki i widać dwa promienie: błądy, oznaczający wodę, która usprawiedliwia dusze, i czerwony – to krew, która jest życiem dusz.

Wychodzą one z uchylonej na piersi szaty Jezusa, jak krew i woda, które wypłynęły z przebitego włócznią serca. Jak tłumaczy Jan Ewangelista: „Trzej bowiem dają świadectwo: Duch, woda i krew” (1 J 5, 7-8). Widzimy też stopy Jezusa, obnażone i przebite. Po zmartwychwstaniu stygmaty właśnie są tym, po czym Apostołowie poznają Jezusa. To *insignia caritatis*, znamiona miłości, jak mówi Tomasz z Akwinu. Prawa ręka w geście kapłańskiego błogosławieństwa. I podpis, będący osobistym wyznaniem: Jezus ufam Tobie.

„Teologia Polityczna” promuje akcję „Namalować katolicyzm na nowo”, w ramach której znani artyści namalowali według wskazówek z „Dzienniczka” Faustyny Jezusa Miłosiernego. Czy ten projekt się udał?

Jego dużym plusem jest pokazanie szerszemu gronu wiernych i księży, że obraz Jezusa Miłosiernego nie musi być kopią obrazów Hyły czy Kazimirowskiego. Poza tym ważne wydaje mi się zwrócenie uwagi na tajemnicę Bożego Miłosierdzia, która jest szczególnym rysem naszej duchowości w Polsce.

Nie jest to jednak udany projekt, jeśli przyjrzeć się samym obrazom. Mam wrażenie, że wszystkie one są dość konwencjonalne.

Pan Jezus w „Dzienniczku” Faustyny dał jednak dość precyzyjne wskazówki.

A jednak ciekawa jest różnica między obrazami Kazimirowskiego i Hyły. Bardzo dobrze uchwycił ją Mateusz Środoń, który swego czasu podjął się namalowania Jezusa Miłosiernego – jego obraz znajduje się w kościele w Międzyzlesiu pod Warszawą. Obok obrazów Danuty Waberskiej to dla mnie najlepsza współczesna realizacja tego tematu. Zadał on sobie ciekawe pytanie, dlaczego w kulcie obraz Hyły jest popularniejszy od lepszego pod względem artystycznym obrazu Kazimirowskiego. I wskazuje na dwie różnice: u Hyły Jezus nie patrzy tak „spode łba”, lecz wprost, oraz czyni krok do przodu, jakby wychodził z ciemności ku nam. Te elementy okazują się istotne w odbiorze – czynią postać bardziej dostępną i Mateusz postanowił zachować je w swojej pracy. Jezus u Środonia jest świetlisty – jak na ikonie Przemienienia, gdzie mamy przedstawioną wizję ciała przeobstwowionego.

Mówię o tym obrazie, bo prezentuje on rodzaj sztuki „zstępującej”. W teologii rozróżniamy chrystologię odgórną i od-

górną. Zastanawiałem się swego czasu nad różnicą estetyczną między Kościołami wschodnim i zachodnim oraz jej teologicznymi podstawami. Doszedłem do wniosku, że obraz w Kościele wschodnim jest wyrazem teologii ikony opartej na chrystologii odgórnej, gdzie od bóstwa dochodzimy do kontemplacji człowieczeństwa. Ale w swoich najlepszych realizacjach malarstwo zachodnie także osiąga status ikony. Dlatego postulowałem wprowadzenie do teologii ikony chrystologii oddolnej, której reprezentację stanowiłyby zachodnie przedstawienia.

One też dotyczą sacrum?

Absolutnie tak! Na przykład średnio-wieczne krzyże mistyczne, malarstwo Holbeina, Grünewalda, a współcześnie choćby Janusza Matuszewskiego.

Twórcy uczestniczący w projekcie „Teologii Politycznej” przy wszystkich różnicach malują w typowej dla Zachodu konwencji realistycznej. A owa konwencja wymaga co najmniej dobrego rysunku. Dlatego trudno jest zaakceptować pojawiające się błędy anatomiczne. To jest zaskakujące w przypadku tej klasy malarzy.

Na przykład?

Na przykład obraz Ignacego Czwartosa: ręka osobno, twarz osobno, włosy to jakaś czapka. Zupełnie nie mam poczucia jedności postaci – obraz zdaje się być kolażem kilku przedstawień. W obrazie Beaty



ARCHIWUM PRYWATNE



ARCHIWUM PRYWATNE



MAREK GARDULSKI / ARCHIWUM PRYWATNE ARTYSTY

Od lewej: Ikona Jezusa Miłosiernego Mateusza Śrondonia. Kościół parafialny w Warszawie-Międzylesiu.

W środku: odrzucony obraz Damiana Bąka w projekcie „Teologii Politycznej”.

Obok: Jezus Miłosierny Artura Wąsowskiego.

Stankiewicz z kolei głowa jest za duża w stosunku do korpusu – coś dziwnego dzieje się z czołem. Podobno odwoływała się do wizerunku z chusty z Manoppello, chociaż oblicze Jezusa przypomina raczej aktora z filmu Franco Zeffirelliego. Po chustę z Manoppello sięga także Jacek Dłużewski.

Większość malarzy ucieka w pewną konwencjonalność. Syn Ignacego – Wincenty Czwartos – chowa się za konwencją malarstwa dewocyjnego czy ludowego – stąd jego Jezus obramowany jest wieńcem kwiatów.

Ale przecież malarstwo ikoniczne też zniekształca wizerunek, np. go wydłuża.

Zgoda, ale to właśnie inny od realizmu język. Tu zniekształcenia nie są czytelne, nie rozumiemy ich wymowy i sensu. W zniekształceniu zawsze chodzi o uwypuklenie jakiegoś znaku. Tu nie wiadomo, o jaki znak chodzi.

U Stankiewicz dość niezwykła jest biel szaty Jezusa.

Ta biel pojawia się już w jej cyklu „Dziesięcioro Żydów, którzy rozslawili Polskę”. Jezusem Miłosiernym domalowała jedenastego. Ale podoba mi się pewna graficzność w tym obrazie widoczna w malowaniu promieni oraz umowność przestrzeni. Pustka według Rudolfa Otto jest w końcu jednym ze znaków *sacrum* w malarstwie. Żeby to było

jasne – mamy do czynienia z dobrymi malarzami. Jednak te błędy anatomiczne utrudniają akt kontemplacji sakralnych z założenia obrazów.

A nie jest to nawiązanie do prymitywizmu?

Nawet jeśli jest, to jest to nawiązanie nieudolne. Powiem inaczej: obraz Ignacego Czwartos to świetnie namalowany Antychryst (*śmiech*). Twarz wydaje się maską, która odkleja się od głowy. Mamy nieznośne wrażenie, że ktoś tu się przebrał za Jezusa. Nie sądzę, że Czwartos miał taką intencję. Ale jest tak, że znaki plastyczne sugerują konkretne myśli.

Być może problemem był czas. Nie wiem, dlaczego projekt trwał tylko trzy miesiące – czy to miał być jakiś wyścig? Kazimirowski swój obraz malował pół roku.

Pytanie budzi już sam dobór twórców. Krzysztof Klimek na przykład to wspała abstrakcjonista i pejzażysta, ale dlaczego porywa się na malowanie tak trudnego obrazu, choć postać nie jest obecna praktycznie w jego dotychczasowej twórczości? Efekt jest opłakany. Projekt firmuje Jarosław Modzelewski – kolejny znakomity malarz. Jego obraz znalazł się na okładce katalogu. Tymczasem może on stać się kolejnym memem, bo wygląda jak nieudana renowacja fresku Jezusa dokonana przez Cecilię Giménez.

A co jest udane?

Kilka ciekawych intuicji. Interesujące jest oblicze, które namalował Wojciech Głogowski. Jego Jezus ma w sobie coś dziecięcego. Ale znowu nie do zaakceptowania są błędy anatomiczne, zwłaszcza w lewej ręce, i to, jak układa się tunika Jezusa.

Obraz mojego zakonnego współbrata Jacka Hajnosa wielu uważa za jeden z lepszych. Jego Jezus ma pewną siłę wyrazu. Widać, że niektóre partie obrazu – na przykład promienie – sprawiają mu radość podczas malowania. Dla mnie jest on jednak nie do przyjęcia z powodów teologicznych. Stygmat prawej ręki jest bowiem krwawy, a stygmat lewej jest świetlisty, malowany na dodatek tak, jakby to była po prostu dziura w ręce, przez którą przechodzi światło bijące z serca. Odczytuję to jako próbę ukazania Paschy, przejścia od tego, co jest krwawe, do tego, co jest świetliste. Jednak misterium zostało tu oddane zbyt emblematycznie. Namalowanie dwóch różnych stygmatów w jednym Ciele wprowadza jakiś podział. Tak jakby część ciała była w męce, a część w chwale. Trochę mi to przypomina podział w Kościele na Zachód kontemplujący mękę i na Wschód kontemplujący chwałę. Światło bijące z serca tworzy z kolei groteskowe cienie.

Od razu nasuwa się problem, jak namalować ciało przebóstwione? Większość twórców tego projektu chyba nie zadała sobie tego pytania. Z wyjątkiem może Bogny Podbielskiej czy Artura Wąsowskiego. Bogna ma jednak problem z malowaniem twarzy i ręki – górne partie postaci tracą czystość, jaką ma szata Jezusa. Myślę, że jedynym obrazem, który się w miarę udał, jest obraz Artura Wąsowskiego.

Jest on bardzo słowiański.

To jedyna rzecz, która mnie w tym obrazie mierzi, wolalbyś bardziej semicką postać, ale teologicznie nie stanowi to problemu. Jezus Wąsowskiego jest →

→ dynamiczny, jak u Środonia i Hyły. Choć lewa noga zdaje się za mocno cofnięta, nie przeszkadza to zbytnio w oglądzie. Ciekawie oddany jest ruch, zwłaszcza udanie namalowane jest przesunięcie małego palca w prawej dłoni. Podpis „Jezu, ufam Tobie” ułożony w kwadrat tutaj pasuje, w innych przedstawieniach występuje nieźorność między obrazem a napisem. Liternictwo niekiedy jest naprawdę ordynarne.

Prawdziwie oryginalne jest namalowanie mandorli. Promienie wychodzą z serca, ukrytego pod tuniką. Ich kształt migdału ewokuje myśl o ranie, która jednak staje się chwalebna mandorlą. Przechodzimy od tego, co bolesciwe, do tego, co przemienione, boskie. To właściwie wyraża ideę paschalności, która dla Ratzingera będzie wyznacznikiem obrazu prawdziwie chrześcijańskiego. Jednocześnie mandorla bardzo ciekawie buduje ruch i energię postaci – właśnie takiego wychodzenia i udzielania się, czy wręcz wylania Ducha Świętego, który ogarnia nas. Ale buduje też przestrzeń – niektóre promienie są przed Jezusem, a niektóre – w górnej partii obrazu – zdają się chować za Nim. To tworzy napięcie między tym, co jest realistyczne, a tym co nadrealne. Jako jedyny uciekł on od myślenia, że promienie to mają być dwie wstążki.

Co więcej, postać została tak namalowana, że jest w niej wewnętrzna energia – Jezus jest jak świeca: biała szata plus oblicze, które jest żarzące się jak węgiel. Ta forma plastyczna przywołuje werset o światłości, której ciemność nie ogarnęła, albo o Jezusie, który przyszedł rzucić ogień. To On jest tym ogniem miłosierdzia.

Wąsowski ratuje projekt?

Myślę, że dobrzy malarze mieli po prostu za mało czasu. Nie rozumiem natomiast, dlaczego inny bardzo dobry obraz został przez kuratorów projektu odrzucony. Specjalnie pojechałem do Krakowa zobaczyć w galerii Zofii Weiss obraz Damiana Bąka. Wydaje mi się, że reprezentuje on mistykę nocy.

Być może niezrozumienie tego było powodem jego odrzucenia. Z tego, co się dowiedziałem, kontrowersje budzi oblicze „zbyt śmiałego” – jak stwierdzono – Jezusa, które na tym obrazie znajduje się w cieniu. Tymczasem od strony plastycznej jest to bardzo dobry zabieg, czyni je aktywnym, mózg sam domalowuje



SEBASTIAN NYCIŃSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

O. TOMASZ BIŁKA jest dominikaninem, teologiem, malarzem i grafikiem.

Opiekun duchowy Wspólnoty Twórców Chrześcijańskich Vera Icon. Mieszka w Łodzi.

niejako to, czego oko nie widzi. Nie jest w końcu tak, że samo oblicze jest nieczytelne. Skrycie go w ciemności odkrywa nasze zmaganie się z niepoznawalnością Boga, stanowi wyraz teologii negatywnej, póki co bowiem widzimy, jak w starożytnym zwierciadle, które daje obraz niewyraźny i rozmyty. Ciemność nie musi być odczytywana przez skojarzenie ze złem. Obrazy pokazane na krążgankach dominikańskich w Krakowie są namalowane tak, jakby ich autorzy nie mieli świadomości kryzysu reprezentacji – tego, o co dzisiaj toczy się w malarstwie walka.

O co?

Dariusz Karłowicz sprawę stawia chyba w ten sposób, że rozejście się dwóch światów – sztuki i Kościoła – załatwi mecenat. Jeżeli będą kupcy, to będą też obrazy, które uzdrowią sytuację. Problem jednak jest dużo głębszy. Hans Belting w swojej książce „Faces. Historia twarzy” pokazuje, że już od Renesansu mamy do czynienia z kryzysem reprezentacji w malarstwie portretowym, do którego doprowadza problem przedstawienia jaźni. Próby inscenizowania „ja” portretowanej osoby, czyli podjęcie różnych strategii obrazowania, doprowadza takich malarzy jak Rembrandt do odkrycia, że domeną jaźni jest świadomość, a nie wygląd zewnętrzny. Dla Caravaggia akt malarski niechybnie kończy się zakrzepnięciem twarzy w maskę, jak w przedstawieniu odrąbanej głowy Goliata, będącej jego własnym autoportretem. Malarstwo staje się próbą przezwyciężenia ciągłego upadania w maskę. Francis Bacon będzie

dążyć świadomie do zderzenia tej maski i wzbudzenia w widzu żywego odczucia (*sensation*). Cała siła jego obrazów będzie płynąć z gwałtowności tego odarcia.

Ciekawe w naszym kontekście jest zdanie Nowosielskiego, że nie jest on w stanie namalować tajemnicy miłosierdzia. Choć ten temat za nim chodził i wydawało się, że miał plastyczny język, by zmierzyć się z nim, nie był w stanie namalować Jezusa Miłosiernego. Miał co prawda u siebie w domu (skradziony po jego śmierci) jeden taki obraz, trudno stwierdzić, czy była to próba udana.

Cały więc problem malarski polega na tym, jak plastycznie wyrazić to, co jest duchowe. Sobór Nicejski, dając w VIII w. prawo malowania Chrystusa, świętych, aniołów, stwierdza, że da się to zrobić. Cud ikony – w sensie teologicznym, a nie jako stylu malarskiego – polega na tym, że poprzez ogląd zmysłowy daje ona pewne pojęcie o rzeczywistości duchowej.

Hasło „Namalować katolicyzm od nowa” jest ważne, bo wiara musi wyrazić się w kulturze sobie współczesnej, aby zostać przekazaną. Inaczej pozostanie ona głucha, ślepa i niema. Jednak to nie udało się w przypadku malowania obrazu Miłosiernego.

A ma ona być pociągająca, jak w Liście do artystów pisał w 1999 r. Jan Paweł II.

Problem w tym, czy nasza wiara najpierw stanie się widząca – jak mówi Ratzinger – wtedy sztuka znajdzie swój właściwy wyraz. Czy wejdziemy na poziom mistagogi, czy pozostaniemy na poziomie katechezy? Mistagogia obrazu prowadzi nas poza niego ku rzeczywistości duchowej, jakoś nas przemieniając i uzdalniając do spotkania.

Nowe obrazy Jezusa Miłosiernego zatrzymały się na katechezie. Pytanie o obraz Wąsowskiego pozostawiam otwarte. Natomiast brakuje mi obrazu Bąka, czy prędzej wizji, którą on reprezentuje. Dlaczego został odrzucony? Domyślam się, że wolimy katolicyzm jasny i promienny, a boimy się i uciekamy przed tymi wymiarami wiary, które związane są z ciemnością, nocą, spotkaniem z Bogiem nieznanym. To wydarzenie zawsze będzie „*tremendum*”, czymś, co budzi grozę. W ten sposób ucinamy to, co jest prawdziwą głębią. Sztuka chrześcijańska musi dzisiaj wypłynąć na głębiej.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

ZUZANNA

Radzik:

Rzadko są mili i grzeczni



KALENDARZ ADWENTOWY: 140 ZADAŃ W 24 dni. Mignęło mi gdzieś i zadrżałam. Nie mam nic do kalendarzy, skrytek, kopert, pudełeczek. Ukrywania w nich cytatów, cukierków, zagadek. Do odliczania dni. Odliczajcie z pomocą czego chcecie. Ale

już te zadania spowodowały moje drżenie. Może były w treści niewinne, nie wiem. Moje myśli spłoszone tym hasłem pognały we wspomnienia, przez które słowo „zadanie” zestawione z kontekstem religii wywołuje skręt kiszek.

Katecheza wczesnego dzieciństwa, premiująca ładny śpiew albo rysunek. Zwłaszcza lubiąca najczęściej dziewczęcą, kujońską przykładność. Rysunki, kolorowanie, szlaczki, schludne prowadzenie zeszytu, staranne kolorowanie kopiowanych świętych obrazków tak, by nie wychodzić za linię. Na lekcjach religii z mojego dzieciństwa początku lat 90. polska szkoła właśnie spotkała polski Kościół i wpadli sobie w objęcia. No a w tym gąszczu zadań siedmioletnia ja, która schludnie, regularnie i porządnie zupełnie nie umie, choć jest dziewczynką. Więc jest słaba z religii, bo na religii liczy się właśnie to. Piątka z kwiatkiem, najwyższa nota siostry katechетки, pozostała na zawsze poza zasięgiem. Teraz w metrze moje myśli spłoszone stu czterdziestoma adwentowymi zadaniami dobiegły do tej dziewczynki, uściskały ją czule i szepnęły: to wszystko jest zupełnie nie o tym.

Łatwo teraz mówić. Ale skąd miałam wiedzieć, gdy przez całą podstawówkę w ferie świąteczne przepisywałam te swoje brzydko prowadzone zeszyty do religii, żeby ksiądz przychodzący z kołędą nie kwękał. Żeby nie było wstydu, żeby nikt nie mówił, że dziewczynka, a flejtuch. Jak religia dla prymusów, to religia dla prymusów.

Tymczasem wokół mnie odpala się pierwsza niedziela Adwentu. Podglądam w wirtualnym świecie, jak przeżywają ją

inni. Czas start, mobilizacja jakaś, poogarniamy się do świąt, postawimy na nogi swoje życie, odświeżymy chrześcijaństwo na święta. Ruszamy, to tylko 24 dni, 3 tygodnie z krótkim ogonkiem, a w tym czasie oprócz duchowych mierzalnych celów trzeba jeszcze przejść całą logistykę świąt, przeżyć wzmożenie przedświątecznych spotkań, które mnożą się, jakby zaraz kończył się świat. Porządek w domu, porządek w sercu, a jeszcze wysłać kartki, upiec na czas pierniczki (od lat nie zdążyłam zrobić tych dwóch ostatnich czynności, kiedy trzeba). Wiadomo, jak zawsze. Albo nie umiem w szlaczki, albo w ogarnianie przygotowań. Nic się nie zmienia. Stop – a czy to nie jest ta sama co kiedyś religia dla prymusów, tylko w wersji dla dorosłych?

Adwent przeobrażony w festiwal kujoństwa? Czy da się czekać radośnie, czujnie, ale bez żadnych zadań? Bez dokładania sobie roboty? Czy jeśli Adwent nie będzie biegiem przez płotki, po którym padniemy w Wigilię bez ducha, będzie mniej wartościowy, nasze zasługi nie wystarczą do... no właśnie: do czego? A kiedyś podobno w tym okresie liturgicznym nie wykonywało się prac polowych, żeby nie niepokoić ziemi. Może by tak nie wykonywać prac nad sobą, nie ciśnieniować, nie niepokoić siebie?

Czepiasz się – besztam siebie samą, ucinam myśl, wychodzę z metra, wchodzę do kościoła, traf chciał: na mszę z kazaniem dla dzieci. O czym nam przypomina Adwent, drogie dzieci? Tak, o tym, że trzeba być miłym i dobrym. No, zwłaszcza miłym – fukam pod nosem. Totalnie Adwent jest nie o tym. Być miłym i grzecznym? Jasne, Pan Jezus też był z pewnością miły i rysował równe szlaczki.

Myślałam, że Adwent jest jednak o byciu niegrzecznym. O tych niemiłych prorokach, którzy mówią przykre rzeczy wprost, nazywają problemy po imieniu. O widzeniu rzeczywistości taką, jaka jest. Nie o odwracaniu wzroku. Rzadko się daje to pogodzić z byciem grzecznym i miłym, w każdym razie często nie starcza energii na dekorum.

Odwracam w głowie adwentowe 140 zadań. Otwieram zeszyt, zaczynam listę: 140 proroków na ten Adwent. Czyja uważność nazywa ważny problem, czyj wolontariat, czyja porządowa praca ogarnia to, co istotne, czyje pisanie nazywa rzeczy jak nikt inny, czyja ciężka praca odczynia zło świata? Jest ich cała armia, w tej robocie (walce?) o inny, lepszy świat. I rzadko są mili i grzeczni. ©

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” DODATEK SPECJALNY PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY

z POLSKĄ AKCJĄ HUMANITARNĄ

W dodatku:

- POMOC, CZYLI SOLIDARNOŚĆ. Wojciech Bonowicz o najpiękniejszej z polskich idei
- POMOC, CZYLI DOŚWIADCZENIE. Z Janiną Ochojską rozmawia Bartek Dobroch
- POMOC, CZYLI LUDZIE. Doma Matejko przedstawia

W kioskach już od środy 14 grudnia.





Oksana Zabuzko

OBUDŹ SIĘ, TROJO

OKSANA ZABUŻKO, pisarka:

Przyznanie narodowi ukraińskiemu nagrody im. Sacharowa odbieram jako wyraz uznania, że walczyliśmy nie tylko o niepodległość kraju, ale i europejskie wartości: wolność i demokrację. Ukraina jest częścią Europy i jej broni.

GRZEGORZ NUREK: Czy pisze Pani dziennik, notuje wydarzenia mijającego roku?

OKSANA ZABUŻKO: Kiedy mam czas, piszę. Ale to skomplikowana sprawa, bo w ciągu ostatnich dwóch miesięcy odwiedziłam jedenaście krajów, jedenaście moich książek ukazało się drukiem w różnych europejskich wydawnictwach. Skaczę po Europie niczym kot z chorym pęcherzem. Co kilka dni zmieniam hotele, lotniska i dworce, a harmonogram spotkań autorskich mam ułożony do 17 grudnia.

Dziennik prowadzę od 40 lat, ale nigdy wcześniej nie miałam tak ogromnych przerw w jego prowadzeniu. Nic dziwnego, strasznie dużo się dzieje. A wojna w eszeryce średniowiecznej nie bez powodu była oznaczona jako potop. Wracając do hotelu z debat i spotkań literackich, padam ze zmęczenia o 2.00-3.00 w nocy. Tak to wygląda. Przed zaśnięciem myślę: to i tamto wypadałoby zapisać. Łatwiej notować pojawiające się w głowie frazy

nowych wierszy. Dzienniki planuję opublikować dopiero po śmierci. Niekiedy ich fragmenty wykorzystuję w opowiadaniach czy esejach. Już wkrótce po polsku ukaże się mój najnowszy zbiór opowiadań, tam też pojawiają się fragmenty zapiszków w opowiadaniu o Majdanie. W tym roku dzięki dwóm rezydencjom: Gdańska i Fundacji Pogranicze w Sejnach, mogłam napisać nową książkę eseistyczną. Nosi tytuł „Najdłuższa podróż” i ukaże się w Polsce w styczniu.

Natomiast zbiór esejów „Planeta Piotun” przyprowadził mnie do Polski 23 lutego. 24 lutego o świcie w hotelu zostałam obudzona dźwiękiem telefonu i słowami: „Kochanie, zaczęło się, bombardują”. Od tej sceny zresztą zaczyna się ta moja nowa książka, o której napisanie poprosił mnie włoski wydawca. Skończyłam ją pisać w czerwcu pod Sejnami, w domu rodziny Czesława Miłosza w Krasnogrudzie. Przyjaciele pytali: „A nie znalazłaś bezpieczniejszego miejsca w Europie,

jak przy przesmyku suwalskim?”. Ale miałam poczucie, że duch Miłosza się mną opiekuje. Tak jak to było w 1992 roku, kiedy poznałam go podczas konferencji w Stanach Zjednoczonych. Opisałam to w eseju „Pożegnanie z imperium”, włączonym do „Planety Piotun”.

„Najdłuższa podróż” ukazała się już po szwedzku, włosku, niemiecku, norwesku i niderlandzku. Ta książka to rodzaj analizy społeczno-historycznej, próba wytłumaczenia, szczególnie zachodniemu czytelnikowi, jakie konteksty historyczne i kulturowe przegapił od 2014 roku. Wyjaśniam, dlaczego wojna była nieunikniona. Czas najwyższy na pobudkę Zachodu i zmianę narracji. Jeszcze niedawno czytaliśmy w europejskiej prasie o „ukraińskim kryzysie”. To tak, jakby wrzesień 1939 roku nazwać „polskim kryzysem”. Pamiętajmy, że wszystko zaczyna się na poziomie języka: zakłamanie, propaganda i przemoc.

Parlament Europejski od 1988 roku przyznaje Nagrodę im. Sacharowa za wolność myśli. W 2018 roku wyróżniono nią ukraińskiego reżysera Ołeha Sen-cowa, w tym roku „odważny ukraiński naród”. Postać patrona nagrody – sowieckiego dysydenta, który krytykował tamtejszy ustrój, uważał go za totalitarny – też jest głęboko symboliczna. Jak Pani odczytuje ten gest Parlamentu?

Sacharow nie tylko krytykował ustrój sowiecki i stawiał czoło represjom (wiele wycierpiał od KGB). Był też symbolem wolności myśli. To bardzo wartościowa nagroda i piękny gest ze strony Parlamentu Europejskiego. Przyznanie narodowi ukraińskiemu nagrody im. Sacharowa odbieram jako wyraz uznania, że walczyliśmy nie tylko o niepodległość kraju, ale i europejskie wartości: wolność i demokrację. Ukraina jest częścią Europy i jej broni.

Drażniła mnie narracja pojawiająca się od lat na świecie, że system autorytarny w kryzysowych sytuacjach jest efektywniejszy niż demokracja, w której wszystko trwa dłużej i wolniej, bo trzeba najpierw

problemy przedyskutować. Otóż okazało się, że tak nie jest. Że nawet podczas wojny wolny kraj ma przewagę. W rosyjskiej armii człowiek jest mięsem armatnim. Autorytaryzm nie jest efektywniejszy nawet na polu walki. Niewolnicy motywowani jedynie żółdem przegrąją z armią żołnierzy inicjatywnych, zmotywowanych, świadomych, że walczą o wolność kraju.

Parlament Europejski uznał Rosję za kraj sponsorujący terrorizm, a przewodnicząca Parlamentu Roberta Metsola zainicjowała akcję „Generatory nadziei”, zwracając się z apelem do dwustu największych miast Europy o dostarczenie Ukrainie generatorów prądu i transformatorów, po to, aby pomóc jej przetrwać zimą. W jaki sposób jeszcze euro-parlamentarzyści mogliby pomóc Ukrainie?

Nie wypada mi powtarzać wszystkiego tego, co już mówiłam jako gość w Parlamencie Europejskim 8 marca. Ale przypomnę, że apelowałam o pomoc w obronie przeciw-rakietowej. Przy tej okazji chcę wyrazić współczucie rodzinom dwóch Polaków, którzy zginęli w Przewodowie, w trakcie odpierania przez Ukrainę zamasowanego rosyjskiego ataku rakietowego na ukraińskie miasta.

Wojna stała się ogromnym wyzwaniem dla wszystkich instytucji międzynarodowych. Wielu na początku lat 90. uwierzyło w Fukuyamowski „koniec historii”, że ten okropny XX wiek się skończył i teraz wszystko będzie dobrze, zostanie nam tylko współpraca, bogacenie się i dialog. A trzeba umieć dostrzec, że Rosja jest nieprzerwanie sukcesorem systemu istniejącego od 1918 roku. Czeką przemianowana w NKWD, NKWD w KGB, a KGB w FSB. To jest rządzący Rosją organ. Ta instytucja nigdy nie była oskarżona i osądzona za zbrodnie przeciw ludzkości popełnione w XX wieku. Od czasów Dzierżyńskiego po dziś dzień psychopatyczne poczucie bezkarności i wszechmocy. Zbrodniarz Putin, który ma poczucie, że nikt mu nic nie zrobi. Wraz z atakiem Rosji na

Gruzję w 2008 roku Zachód sprawę przespał. Czas najwyższy zmienić okulary. Gdyby już wtedy nałożono drakońskie sankcje na Rosję, być może dziś nie byłoby masowych grobów w Ukrainie.

Jarosław Hrycak powiedział:
„Wojna przyczyniła się do głębszej refleksji nad wieloma sprawami”. Jak pokazują ostatnie badania opinii społecznej, 62 proc. Ukraińców poparłoby dziś wstąpienie Ukrainy do NATO, 68 proc. – do Unii Europejskiej. Zmieniło się też postrzeganie Ukrainy na świecie.

Niestety, to wszystko jest spóźnione co najmniej o 14 lat – od 2008 roku, kiedy to powojenny system bezpieczeństwa międzynarodowego został zniszczony przez atak Rosji na Gruzję. 14 lat przyzwolenia na działanie reżimu putinowskiego – to nieźmiernie, przerażająco długo. Wychodziliśmy na Majdany, walcząc o wolne wybory, a potem o perspektywę członkostwa w Unii Euro-

pejskiej – i za każdym razem reakcją zachodnich intelektualistów było zwracanie uwagi na Rosję. Bo jeśli Ukrainie się udało z tym Majdanem, bądź w 2004, bądź w 2014, to może i w Rosji wkrótce zaczną się protesty przeciwko Putinowi? Ta logika mnie zabijała.

Aż do 24 lutego ciążył w myśleniu na świecie stereotyp, że Rosjanie i Ukraińcy to bracia, bliskie sobie narody, że Ukraińcy to niemal Rosjanie, tylko trochę gorsi. Takie niby milczące przyzwolenie Putinowi na aneksję: bo skoro są sobie bliscy, to dlaczego nie mieliby żyć razem, w jednym państwie? Oczywiście, że w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy to wszystko zostaje pospiesznie zrewidowane. Inercyjność myślenia, która wcześniej pozwalała postrzegać ludzi przestrzegających przed Rosją jako szaleńców, się skończyła. Teraz do każdego przemawiają słowa, które padały w 2008 roku: „dzisiaj Tbilisi, jutro Kijów, a pojutrze (nie daj Boże) Wilno i Warszawa”.

Za kilka dni w Warszawie odbędzie się debata zatytułowana „Ukraina w drodze do Europy. Aspiracje, wyzwania, nadzieje”. Wyzwania przed Ukrainą są olbrzymie, a jakie są obawy?

Wyzwania są nie tylko przed Ukrainą, ale przed całą Europą. Ukraina jest częścią Europy, Ukraina Europy teraz broni. Nie jesteśmy u początku lat 2000., gdy państwa byłego bloku sowieckiego chciały być przyjęte do klubu „dorosłych” krajów, które przyzwalały na wejście. Mamy głos. Bardzo ważna jest solidarność społeczeństwa polskiego manifestowana i okazywana po 24 lutego. Na „krwawych ziemiach” Europy Środkowo-Wschodniej – używam tu określenia Timothy’ego Snydera – wiemy o wyzwaniach, które stoją przed Europą, więcej, niż wie i rozumie Zachód. Zachód po prostu nie wyobraża sobie skali zagrożenia i niebezpieczeństwa ze strony Rosji.

Należy krzyczeć jak Kasandra w sztuce Łeśi Ukrainki napisanej przed I wojną światową: „obudź się, Trojo, śmierć idzie na Ciebie!”. Już czas najwyższy, by jej sztuka zobaczyła polską scenę. W Londynie miała swoją premierę w październiku. Trzeba było wojny, aby świat odkrył, że Ukraina ma swoją kulturę, sztukę, tradycję, swoich klasyków. A ci klasyki mają coś do powiedzenia Europie.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

OKSANA ZABUŻKO jest ukraińską pisarką, laureatką m.in. Nagrody Angelus i Nagrody im. Stanisława Vincenza. Ostatnio po polsku ukazał się jej zbiór esejów „Planeta Piotun” (Agora, Warszawa 2022).

21 listopada w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie spotkanie z Oksaną Zabuzko przerwała Młodzież Wszechpolska. Jak ten incydent komentuje pisarka?

Całość rozmowy na powszechnet.net/zabuzko

REKLAMA

Odważny Naród Ukraiński

Laureat Nagrody im. Sacharowa 2022



Posłuchaj podcastu
Zeteński – bohater mimo woli



Debata Ukraina w drodze do Europy Aspiracje, wyzwania, nadzieje

Piątek, 9 grudnia, godz. 10.00
Witryna Domu Wschodniego
Plac Konstytucji 6, Warszawa

Droga Ukrainy do Europy jest wyjątkowo wyboista, a sami Ukraińcy płacą dziś najwyższą cenę za marzenia o wolności i demokracji.



Rejestracja na debatę:
epwarszawa@ep.europa.eu

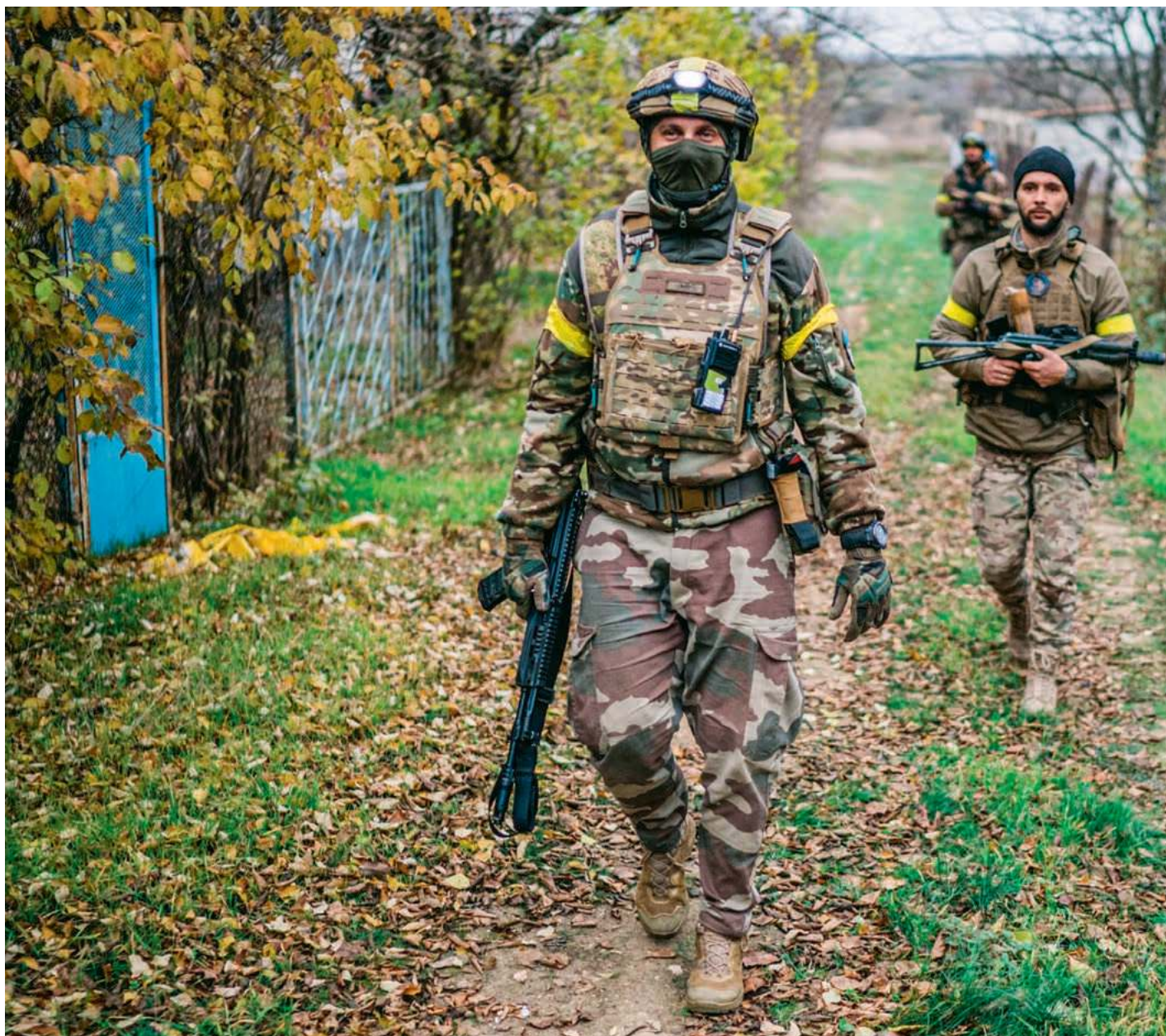


Transmisja debaty:
www.facebook.com/epwarszawa

ZACZYSTKA

Na odzyskanych przez ukraińską armię ziemiach oddziały policji wyszukują dywersantów i kolaborantów, szukają pozostawionej broni i rozminowują drogi.

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK** Z OBWODU MIKOŁAJEWSKIEGO (POŁUDNIOWA UKRAINA)



MĘŻCZYŻNA MA NACIĄGNIĘTĄ NA GŁOWĘ zimową czapkę. Na wysokości oczu owinięta jest ona taśmą klejącą, reklamującą firmę logistyczną i kawiarnię sprzedającą croissanty. Wokół mężczyzny chodzą policjanci w wojskowych mundurach. Jeden ściąga z auta rosyjskie numery rejestracyjne z Krymu. Samochód miał przywieźć ojciec zatrzymanego, pracujący w Federalnej Służbie Bezpieczeństwa na okupowanym półwyspie. Inni policjanci przetrzepują dokumenty, zbierają telefony, karty SIM; obok kładą komputer i kurtkę (takie kurtki są na wyposażeniu rosyjskiej armii).

Pierwsze słowa zapisane w zeszycie zatrzymanego mężczyzny brzmią: „Wsparcie ogniowe” oraz „Drużyna kabinów maszynowych”. Później są funk-

cje, imiona, nazwiska, otczestwa, pseudonimy, a nawet daty urodzenia, adresy domowe, ich komisje poborowe i numery telefonów. Dalej wymieniona jest kolejna drużyna, wraz ze składem.

– Zobacz, nawet buty ma z zetką – żartuje postawny dowódca kompanii odeskiego batalionu policji Tsunami o pseudonimie „Cichy”. Inni policjanci wybuchają śmiechem. Mężczyzna z naciągniętą czapką ma na nogach buty marki New Balance, której logo wygląda jak przekrzywiona litera „Z”, która jest symbolem rosyjskiej inwazji.

– Z nikim nie współpracowałem. Nie wydawałem nikogo. Zapytajcie sąsiadów – próbuje się bronić zatrzymany.

– To właśnie oni nam powiedzieli, że to robiłeś – mówi „Cichy”.

Zatrzymany próbuje się tłumaczyć, że był kierowcą tira i stąd ma adresy. Jego żona wyjaśnia, że wozili nabiał do Chersonia i tam zapisywali kontakty klientów.

– Dwa razy w tygodniu jeździliśmy. Jakoś się musieliśmy z nimi kontaktować – mówi kobieta, która nie jest skrupowana.

– I od każdego bierze pani numer? – pyta jeden z policjantów.

– Tak, naprawdę. Jak jadę, to wszystkich mam zapisanych „twaróg”, „śmietana”, „mleko”, bo tak wygodniej.

– I dlatego musieliście mieć tyle kart SIM? – dopytuje policjant.

– Dobra, koniec. Zaraz przyjedzie służba bezpieczeństwa i wyjaśni, dla kogo twaróg, a dla kogo śmietana – rzuca „Cichy”.

Z zatrzymanym zostaje kilku policjantów. Reszta rusza dalej, do kolejnych wsi. Trwa tak zwana *zaczystka* (w wolnym tłumaczeniu: wyczyszczanie). Teraz jednak w policyjnym żargonie nazywana działaniami stabilizacyjnymi.

Donosili swoi

We wsi Nowosofijiwka w obwodzie mikołajewskim przed 24 lutego mieszkało ponad 550 osób. Wieś została zajęta przez rosyjską armię w marcu i do niedawna była pod jej kontrolą. Chociaż początkowo tylko formalnie, bo nikt się w niej nie pojawił. Nowosofijiwka leży na uboczu i zdawało się, jakby Rosjanie nie wiedzieli o jej istnieniu. W końcu trafili jednak i tam, jak zobaczyli, że

z trasy na boczną drogę skręca jakiś samochód.

Teraz na jednej z wiejskich uliczek stoją mieszkańcy. Kolejni dołączają, zważeni ujadaniem psów i entuzjastycznymi okrzykami. Na widok policjantów 87-letnia Anna płacze i przytula młodszego o pół wieku policjanta Witalija.

– Niech Bóg da, byście byli cali i zdrowi!

– Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze – odpowiada jej Witalij.

– Oczywiście wszystko będzie dobrze, nasz naród jest mocny! – mówi Anna. – Boże, dzieci moje, jak ja na was czekałam.

Ze słów mieszkańców Nowosofijiwki układa się spójny obraz. Rosjan, a raczej bojowników marionetkowych republik w obwodzie donieckim i ługańskim, było tu niewielu, mieszkali razem w jednym budynku i głównie zajmowali się ochronieniem mostu oraz naprzykrzaniem się miejscowej ludności.

Na mieszkańców ulicy miała donosić jedna z sąsiadek. Szła z bojownikami i pokazywała im dom po domu. Szczególnie uwzięła się na 62-letnią Wasylynę, która była łatwym celem, bo urodziła się na Zakarpaciu w zachodniej Ukrainie, a dwoje jej dzieci służy w ukraińskiej policji. Uzbrojeni mężczyźni kilka razy nachodzili jej dom. „Znajdziemy twoje dzieci i rozstrzelamy, a tobie przy okazji też się oberwie za to, że jesteś banderówką” – mieli jej mówić. Wasylyna zalewała się łzami, drżała z przerażenia.

Będzie parada, będzie auto

Przychodzili do niej na podwórko, wypytywali, które drzwi i furtki dokąd prowadzą. Przeszukiwali wszystko, wywracali, robili bałagan. Nic nie znaleźli, bo co miała ukrywać Wasylyna? Chcieli zabrać paszport, ale wyprosiła, by go zostawili, bo inaczej nie będzie mogła przejechać przez posterunki i dotrzeć na bazar. Przez to nie mogła spać po nocach, bo ciągle wydawało się, że zaraz znów wrócą i zrobią krzywdę. Szturchnęła męża, powtarzała, by nie spał, bo ją samą ogarniał strach.

W pierwszych tygodniach wypatrzili, że na podwórku chowa starą ładę samarę. Zainteresowali się nią od razu. Wasylyna mówiła: młody chłopak zostawił, jak wyjeżdżał ze wsi, i poprosił ją, żeby pilnowała auta. Nie dodawała jednak, że tym chłopakiem był jej zięć policjant. Dwa dni kręcili się wokół tego samochodu. Nie mogli odpalić. Gdy im się to udało, auto zabrali. Następnego dnia kazali napisać ➔



Oddział policji Tsunami patroluje wieś w obwodzie mikołajewskim, 13 listopada 2022 r.

→ Wasylynie oświadczenie, że użycza im pojazd na tymczasowe użytkowanie.
– 9 maja skończy się wojna, będzie parada w Kijowie, wtedy oddam ten samochód – miał mówić jeden z nich.

Wasylina nigdy więcej nie zobaczyła lady samary.

Gdy ukraińska ofensywa w kierunku Chersonia nabierała rozpędu i front powoli przybliżał się do Nowosofijiwki, bojownicy znowu ją nawiedzili. Zapytali, czemu nie wyjeżdża wraz z mężem. Wasylina odpowiedziała, że nie ma dokąd, że nie może ot tak zostawić swoich krów. To dzięki nim przeżyła miesiące okupacji, bo handlowała nabiałem.

– To będzie miała pani przejebane, bo wasi atakują – miał do niej powiedzieć bojownik.

– Będę chować się w piwnicy – odpowiedziała Wasylina.

Mężczyzna wychodził z jej domu powtarzając pod nosem, że ich koniec jest bliski. Więcej ich nie widziała. Opuścili wieś. Sąsiadka, która na nich donosiła, także uciekła, gdy ukraińska armia była już blisko Nowosofijiwki. Większość osób kolaborujących z władzami okupacyjnymi tak uczyniła.

Kontakt z bliskimi

Koło szkoły oddział policji rozdaje pomoc humanitarną i rozstawia starlinki, dzięki którym za pomocą internetu satelitarnego mieszkańcy, od tygodni odcięci od świata, mogą porozmawiać z bliskimi. Co chwilę widać przejęte twarze, łzy, uśmiechy pełne radości i słychać mieszające się rozmowy o tym, że Rosjan już nie ma, przyjechali policjanci, a także, że ludzie odetchnęli z ulgą. Jeden z mundurowych steruje dronem przy szkole, gdzie szybko zbierają się zaciekawione dzieci z ukraińskimi flagami. Proszą policjantów o prezenty i o to, aby pozwilił im chwilę popilotać maszyną bezałogową.

Wśród dzieci biega 6-letni Kostiantyn. Jego rodzice stoją obok, ale myślami są zupełnie gdzie indziej. 40-letnia Ołena oraz o rok starszy Serhij wpatrują się w telefon. Uśmiechają się, oczy kobiety zachodzą łzami. Za pomocą komunikatora słyszy i widzi 17-letnią córkę Katerynę, która pół roku temu wyjechała z Nowosofijiwki i dotarła do Polski. Udało się to cudem, bo niedługo po tym, jak opuściła wieś, kierowca autobusu z jakiegoś powodu kazał jej się przesiąść do innego. Kateryna doje-



Saperzy unieszkodliwiają minę przeciwczołgową, obwód mikołajewski.



We wsi Nowosofijiwka, w domu zatrzymanego mężczyzny znaleziono rosyjskie dokumenty, kurtkę od munduru, karty SIM i zeszyt z danymi prorosyjskich bojowników.



W Nowosofijiwce od kilku tygodni nie ma łączności. Oddział policji przywiózł tzw. internet satelitarny. Wszystkie zdjęcia z 13 listopada 2022 r.

chała spokojnie, za to pojazd, którym podróżowała najpierw, najechał na minę.

– Te gady wszystko nam poniszczyły, nawet nie dawali chodzić na drugą stronę rzeki, żebyśmy tam złapali zasięg – mówi Ołena.

Określenia „gady” używa wielokrotnie w stosunku do Rosjan i ich popleczników.

Jestem tam, gdzie w 2014 roku

Ołena długo się zbierała, by udać się na plac przed szkołą, bo na samą myśl zaczynała płakać z radości, że Rosjan już nie ma i znowu wisi tam ukraińska flaga.

Powiesiła ją 30-letnia Kateryna. Przed wejściem Rosjan w marcu zakopała flagę wieczorem w lasku sąsiadującym ze wsią. Obok pochowała także dokumenty i medale ojca, który służył podczas wojny w Donbasie. Od jej wybuchu w 2014 r. do 24 lutego 2022 r. zginęło przynajmniej 13 tys. osób. Kateryna ukryła te rzeczy, bo wiedziała, że Rosjanie wkrótce załomoczą do jej drzwi. Tak też się stało, ale podczas przeszukania niczego nie znaleźli.

Choć Kateryna cieszy się, że okupacja to przeszłość, to trudno jej wykrzesać z siebie pozytywne emocje. Jej ojciec dwa dni po rozpoczęciu inwazji zgłosił się do

komisji poborowej i wkrótce został zmobilizowany.

„Jestem tam, gdzie w roku 2014” – powiedział tylko Katerynie. Ona od razu zrozumiała, że chodzi o miejscowość Marjinka pod Doniekiem, w której od samego początku inwazji dochodzi do ciężkich starć. Obecnie miejscowość jest w znacznym stopniu zajęta przez Rosjan. Rozmawiali z ojcem przez telefon od czasu do czasu. Łączność była fatalna i w słuchawce ciągle trzaskało, ale Kateryna wiedziała najważniejsze: jest cały i zdrowy. Tak było aż do lata, gdy nagle łączność się urwała. Dopiero po jakimś czasie od rodziny w Mikołajowie Kateryna dowiedziała się, że ojciec trafił do niewoli. Odtąd próbuje uzyskać jakieś informacje, ale za każdym razem jest odsyłana z kwitkiem.

– Wiem, że żyje, i to już dobrze – mówi z wypiekami na policzkach i załzawionymi oczami.

Kobieta, która doniosła na Katerynę – podobnie jak i ta, co nasłala Rosjan na Wasylinę – wyjechała, zanim do miejscowości weszła na powrót armia ukraińska.

Znowu spokój, ale nie dla wszystkich

Po wizycie policjantów życie we wsi wraca do powszedniości. Odjeżdżającą kolumnę pojazdów policyjnych żegnają mieszkańcy, machają, pozdrawiają, trzymają flagi i krzyczą: „Chwała Ukrainie!”. Przynajmniej jeden mężczyzna, ten w naciągniętej czapce, a także jego rodzina, nie zapamiętają tego dnia dobrze.

– A ty czemu nie spierdoliłeś? – pyta go policjant.

– Urodziłem się w Ukrainie. Czemu niby miałbym to robić? – odpowiada zatrzymany.

Nie otrzymuje odpowiedzi. Kilku policjantów zostaje z nim do czasu, aż przyjadą funkcjonariusze służby bezpieczeństwa, zabezpieczą dowody, a mężczyznę w czapce zabiorą ze sobą.

Czy życie, nawet bez niektórych mieszkańców, wróci do stanu sprzed inwazji? W Nowosofijiwce mają nadzieję, że tak. ©PAWEŁ PIENIAŻEK

Tekst powstał przy wsparciu Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu w ramach programu Documenting Ukraine.



Kibice podczas meczu FK Željezničar Sarajewo–FK Borac Banja Luka, Grbavica, 7 listopada 2022 r.

Ojczyzna, rodzina, klub

TEKST I ZDJĘCIA DARIUSZ KAŁAN Z SARAJEWA

Państwa upadają albo zmieniają granice, a klub FK Željo trwa odporny na kaprysy historii. Nawet jeśli się ugina pod jej ciężarem, siłą kibicowskiej wspólnoty w końcu i tak staje na nogi.

TO JEDYNY DZIEŃ, KIEDY ALMEDIN HALILOVIĆ modli się dwa razy, nie pięć. Najpierw około południa dziękuje Allahowi za tych, którzy oddali życie za Bośnię i Hercegowinę. Około godziny 14 prosi o spokój dusz kibiców i pracowników FK Željo. Modlitwę kończy słowami: „Boże, chroń nas, Boże, pomóż nam wygrać”. A potem idzie do kawiarni, stamtąd zaś – na stadion. Bo ów wyjątkowy dzień, kiedy Halilović pozwala sobie na naruszenie muzułmańskiej doktryny, to dzień meczowy.

Halilović jest członkiem „Maniaków”, czyli ultrasów FK Željezničara Sarajewo, jednego z najbardziej utytułowanych klubów piłkarskich w Bośni i Hercegowinie, znanego jako FK Željo. Należy do takich kibiców, którzy obudzeni w środku nocy wymienią skład legendarnego zespołu z 1972 r. To pierwszy i ostatni raz, kiedy klub z Sarajewa wyprzedził firmy bar-

dzie znane i cieszące się wsparciem ówczesnych elit politycznych – jak Crvena Zvezda Belgrad, Partizan Belgrad, Dinamo Zagrzeb i Hajduk Split – i zdobył mistrzostwo Jugosławii.

Głos mu drży, gdy opowiada o słynnych bojach FK Željo w europejskich pucharach: półfinale Pucharu UEFA 1985 przegranym z węgierskim Videotonem FC po golach traconych w końcówce, no i o konfrontacji z Newcastle United. W 2002 r. w walce o udział w Lidze Mistrzów FK Željo na własnym stadionie uległo zaledwie 0:1 naszpikowanemu gwiazdami angielskiemu potentatowi (w rewanżu było 0:4). Nigdy wcześniej i później klubu z Bośni od występu w najbardziej elitarnych rozgrywkach klubowych nie dzieliły dwa mecze.

Halilović wie też wszystko o losach FK Željo w okresie krwawej wojny domowej w Bośni (1992-95), gdy stadion ↪

→ znajdował się na linii frontu. O tym wszystkim opowiada tak, jakby to widział na własne oczy. A przecież ma dopiero 26 lat i nie pamięta ani wojny, ani tym bardziej sensacyjnego triumfu w 1972 r.

Dzielnica

Cztery dni przed meczem ligowym z FK Borac Banja Luka, arcyrywałem FK Željo, przez ponad dwie i pół godziny spacerujemy po Grbavicy i Hrosnie.

To dwie robotnicze dzielnice Sarajewa, które spaja ulica Zagrebačka i stojący przy niej Stadion Grbavica. Wydaje się, że Grbavica i Hrosno – niczym Plac Broni z powieści Ferenc Molnára – zostały zaanektowane przez fanów FK Željo.

Na blokach wymalowano slogany w niebieskich barwach klubu. Nalepki na znakach drogowych niczym kryptogramy ukazują – rozumiane przez nielicznych – symbole stowarzyszeń ultrasów z okolic Sarajewa. Na nieczynnym kiosku widnieje napis-przestroga: „Nasza miłość jest silniejsza od prawa”, a przy boisku do koszykówki – ogromne graffiti „Manijaci 1987”. Mural przy ulicy Behdžeta Mutevelicia przedstawia z kolei Ivice Osima, legendarnego piłkarza i trenera FK Željo, który był też ostatnim selekcjonerem reprezentacji Jugosławii. Na początku oblężenia Sarajewa w 1992 r. zrezygnował z tej posady i wrócił z Belgradu do rodzinnego miasta.

Właśnie takie wspomnienia i postaci budują tożsamość FK Željo, a więc także Grbavicy i Hrosna. Bo i klub, i ów stadion są nieodłącznie wpisane w historię tej części miasta położonej na prawym brzegu rzeki Miljacka. Założony w 1921 r. jako rozrywka dla pracowników kolei – dworzec kolejowy znajduje się około pół godziny spacerem od stadionu – FK Željo od początku istnienia miał charakter i robotniczy, i rebeliancki.

Przed II wojną światową był związany z nielegalnym w ówczesnej Jugosławii środowiskiem komunistów. W czasie wojny odmówił grania w lidze organizowanej przez faszystów, zaś po wojnie był rugowany przez komunistów, którzy z połączenia dwóch mniejszych klubów stworzyli Torpedo (dziś znany jako FK Sarajewo), pomyślany jako jedyna i bliska władzy reprezentacja miasta.

– Klub uratował mnie przed wieloma złymi wpływami – mówi Almedin wyraźnie poruszony. – Kiedy wchodzę na



Almedin Halilović na stadionie Grbavica,
2 listopada 2022 r.

stadion, świat zewnętrzny nie istnieje. I wcale nie chodzę tam, żeby zobaczyć jakiś astronomicznie dobry futbol. Czuje po prostu, że gdzieś przynależę, że jestem częścią świata zakorzenionego w przeszłości, dla którego warto żyć.

Mecz (I)

Mecze takie jak z ten z FK Borac miejscowa policja określa mianem podwyższonego ryzyka. Ultrasi obu klubów – używając ich języka – mają ze sobą kosę. W maju stoczyli ostatnią z wielu bitew na pięści, butelki, kamienie. – Teraz „Maniaci” szykują coś specjalnego – mówi enigmatycznie Almedin.

Nic dziwnego, że na kilka godzin przed meczem cała ulica Zagrebačka jest wyłączona z ruchu. Przed bramami stadionu zbierają się oddziały policji, które lustrują nadciągających z Grbavicy i Hrosna sympatyków gospodarzy. Mężczyźni z synami, grupy młodych chłopców i dziewczyn, ultrasi; wszyscy w szalikach albo koszulkach w czarno-niebieskie barwy wystających z kurtki zimowych. Otula ich zapach pljeskavicy, grillowanego bałkańskiego kotleta z mielonego mięsa, który można kupić na chodniku naprzeciw stadionu. Rozmowom o składzie i wyniku towarzyszy skrzekot ptaków gromadzących się pod dachami trybun.

Muhammed, 40-letni geodeta z Grbavicy, na stadion przychodzi od 30 lat, na początku zachęcony przez ojca. Dziś Muhammed na mecz przyprowadził swojego syna, 9-letniego Abdulaha. – FK Željo jest dla mnie ważny, bo to nasza krew. Z tym się urodziłem – mówi. – W mojej prywatnej hierarchii klub stoi tuż obok ojczyzny i rodziny.

Wielu kibiców idzie na stadion prosto z lokalnych kawiarni. To tam – w Macchiato, Portofino albo Żurnalu – oswajają się z atmosferą zawodów w bośniackim entourage’u, czyli przy kawie z dżezwy i w obłoku dymu z papierosów. Można tam też spotkać wiele klubowych legend; niektórzy stale mieszkają w tych okolicach, a inni, jak Mehmed Baždarević (od lat we Francji), wpada do położonego najbliższej stadionu Macchiato przy każdej wizycie w mieście.

To w Macchiato spotykam Vedada Karića, 27-lennego kibica FK Željo, który też wybiera się na mecz. Chociaż gdyby się uparł, mógłby się mu przysłuchiwać ze swojego pokoju, bo mieszka na czwartym piętrze w bloku naprzeciw stadionu. Tak jak Muhammed, miłość do klubu wyniósł z domu. To typowy przypadek w tej dzielnicy.

– Ojciec, który też ma obsesję na punkcie klubu, opowiadał, że dziadek w latach 70. chciał kupić samochód – mówi Vedad, wnuk pracownika browaru, który sprowadził się do Grbavicy w 1969 r. – Pojechał do Belgradu i usłyszał, że na stanie mają tylko w kolorze czerwonym. Powiedział: w żadnym razie, zaczekam, aż będą niebieskie. Czyli w barwach FK Željo. Czekał prawie dwa lata.

– Dla mnie to część rodzinnej tradycji – opowiada Vedad. – Trudno to wyjaśnić słowami. To coś metafizycznego. Pójdiesz na stadion, sam zobaczysz.

Świątynia

Ów trzynastotysięczny stadion to świątynia. Ten wyświechtany piłkarski zwrot w przypadku FK Željo nabiera znaczenia dosłownego.

Podczas oblężenia Sarajewa w latach 90. Grbavica – w ostatnich latach Jugosławii będąca sypialnią dla serbskich oficerów – znajdowała się na linii frontu. Oddalona od centrum o trzy kilometry, była jedyną częścią miasta, która dostała się pod okupację sił serbskich. Za stawiany Serbom opór Grbavica zapłaciła wysoką cenę. Oddziały dowodzone przez Veselina Vlahovicia, który doczekał się pseudonimu „Potwór z Grbavicy”, między majem a lipcem 1992 r. wymordowały dużą część ludności nieserbkiej, a także dopuszczały się gwałtów na cywilach.

– Pod nami są garaże – mówi Halilović, gdy przechadzamy się po betonowych parkietach centrum handlowego.

– W czasie wojny to tam Serbowie torturowali i zabijali ludność cywilną. Cała Grbavica to jedna niezagojona rana.

W blokach nadal są dziury po ostrzałach. Ale to właśnie stadion jest największym pomnikiem wytrwałości mieszkańców Grbavicy i Hrosna. W czasie wojny został całkowicie zniszczony, wielu kibiców i pracowników klubu zginęło. Stadion odbudowali w dużej mierze fani. Ot, choćby w ponad 80 procentach sfinansowali trybunę wschodnią, z której śledzą mecze „Maniacy”.

– Ciągle mam gęsią skórę, jak oglądam stare zdjęcia i filmy – mówi Almedin. – Te widoki rozzdzierają mi serce. Ale takie wspomnienia uczą też człowieka, że klub jest czymś trwalszym niż wszystko inne, niż państwa, które upadały albo zmieniają nazwy i granice. Bo przecież FK Željo powstał w pierwszych latach istnienia Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców, które zostało przemianowane na Królestwo Jugosławii. Po II wojnie światowej w jego miejsce proklamowano Socjalistyczną Federacyjną Republikę Jugosławii, która od lat 80. związała się w konwulsjach, aż w końcu rozpadła się z takim hukiem, że odpryski tego wybuchu unoszą się w powietrzu do dzisiaj.

A klub tkwi niewzruszony i odporny na kaprysy historii. A nawet jeśli się trochę ugina pod jej ciężarem, to siłą kibicowskiej wspólnoty w końcu i tak stanie na nogi, tak jak FK Željo po zburzeniu swojej świątyni.

Mecz (II)

Niespodzianką zapowiadaną przez Almedina są bębny, które ultrasi FK Željo zabrali podczas majowej bitwy ultrasom Boraca. Ci ostatni – oddzieleni od reszty kibiców siatką i kordonem policji w rogu trybuny południowej – wchodzą na stadion jako ostatni. I wychodzą jako pierwsi. Sprowokowani odgłosem skradzionych im bębnow niedługo po pierwszym gwizdku zaczynają rzucać race na kibiców FK Željo. Mecz zostaje przerwany, policja szybko i sprawnie wyprowadza kiboli gości na zewnątrz.

Ale mecz – tak jak i wszystkie inne – zaczął się od odśpiewania „Grbavicy”, słyn-

Nie wszystkim Bośniakom zależy na kadrze narodowej.

Wbrew wyświechtanemu porzekadłu,

w Sarajewie futbol wcale nie jednoczy.

nej pieśni napisanej w czasie oblężenia Sarajewa, która stała się nieoficjalnym hymnem ultrasów FK Željo. Obok filmu „Grbavica” Jasmili Žbanić – nagrodzonej Złotym Niedźwiedziem na Festiwalu w Berlinie opowieści przypominającej o masowych gwałtach w czasie wojny – to bodaj najbardziej znany tekst kultury o tej dzielnicy.

A potem wszystko toczy się w iście bałkańskim stylu. „Maniacy” intonują przyspiewki i zmieniają transparenty na trybunie wschodniej; druga połowa toczy się pod hasłem „VENDETTA”. Sędzia pokazuje dziesięć żółtych kartek i jedną czerwoną dla obrońcy FK Željo. Na chwilę znowu przerywa mecz, gdy z trybuny północnej wypada kibic. A kiedy nie uznaje gola dla gospodarzy, staje się obiektem ataków publiki. Mimo mrozu atmosfera jest naprawdę gorąca.

Kadra narodowa

Klubu nie da się porównać nawet z reprezentacją narodową. I to nie tylko z powodu słabych wyników tej ostatniej. Kadra Bośni i Hercegowiny do wielkiej imprezy awansowała tylko raz, choć z mundialu w 2014 r. odpadła już po trzech meczach grupowych (zwyciężyła tylko raz). Od tego czasu Chorwaci sięgnęli po wicemistrzostwo świata, Serbowie grają regularnie na mundialach, na swoje pierwsze turnieje pojechali Albańczycy i Macedończycy.

Kiedy na mundialu 2014 Bośnia grała z Argentyną (prowadzoną na boisku przez Lionela Messiego), Edin Hrapović siedział na trybunach słynnego stadionu Maracanã w Rio de Janeiro, gdzie rozgrywano tamte zawody. – Mieliliśmy świetnych piłkarzy i trenera. Czułem, że to je-

dyny moment za mojego życia, żeby usłyszeć hymn Bośni na wielkiej imprezie piłkarskiej – mówi mi Hrapović, inny członek „Maniaków”.

Czasem jeszcze jeździ na mecze kadry, ale jeśli któryś przegapi, nie ma z tego powodu wyrzutów sumienia. – Teraz planuję podróż na Islandię, z którą gramy w najbliższych eliminacjach do mistrzostw Europy. Wygramy czy przegramy, to nie ma większego znaczenia. Ale na Islandii jeszcze nie byłem – mówi. – Powiem tylko tyle, że nie wydaje mi się, żeby wszystkim Bośniakom zależało na naszej kadrze narodowej.

Bo futbol – wbrew wyświechtanemu porzekadłu – wcale nie jednoczy. Wręcz przeciwnie. W dyplomatycznej uwadze Hrapovicia kryje się pretensja, że reprezentacja, która powinna być dobrem wspólnym, stała się polem rozgrywek politycznych i klanowych. Wszak szefem bośniackiego związku piłkarskiego jest Vico Zeljković, siostrzeniec Milorada Dodika, lidera Republiki Serbskiej, jednej z dwóch części składowych Bośni i Hercegowiny.

Wspierany przez Rosję klan Dodika od lat eskaluje separatyzm bośniackich Serbów, których często bardziej interesuje kadra Serbii niż Bośni. Ulubionym klubem Dodika jest FK Borac Banja Luka, czyli najbliższy rywal FK Željo, jeden z wielu klubów *de facto* etnicznych. Za klub bośniackich Chorwatów uchodzi zaś Zrinjski Mostar.

– Kadra czasem gra na naszym stadionie, co bardzo nam się nie podoba – mówi Almedin. – Bo trudno mówić, żeby przy obecnym kierownictwie związku to była reprezentacja narodowa Bośni i Hercegowiny.

Mecz (III)

Ostatecznie FK Željo traci remis po голу strzelonym przez gości w samej końcówce.

Dzień po meczu pytam Almedina, jak się czuje. – Jest ciężko – mówi. – Ale każdą taką porażkę trzeba potraktować jak lekcję na przyszłość. To kwestia bezwarunkowego oddania, miłości i pasji. Za dużo zawdzięczam FK Željo, żeby teraz się na niego obrażać.

© DARIUSZ KAŁAN



Skoro tratwy płyną

TEKST I ZDJĘCIA **AGNIESZKA ZIELIŃSKA**
Z SALAMANKI (HISPANIA)

Aby dotrzeć do Hiszpanii, wielu z nich płynęło przez morze. Aby potem znaleźć tu swoje miejsce, potrzebowali kogoś, kto poda im rękę. Alemu to się udało.

NA PÓŁ ROKU PRZED WYBORAMI PARlamentarnymi w Hiszpanii rośnie poparcie dla prawicowych partii, zwłaszcza antyimigranckiego ugrupowania Vox. Z ponad 47 mln obywateli Hiszpanii imigranci stanowią już ponad 5 mln – tak wynika z danych Krajowego Urzędu Statystycznego za rok 2022.

Znaczna część z nich, ponad 776 tys., to Marokańczycy. Jednym z nich jest Ali. Oto jego historia.

Oszczędności na przemytnika

Jest rok 2005. Ali Boujerfaoui ma 16 lat. Wraz z rodzicami i pięciorgiem rodzeństwa żyje w dwupokojowym mieszkaniu w 200-tysięcznym mieście Laâyoune w zarządzanej przez Maroko Saharze Zachodniej. Jego ojciec jest żołnierzem, matka zajmuje się domem. Pomagają jej w tym siostry Alego – w rodzinnym budżecie brakuje pieniędzy na ich edukację. W końcu i tak zgodnie z tradycją wkrótce wyjdą za mąż i będą opiekować się swoimi domami.

– Spoglądałem na starsze pokolenie i wiedziałem, że moje życie wkrótce będzie wyglądać tak samo. Nie było dla nas przyszłości. Tylko najbogatszych było stać, by wyjechać stamtąd i pójść na studia – wspomina Ali, gdy spotykamy się w Salamance, w zachodniej Hiszpanii.

Już wtedy w głowie Alego rodzi się pomysł, którym dzieli się tylko z najbliższym przyjacielem.

Zaczyna oszczędzać. Robi to w tajemnicy przez rodzeństwem i rodzicami. Po szkole łowi ryby w pobliskim porcie, które sprzedaje na targowisku. Przegląda

też swoje rzeczy i sprzedaje wszystko, co tylko może. Aby nie wzbudzać podejrzeń rodziców, co jakiś czas prosi ich o drobne sumy na swoje potrzeby.

Po roku ma 600 euro. Dość, aby zapłacić przemytnikowi.

28 godzin

Tamtego dnia okłamuje rodziców i mówi, że idzie spać do kolegi. W rzeczywistości wraz z tym kolegą – i trzyczciestoma kilkoma innymi osobami – gromadzą się w nocy w domu przemytnika.

Tu dostają instrukcje, dzielą się na dwie grupy i w towarzystwie osób uzbrojonych w maczety i noże docierają na wybrzeże, gdzie czekają na nich dwie tratwy. Ali płynie na tej drugiej, która po kilkuset metrach się przewraca.

Wspomina: – Było ze mną 21 osób, po pierwszej wywrotce cztery się wystraszyły. Był ścisk. Porządku na tratwie pilnował uzbrojony mężczyzna. Ci, którzy zmarliby podczas podróży, mieli być wyrzuceni za burtę. Teraz to brzmi strasznie,

ale wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że ryzykujemy życiem.

Marokańskie miasto Laâyoune i hiszpańskie Vecindario (na wyspie Gran Canaria) dzieli 45 minut lotu samolotem. Tratwę zajęło to 28 godzin. Nie było wody i jedzenia. On ciągle wymiotował.

– Bardzo źle spędziłem podróż. Najgorszy był chyba moment, gdy zasnąłem. Obudziłem się w dzień i widziałem tylko kolor niebieski. Granica wody niemal całkowicie zlewała się z błękitnym, bezchmurnym niebem. Szukałem wzrokiem jakiegoś najmniejszego cienia przypominającego łąd, ale przez wiele godzin nie było żadnej nadziei – opowiada dziś.

W końcu tuż po drugiej nad ranem tratwa dociera do wybrzeża Gran Canarii. Pasażerowie się rozpraszają, a uzbrojony mężczyzna płynie z powrotem do Maroka.

Z miejsca na miejsce

Ali z kolegą nocują u zaprzyjaźnionego Marokańczyka. Następnie przenoszą się



Ali Boujerfaoui na tle zdjęć przedstawiających działania fundacji Mil Caminos. Salamanka, 28 października 2022 r.

na Teneryfę, a po dwóch tygodniach na Lanzarote (kolejną z Wysp Kanaryjskich).

Chłopak szybko zdaje sobie sprawę, że bez znajomości języka i dokumentów nie znajdzie pracy w Hiszpanii; w dodatku jest nieletni. Za namową kolegi decyduje się pójść na komisariat policji i tam szukać pomocy. Policjanci ignorują mówiącego tylko po arabsku nastolatka. Dopiero po interwencji wychowawcy z lokalnego centrum dla nieletnich chłopak trafia do szpitala na badanie kości (na tej podstawie zwykle identyfikowany jest wiek).

Kiedy potwierdza się, że Ali jest nieletni, trafia do ośrodka dla młodych imigrantów.

Wspomina: – Byli tam Marokańscy, Malijscy i Senegalczy. Łącznie prawie 30 osób, a łóżek było tylko dla 20, więc spaliliśmy na korytarzu. Nie było źle, uczyli nas elektroniki, abyśmy w przyszłości mogli znaleźć pracę. Ale nie mogłem się tam odnaleźć i uciekłem.

Wkrótce miał skończyć 18 lat, więc intensywnie zaczął szukać miejsca, które mogłoby go przyjąć, pomóc w nauce języka i zdobyciu wykształcenia.

Po kilku miesiącach oczekiwania znalazło się miejsce w ośrodku dla imigrantów w Salamance, zarządzanym przez fundację Mil Caminos (Tysiąc Ścieżek). Dostał tu stypendium. Zaczął uczyć się ogrodnictwa w szkole zawodowej, a wieczorami języka.

Po trzech latach fundacja, do której należy centrum dla młodzieży z problemami oraz szkoły (łącznie w Salamance jest siedem takich placówek), zaproponowała mu współpracę. Ali dostał też pozwolenie na pobyt i pracę w Hiszpanii. Wtedy po raz pierwszy od prawie czterech lat mógł pojechać do Maroka, aby zobaczyć rodziców.

Taktyka Alego

Dziś ma 33 lata, z czego ostatnie 15 spędził w fundacji Mil Caminos, początkowo jako uczeń, a następnie wychowawca, nauczyciel spawania i capoeiry (sztuki walki). Całe jego życie związane jest z tym miejscem.

– Uwielbiam to, co robię – mówi. – To wspaniałe uczucie towarzyszyć młodym ludziom i patrzeć, jaką ewolucję przechodzą.

Do dwóch ośrodków zarządzanych przez fundację – szkoły Santiago i oraz Centrum Szkolenia Zawodowego Lorenzo Milani – docieram w piątek. Ali ma dzień wolny i oprowadza po obu miejscach.

Na ścianach wiszą zdjęcia wychowanków: dzieci na zajęciach z akrobatyki, podczas wycieczek, grające w piłkę, opiekujące się owcami. Na pierwszym piętrze są sale lekcyjne, na drugim pokoje uczniów. W piwnicy prócz świetlicy jest duża kuchnia – niektórzy wychowankowie uczą się zawodu kucharza. A za wewnętrznym podwórkiem jest cyrk i scena, gdzie mogą dać upust emocjom i rozwijać talenty artystyczne. Dalej od miasta jest ośrodek, w którym wychowankowie uczą się m.in. spawania, stolarstwa i ogrodnictwa.

Gdy tak spacerujemy, co jakiś czas ktoś z wychowanków Alego woła go po imieniu – trzeba naprawić rower, posadzić roślinę, przyjrzeć się ocalonym pszczołom. Uczniowie wydają się nie pamiętać, że Ali zaczął dziś urlop i następnego dnia leci odwiedzić rodzinę w Maroku.

Wykorzystuję chwilę, by podpytać 18-letnią Taimirę, jakim Ali jest wychowawcą.

– Jeszcze dwa lata temu go nie lubiłam. Irytowało mnie, że zagadywał mnie zawsze, gdy robiliśmy kolację czy sadziliśmy rośliny. Dziś wiem, że to jego taktyka wychowawcza, by nas poznać i zrozumieć. I to działa. Po jakimś czasie się otworzyłam. Pozwoliłam, żeby pomogli mi uporać się z moją przeszłością – mówi Taimira.

Jest Romką. Trafiła do fundacji, bo jej rodzice chcieli wydać ją szybko za mąż i odebrać szansę na edukację. Wspomina: – Byłam w różnych ośrodkach, ale ciągle przyklejano mi etykietę „Romki”. Nikt nie chciał widzieć mnie, mojej osobowości. Mam średnie oceny w szkole, może nie jestem zbyt inteligentna, ale się staram. Tutaj to widzą.

Dzięki fundacji Mil Caminos ukończyła szkołę zawodową z hotelarstwa, teraz uczy się ogrodnictwa, a po lekcjach dorabia w restauracji w Salamance. Chciałaby iść na uniwersytet i studiować edukację społeczną. A potem wrócić do fundacji i zostać wychowawczynią.

Jesteście dobrymi malarzami

Po ośrodku Lorenzo Milani kręci się też Jesús Garrote, dyrektor Mil Caminos.

– W ciągu 30-letniej pracy tutaj widziałem różne przypadki dzieci. Wykluczone społecznie, z biednych rodzin, bite. Wielokrotnie wyrzucane z domów, odrzucone przez nauczycieli. Pamiętam Brazylijkę, która potrzebowała rodzinnego ciepła. Zawsze gdy próbowała zbliżyć

się do dorosłych, trafiała na osoby, które wykorzystywały ją seksualnie. Dla mnie to o tyle trudne, że jestem ojcem dwóch dziewczyn – mówi Jesús.

Dodaje, że nauczyciele w hiszpańskich szkołach często nie wiedzą, jak pracować z takimi dziećmi. – Szkoła często stara się ustawić wszystkie dzieci w jednej linii, nie zważając na ich talenty i osobowość. Próbuje się dopasować ich do szkoły, zamiast szkołę do nich – dodaje.

Na samym końcu ośrodka Lorenzo Milani jest duży garaż, gdzie wychowankowie uczą się podstaw mechaniki i spawania. Uczniowie rozstawieni są po wszystkich kątach, na różnych stanowiskach. Każdy ma swoje zadanie i tylko co jakiś czas zwracają się po radę do nadzorujących ich nauczycieli.

Jednym z nich jest José Juan Vicente Montes, były nauczyciel Alego. Trafił pod opiekę fundacji w 1995 r., gdy miał 13 lat. – Wiem, z czym mierzą się moi uczniowie, bo sam przez to przechodziłem. Zawsze im mówię, że są dobrymi malarzami. W zwykłych szkołach siedzieliby w ostatnich rzędach i gryzmolili coś na marginesach. Tutaj tego nie ma. Liczy się ich pracowitość i kreatywność. Nie chcemy nikogo dzielić, więc nie ma u nas ławek i rzędów – mówi José Juan.

Łamię mu się głos, gdy mówi, jaką satysfakcję daje mu spotkanie z byłymi wychowankami, którym udało się znaleźć pracę i założyć rodzinę: – Bądźmy realistami, nie wszystkim się udaje. Niektórzy kończą jako narkomani, w więzieniu czy żebrząc na ulicy. Ale to niewielki procent.

Piętnaście tysięcy

W ciągu pół wieku istnienia fundacja Mil Caminos pomogła 15 tysiącom dzieci i nastolatkom.

José Juan, Ali, a w przyszłości może Taimira to nie jedyni jej wychowankowie, którzy zostali w placówce wychowawcami i nauczycielami; jedną piątą pracowników stanowią właśnie byli uczniowie. To celowy zamysł: aby wychowankowie mogli utożsamiać się z wychowawcami i zobaczyć, że skoro im udało się kiedyś zacząć od zera, oni też mają szansę.

Ali cieszy się, że Taimira chce iść w jego ślady. – W Koranie mamy takie powiedzenie: ratując jedną osobę, ratujesz całe społeczeństwo, a zabijając jedną, zabijasz wszystkich – mówi.

Nalega, abym zobaczyła ich centrum edukacji ekologicznej. W ciągu roku ➔

*Zajęcia
ze stolarstwa
w jednej ze szkół
prowadzonych
przez fundację
Mil Caminos.
Salamanka,
28 października
2022 r.*



→ ma tam zajęcia łącznie ok. 500 uczniów, nie tylko z fundacji, także z okolicznych szkół.

Jak tłumaczy Miguel Blanco, koordynator centrum, nauka zawodu czy odkrywanie sportowych pasji są ważne. Ale jemu zależy, by dzieci, które miały kontakt z fundacją Mil Caminos, nauczyły się też szacunku do przyrody i wrażliwości wobec zwierząt. A dzieje się tak, jak przekonuje, przez opiekę nad rannymi zwierzętami czy drobne prace ogrodowe.

W budynku obok kończy się właśnie lekcja. Dzieci otwierają okna, wymachują w naszą stronę. Wszyscy się znają i moja wizyta wzbudza emocje.

Gdy potem rozmawiamy na osobności, Ali mówi: – Najbardziej lubię nasz wakacyjny projekt „Maroko 2022”, gdy dwa miesiące spędzamy z dziećmi w ubogiej wsi marokańskiej. To dla nich szkoła życia. Gdy wykorzystują umiejętności, których nauczyły się u nas w fundacji, i w Maroku budują place zabaw, szkoły czy boiska. Widzę, że czują się wtedy potrzebne. Muszą nauczyć się żyć bez internetu i narkotyków, i jakoś dają radę. Spoglądają na

inny świat, w którym brakuje tylu rzeczy, do których są przyzwyczajone.

Po tylu latach pracy Ali ma przed oczami obraz pewnego syna i matki: – Kiedy chłopak przyszedł do naszego ośrodka, nie przestawał się z nią kłócić. Bez przerwy na siebie krzyczyli. Po trzech miesiącach zobaczyłem, że chyba po raz pierwszy od lat się przytulili. Także takie drobne rzeczy sprawiają, że nasza praca ma sens.

Dwie perspektywy

Jemu się udało. Dzięki stypendium z Mil Caminos mógł nauczyć się języka, zdobyć wykształcenie (w 2023 r. skończy licencjat z edukacji społecznej) i teraz sam pomaga w wychowaniu młodego pokolenia Hiszpanów.

Takich jak kiedyś on, dzieci-imigrantów, jest tu więcej. W ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy 2022 roku tylko do wybrzeży Almerii na południu Hiszpanii przyplęnęło 300 tratw. Nie wszystkim się udało. Z danych Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji ONZ wynika, że w 2021 r. zginęło co najmniej 5684 migran-

tów, którzy próbowali dotrzeć z Afryki do Europy. Ponad półtora tysiąca z nich straciło życie w okolicy Wysp Kanaryjskich, wybierając taką drogę, jak 15 lat temu Ali.

– Nie wiem, czy dziś tak samo wsiadłbym na tratwę – zastanawia się. – Odradzam to tym, którzy mnie pytają. Nie warto tak ryzykować. Doradzam młodym Marokańczykom, by przykładali się w szkole i starali o stypendium naukowe w państwach Unii.

Dodaje: – Wszyscy woliliby kupić bilet na samolot, niż podróżować tratwą. Ale państwa europejskie z obawy o to, że ktoś z Afryki osiedli się u nich na stałe, wymagają wielu rzeczy. Aby aplikować o wizę, musisz przedstawić bilety w obie strony, rezerwację hotelową, świadectwo pracy, wydruki z banku na temat majątku, który posiadasz. To nie do spełnienia dla zwykłego Marokańczyka. Dlatego tratwy z Afryki wciąż będą wypływały.

Z kolei w Hiszpanii zapewne wciąż będą pojawiać się krytyczne głosy względem imigrantów z Afryki. Na początku października został zwolniony z pracy inspektor policji z Walencji, który na spotkaniu partii Vox mówił, że „wszyscy imigranci przypluwający na łodziach to byli więźniowie” i że „wszyscy zatrzymywani przez policję przestępcy to migranci”. To nie znajduje potwierdzenia w statystykach MSW, według których dwie trzecie zatrzymywanych przez policję osób w 2021 r. stanowili Hiszpanie.

Pozostała jedna trzecia – to i tak za dużo, proporcjonalnie do odsetka imigrantów w tym kraju. Aby było ich mniej – nad tym także pracują tacy jak Ali.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 407/22 postępowanie z wniosku Barbary Przybylskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Mieczysławie Matuszaku, zmarłym 27.12.2018 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie, gmina Jarocin. W skład spadku po zmarłym wchodzi jego udział w prawie własności nieruchomości położonej w Kotlinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

Przebudzenie Chińczyków

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Haseł, które pojawiły się ostatnio na ulicach chińskich miast, nie da się łatwo wyprzeć z pamięci społecznej. Sięgają one do pokładów frustracji dużo głębszych niż te wywołane pandemią.

W OSTATNI WEEKEND LISTOPADA mieszkańcy Pekinu, Szanghaju i wielu innych chińskich metropolii wylegli na ulice, by sprzeciwić się drakońskim restrykcjom covidowym. Skandowali też jednak wolnościowe hasła, domagając się nawet ustąpienia Xi Jinpinga. Od czasów Tiananmen Chiny nie widziały takich demonstracji.

Przyczyną tych protestów stała się śmierć dziesięciorga osób w mieście Urumcz: spłonęły one wewnątrz zamkniętego na skutek lockdownu budynku. Emocje społeczne nabrzmiewały jednak w Chinach od miesięcy.

Wiosną buntowali się przeciwko lockdownowi mieszkańcy zamożnych dzielnic Szanghaju. Pod koniec września w wypadku autobusowym zginęło 27 osób wieszonych na przymusową kwarantannę. Kilka tygodni potem protesty z powodu covidowych restrykcji wybuchły zaś w Zhengzhou, na terenie fabryki produkującej iPhone'y. Po chińskim internecie coraz częściej krążyły też informacje o przypadkach śmierci wywołanych lockdownem: samobójczych bądź na skutek braku leków.

Wedle popularnej opinii czare goryczy przelać mogły jednak mistrzostwa świata w piłce nożnej – zamknięci od blisko trzech lat w swoim kraju, zmęczeni nieustannymi testami PCR oraz innymi rygorami czasu pandemii, Chińczycy zobaczyli nagle na ekranach telewizorów radosne trybuny fanów z całego świata, i to bez масечек.

DEMONSTRACJE W CHINACH nie należą do rzadkości, prawie zawsze mają one jednak punktowy i wolny od ideologii charakter. Dotyczą zaległych wypłat, lokalnej korupcji czy samowolki dewelopera.

Dlatego wydarzenia z 27 i 28 listopada są tak wyjątkowe. Za pośrednictwem internetu protestujący zsynchronizowali swoją akcję w całym kraju, a treść sprzeciwu odnosiła się do władz centralnych. Nie tylko dlatego, że polityka określana jako „zero covid” utożsamiana jest osobie z wolą prezydenta Xi Jinpinga. Część demonstrujących krytykowała wprost swojego przywódcę, ale też dyktaturę partii komunistycznej czy wszechobecną cenzurę. Inni paradowali z czytymi kartkami formatu A4 – jak mówiła jedna z uczestniczek, „wszystkie oskarżenia, wszystkie myśli są w naszych sercach”. Na ulicach przeważali ludzie młodzi, wśród nich byli studenci – również renomowanych uczelni.

Z wyjątkiem pojedynczych zatrzymań i konfiskowania smartfonów należących do uczestników protestów zakończyły się one bez policyjnej przemocy. Przyczyny niepokojów pozostają jednak nierozwiązane.

W KWESTII RESTRYKCJI covidowych Xi Jinping nie ma dziś dobrego wyjścia. Jeśli utrzyma je w niezmienionej formie, to frustracja ludzi będzie rosnąć i prędzej czy później znowu wyleje się na ulice. Z kolei odejście od strategii „zero covid” pod wpływem protestów stanowiłoby uszczerbek na wizerunku dyktatora.

Poza tym nagłe poluzowanie obustrzeń doprowadzić może do znacznego wzrostu zachorowań i śmierci. W efekcie drastyczności podjętych środków jak dotąd relatywnie niewielu Chińczyków przechorowało covid, odporność spo-

łeczna na tę chorobę jest zapewne niska. W kraju brakuje też łóżek szpitalnych, a rodzimą szczepionkę, niepewnej jakości, przyjęło dwukrotnie tylko 76 proc. osób powyżej 80. roku życia. A zatem i w tym wariantcie, po załamaniu się systemu zdrowia, mogłoby dojść do niepokojów społecznych.

Pierwsze sygnały wskazują, że władze chcą pójść drogą środka. Mówi się o intensyfikacji szczepień seniorów, być może pod przymusem. Jednocześnie kilka dużych miast – Szanghaj, Guangzhou i Chongqing – zaczęło łagodzić covidowe obostrzenia. Z drugiej strony, policja namierza dziś pojedynczych uczestników demonstracji, przechodniom sprawdza się smartfony w poszukiwaniu zakazanych aplikacji i zdjęć z protestów, a studentów wysłano na wcześniejsze ferie. Wśród winnych zajść władza wskazuje też, jak zwykle, „zewnątrznych podżegaczy”.

ZA WCZEŚNIE OSĄDZAĆ, czy podjęte środki wyciszą nastroje społeczne. Haseł, które pojawiły się ostatnio na ulicach chińskich miast, nie da się jednak łatwo wyprzeć z pamięci społecznej. Sięgają one do pokładów frustracji dużo głębszych niż te wywołane pandemią. Gdy trzeciego dnia po zakończeniu protestów nadeszła wiadomość o śmierci Jiang Zemina, prezydenta kraju w latach 1993-2003, przez internet przetoczyła się fala nostalgii za tamtymi Chinami, które – choć biedniejsze niż dziś – bardzo szybko się rozwijały, dając równocześnie ludziom więcej swobód niż obecnie.

Uczucia te stanowią również formę protestu wobec autorytarnego kursu Xi Jinpinga. Wie on już, że w Chinach dorosło pokolenie, które nie podziela jego wizji kraju. ©

Protest przeciwko restrykcyjnej polityce antycovidowej. Symbolem sprzeciwu stała się biała kartka. Pekin, 28 listopada 2022 r.



NOEL CELIS / AFP / EAST NEWS

JESZCZE JEDEN POLSKI GRUDZIEŃ

Sto lat temu zamordowanie prezydenta Narutowicza
wywołało w Polsce niedowierzanie i gniew.
Emocje groziły wybuchem bratobójczych walk.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

SOBOTA 16 GRUDNIA 1922 R. JEST pochmurna i dżdżysta, choć dość ciepła jak na tę porę roku – temperatura oscyluje wokół zera stopni Celsjusza.

Tego dnia, kilka minut po południu, prezydent Gabriel Narutowicz przyjeżdża do gmachu Zachęty w Warszawie, by uczestniczyć w otwarciu dorocznej wystawy – Salonu Sztuki. W otoczeniu świty staje przed obrazem „Szron” Teodora Ziomka. Nagle padają strzały. Trafiony w plecy trzema pociskami, prezydent upada. Mimo reanimacji umiera po pół godzinie (pogotowie przyjeżdża dopiero dziesięć minut później).

Zamachowiec – Eligiusz Niewiadomski, malarz i wykładowca akademicki, zwolennik endecji (czyli szeroko rozumianego obozu prawicowego) – ze spokojem oznajmia: „Do nikogo już strzelać więcej nie będę”. Porucznik Ignacy Sołtan, adiutant głowy państwa, wyrывa mu broń z ręki. Morderca nie stawia oporu. Później zezna, że nie mógł znieść „pohańbienia Polski niepolскими głosami” oddanymi na Narutowicza.

Wiadomość o tej śmierci obiega kraj, wywołując szok i żal – oraz żądę odwetu. Jak do tego doszło?

Pierwszy prezydent

Powstała pod koniec 1918 r. II Rzeczpospolita jest młodą demokracją. W marcu 1921 r. zostaje uchwalona konstytucja,

a pierwsze oparte na jej zasadach wybory do Sejmu i Senatu odbywają się w listopadzie 1922 r. Wygrywa je prawicowa koalicja, Chrześcijański Związek Jedności Narodowej, zwany przez jej oponentów „Chjeną”; najsilniejszym ugrupowaniem w tym aliansie jest Związek Ludowo-Narodowy.

Przyszłego prezydenta ma wybrać Zgromadzenie Narodowe, tj. Sejm i Senat. Mający teoretycznie największe szanse na wygraną naczelnik państwa Józef Piłsudski rezygnuje z walki o ten urząd. Ostatecznie ubiega się o niego pięciu kandydatów. Dopiero w piątym głosowaniu 9 grudnia 1922 r. zwycięża Narutowicz. Popierają go Polska Partia Socjalistyczna i Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie”, a po dramatycznych wahaniach także PSL „Piast” i posłowie mniejszości narodowych. Przegrywa kandydat prawicy hrabia Maurycy Zamoyski. Dla tego obozu politycznego jest to policzek.

Wybór Narutowicza – uczonego, profesora politechniki w Zurychu, a w II RP wcześniej ministra robót publicznych i spraw zagranicznych – wywołuje gwałtowny protest prawicy. Werbalny, na łamach prasy, i bezpośredni – na ulicy.

Do zamieszek pod Sejmem dochodzi już 9 grudnia. Później jest gorzej. Uczestniczący w protestach w Warszawie antagoniści Narutowicza (dominują mło-

dzi, zwłaszcza studenci) adorują zwolennika prawicy gen. Józefa Hallera, który 10 grudnia z balkonu swojego mieszkania w Alejach Ujazdowskich radzi im, by rozpoczęli „długie i mozolne przygotowania”, jeśli chcą mieć „swojego prezydenta”.

Okrzyki na cześć bohatera narodowego, wodza Błękitnej Armii (sformowanej we Francji podczas I wojny światowej polskiej formacji), mieszają się z hasłami podziwu dla Benito Mussoliniego, który chwilę wcześniej zdobył władzę we Włoszech w drodze zamachu stanu [czytaj „TP” nr 41/2022 – red.].

Wymiana słów i ognia

Napięcie eskaluje. 11 grudnia w stolicy dochodzi do animowanych przez prawicę rozruchów – mają nie dopuścić do zaplanowanego na ten dzień zaprzysiężenia Narutowicza.

Areną starć jest plac Trzech Krzyży, gdzie naprzeciw siebie stają endecy i socjaliści z PPS. Z obu stron padają strzały. W tamtym czasie, wkrótce po zakończeniu kolejnych wojen, tej światowej i potem o polskie granice, w rękach ludzi jest dużo broni.

W wymianie ognia ginie działacz PPS Jan Kałuszeński, są też ranni. Jadący otwartym powozem w asyście wojska Narutowicz dosłownie przebija się przez plac na ul. Wiejską. W jego stronę pa-



Gabriel Narutowicz wychodzi z Sejmu po zaprzysiężeniu na prezydenta RP. Warszawa, 11 grudnia 1922 r.

dają nie tylko obelżywe słowa, lecz także śnieg, odłamki lodu, kamienie.

W Sejmie wrze. Jego marszałek Maciej Rataj, członek PSL „Piast”, zarzuca bezczynność ministrowi spraw wewnętrznych Antoniemu Kamińskiemu (znotuje potem, że jest on „głupkowato nieporadny”). Ceremonia zaprzysiężenia Narutowicza odbywa się bez przeszkód, choć bojkotuje ją prawica. Mimo to, notuje poseł PPS Adam Pragier, była „wstrząsająca w swojej ponurej grozie”. W kuluarach dochodzi później do kłótni i przepychanek między posłami lewicy i prawicy. Rataj opanowuje jednak sytuację. Po wyjściu z Sejmu przygląda się ulicom: „Stoją gromadki i gromady i dyskutują, czy Narutowicz Żyd, czy nie. Powstają kłótnie – nikt nie rozpęda, nie interweniuje”.

W reakcji na te wydarzenia przez kraj przetaczają się wieje i strajki. Uczestniczą w nich głównie sympatyzujący z PPS robotnicy, którzy deklarują poparcie dla demokracji i zapowiadają walkę z jej przeciwnikami „do ostatniej kropli krwi”. Strajk powszechny wisi na włosku. Krążą różne rewelacje, np. o rzekomo przewidzianym na 14 grudnia ataku prawicy na Belweder, siedzibę prezydenta. Tego dnia ceremonia przekazania władzy Narutowiczowi przez Piłsudskiego odbywa się jednak bez przeszkód.

„Prawo! Prawo! Prawo! Nie przestaniemy wołać o Prawo, przy każdej sposobności. Gdzie nie ma Prawa, tam być nie może Rzeczypospolitej ani Demokracji. Tam być nie może Państwa nowoczesnego. I ci, co lekkomyślnie albo i w złej

wierze opluli Prawo, ugodzili śmiertelną strzałą w podstawy najistotniejsze państwa Polskiego. I trzeba wybierać pomiędzy nimi a państwem Polskiem!” – takie słowa przynosi rano 16 grudnia „Robotnik”, organ prasowy PPS.

Ale sytuacja wymyka się spod kontroli. Tego dnia padną strzały w Zachęcie.

Po wstrząsie

Elektryzujące słowa – „zabili prezydenta” – przechodzą z ust do ust. Zamach jest szokiem – najpierw dla bezpośrednich świadków tego wydarzenia, a później dla ogółu Polaków.

Przebywająca wtedy w Zachęcie osoba (jej personalia nie są znane) wspomina: „Trudno opisać, jak wstrząsające wrażenie wywarł na większości obecnych potworny mord. Ludzie chodzili jak błędni. ↳

→ Rozlegały się głosy: »teraz wojna domowa jest nieunikniona« i in.”.

W ocenie ówczesnego metropolity warszawskiego abp. Aleksandra Kakowskiego w przypadku mordu w Zachęcie zawiniły partie polityczne, które „wytworzyły niezdrową atmosferę walki i nienawiści w narodzie. Morderca zdobył sobie sławę Herostratesa”. Pisarz Zygmunt Kisiielewski (ojciec Stefana) notuje 17 grudnia: „Dzisiaj (niedziela przed południem) wygląda Warszawa na miasto, w którym co dziesiąty mieszkaniec opłakuje kogoś, kto mu zginął, jakby ten ktoś należał do jego rodziny. A przecie Narutowicza nikt z tych ludzi nie zna, jak nie znałem go ja. Skrytobójcy ugodzili bowiem w symbol odzyskanej niepodległości”.

Ale są też tacy, którzy co najmniej z ulgą przyjmują wieść o śmierci prezydenta. Przykładowo „Robotnik” donosi o uczniach pewnej warszawskiej szkoły, którzy „w radosnem podnieceniu” biegli w stronę Zachęty.

Nad przepaścią anarchii

Na bezprecedensowy mord reaguje krajowa prasa – od lewa do prawa. Komentują go również światowe media.

16 grudnia ukazuje się jednostronicowy dodatek nadzwyczajny „Robotnika”, który krzyczy tytułem o zabójstwie prezydenta. Winą obarcza „prawicę sejmową”. Informuje o zagrożeniu demokracji; w jej obronie zjednoczą się „wszystkie czynniki ludowe i robotnicze”.

W wydanej dzień później odezwie PPS przestrzega, że „reakcja spycha Polskę w przepaść anarchii”. Ale chłodzi nastroje z obawy przed rozruchami. Działalność partii socjalistów ma zostać ukierunkowana na uświadamianie Polaków w sprawie zagrożeń ze strony prawicy, by nie doszło już do podobnego zdarzenia jak w Zachęcie. „Wieczna hańba mordującej Polskę reakcji! Ślubujmy bezwzględna obronę Rzeczypospolitej i demokracji!” – pisze „Robot-

W grudniu 1922 r. zagraniczni dyplomaci, bojąc się wybuchu w Polsce wojny domowej, pakowali już walizki.

nik”, zrzucając odpowiedzialność za mord na „Chjenę”. Winą za śmierć prezydenta lewicowa prasa (i nie tylko ona) obarcza też Hallera.

Prawicowe media próbują robić dobrą minę do złej gry. Jest to o tyle trudne, że większość opinii publicznej uważa, iż to prawa strona sceny politycznej ponosi moralną odpowiedzialność za strzały w Zachęcie. W wydaniu popołudniowym 16 grudnia „Kurier Warszawski” potępia zbrodniczy czyn Niewiadomskiego, usiłując przedstawić go jako osobę niepożyteczną (czemu zaprzeczają wykonane później w więzieniu mokotowskim jego badania psychiatryczne). 17 grudnia „Rzeczpospolita” drukuje artykuł znanego prawicowego publicysty Stanisława Strońskiego „Ciszej nad tą trumną!”, który wzywa do uszanowania pamięci po zamordowanym. Autor zauważa, że zgoda w „odruchowym” potępieniu zbrodni jest „bezcennym skarbem duchowym i najpewniejszą ostoją w chwili bardzo ciężkiej”.

Brzmi to jednak nieprzekonująco w kontekście wcześniejszej – głośniejszej – publicystyki Strońskiego, który na łamach tejże „Rzeczpospolitej” (na przykład w artykułach o znamiennych tytułach „Ich prezydent” z 10 grudnia i „Zawada” z 14 grudnia) ostro atakował Narutowicza i środowiska polityczne, które na niego głosowały.

Niektórzy nie mogą uwierzyć w to, co się stało. Prasa nie dociera do całej Polski,

a przepływ oficjalnych informacji nie jest natychmiastowy (Polskie Radio zacznie nadawać dopiero w lutym 1925 r.). Łatwo rozchodzą się więc plotki i pogłoski. Po Katowicach krąży rewelacja, że władze w Warszawie zdementowały informację o śmierci Narutowicza. A w stolicy rozchodzi się zmyślona wieść o zamordowaniu Hallera.

Groźba wojny domowej

W kraju wrze. Korpus dyplomatyczny, bojąc się wybuchu wojny domowej, pakuje walizki. W stolicy Kakowski zwołuje kapitułę metropolitalną, która postanawia wezwać naród do spokoju, a księży do potępienia z ambony zbrodniczego czynu.

W dużych ośrodkach robotniczych odbywają się wiece i strajki. Przykładowo białostocka PPS wyraża gotowość do czynnej obrony „praw ludu roboczego”, a robotnicy z Łomży deklarują chęć walki w obronie „gwałconej przez zwyrodniałych faszystów Konstytucji”. Do wybuchu wystarczy iskra.

Jest to tego blisko już 16 grudnia, gdy około godziny 14.30 z kaplicy przy szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie rusza kondukt żałobny, który odprowadza na cmentarz Wolski zastrzelonego pepesowca Kałuszeńskiego. Trasa pochodu wiedzie przez centrum – Aleje Jerozolimskie, Marszałkowską, Królewską (w jej sąsiedztwie jest zlokalizowana Zachęta), Chłodną, Wolską.

Wiadomość o zamachu na prezydenta uderza jak piorun w uczestniczące w pogrzebie dziesiątki tysięcy ludzi (niektóre źródła mówią nawet o 200 tysiącach). Świadek wydarzeń Tadeusz Hołówko notuje, że „groźba zemsty i odwetu istotnie wisiała w powietrzu... jedno słowo wystarczyłoby, aby tłum runął do miasta pełen gniewu i zemsty. A jednak to słowo nie padło”. Gdyż – dopowiada Hołówko, członek władz PPS – „ci, którzy mogli dać rozkaz, nie mogli przewidzieć, gdzie i kiedy skończyłaby się ta wojna domowa”.

Jedno z większych spontanicznych wystąpień ma miejsce w Krakowie. 16 grudnia w Domu Robotniczym przy ul. Juliana Dunajewskiego gromadzą się pracownicy przemysłowi. Oczekują na decyzję władz PPS w sprawie mordu w Zachęcie. Po studzących głowy wypowiedziach działaczy partyjnych robotnicy idą w kilkutyśiecznym pochodzie pod urząd woje-

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 328/21, prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierzu Witwickim, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Oławie (55-200) przy ul. 11 Listopada 7/5. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.



SARYUSZ WOLSKI / NAC.GOV.PL

Gabriel Narutowicz, ok. 1920-1922 r.

wódzki przy ul. Basztowej; tu przemawia do nich poseł i członek władz PPS Zygmunt Żuławski.

Delegacja protestujących pyta wicewojewodę Władysława Kowalikowskiego, czy władze potrafią stłumić „anty państwowe knowania i akcje”, jakie doprowadziły do zabójstwa prezydenta. Bo jeśli nie, to „lud pracujący będzie sam zmuszony bronić konstytucji i całości państwa”. Kowalikowski zapowiada, że państwo uczyni wszystko, by do zaburzeń nie dopuścić. Mimo to socjalistyczny poseł Zygmunt Marek apeluje do robotników o samodzielną obronę przed zamachami na konstytucję i demokratyczne prawa.

Część demonstrantów wraca pod Dom Robotniczy. Inni ruszają w stronę ul. Andrzeja Potockiego (obecnie Westerplatte), gdzie policja urządza na nich szarżę, raniąc kilka osób. Pochód ostatecznie wraca na Dunajewskiego, gdzie po przemówieniach manifestacja się kończy (niecały rok później – 6 i 7 listopada 1923 r. – ta sama ulica stanie się areną krwawych walk na tle ekonomicznym między robotnikami a policją i wojskiem).

Ratować Państwo

Gotowość do odwetu za zamordowanie Narutowicza jest właściwie powszechna.

Pod datą 17 grudnia Rataj notuje: „W sejmie konferencja z [Jędrzejem] Moraczewskim PPS. Opowiada, że robotnicy gotują bomby i granaty przeciw ND (poseł [Bogusław] Miedziński, który zjawiał

się u mnie rano przed wyjazdem mym do Belwederu, opowiadał to samo: całą noc trzymali robociarzy za ręce, bo chcieli bić!)”.

Z obawy przed ulicznymi starciami 18 grudnia w Warszawie zostaje wprowadzony stan wyjątkowy. PPS, która ma największą zdolność mobilizowania mas, wydaje cztery dni później odezwę, w której pisze: „Nie chcemy ani odruchów zemsty, ani anarchii, chcemy ratować Państwo”.

Zaprowadzenie ładu i porządku jest sprawą racji stanu, niemalże niepodległości. Sytuacja geopolityczna odrodzonej Rzeczypospolitej jest trudna, kraj liże rany po zwycięskich, ale wyczerpujących wojnach o granice.

W efekcie zbrodni wywołuje falę ogólnego potępienia. Utrzymane w tym duchu uchwały wydają – jako jedni z pierwszych – posłowie klubów prawicowych (oponenci oskarżają ich z tego powodu o obłudę). W podobnym duchu zabierają głos oczywiście także inne partie. Podczas zwołanego już 16 grudnia Konwentu Seniorów Rataj, który pełni w tym czasie obowiązki głowy państwa, wygłasza przemówienie poświęcone zamordowanemu. Na znak żałoby 17 grudnia swoje posiedzenie przerywa Sejm Wolnego Miasta Gdańska. Na ręce marszałka Sejmu spływają kondolencje z całego świata.

Reagują też organizacje społeczne, związki zawodowe, uczelnie, zakłady pracy itp. Wydają odezwy i protesty przeciw atakowi na głowę państwa.

Senat Uniwersytetu Warszawskiego wzywa studentów do zachowania spokoju. „Niech krew i życie pierwszego Obywatela Polski będą oddane na ołtarzu Jej dobra” – pisze Senat UW, akcentując znaczenie tej ofiary dla budowy nowej, „bardziej kulturalnej epoki rozwoju Polski współczesnej”. Związek Zawodowy Literatów Polskich rzuca „piętno hańby” na „wszystkich moralnych sprawców niesłychanej w dziejach Polski zbrodni”.

Straszny dzień

Napięta sytuacja wymusza na Rataju powołanie silnego rządu. Na jego czele staje – już 16 grudnia – gen. Władysław Sikorski. Jego gabinet okaże się słaby, upadnie po pół roku.

20 grudnia Zgromadzenie Narodowe wybiera nowego prezydenta: zostaje nim kandydat centrum i lewicy prof. Stanisław Wojciechowski.

Dzień wcześniej, 19 grudnia, zwłoki prezydenta zostają uroczystie przeniesione z Belwederu na Zamek Królewski. Prezes PSL „Wyzwolenie” Stanisław Thugutt wspomina: „Straszny był dzień pogrzebu Narutowicza. Pogoda była tak mroczna i mglista, że w samo nawet południe panowały ciemności. Na chodnikach od Belwederu do Zamku stał w gęstym skupieniu jakiś skamieniały w bezruchu, nieodgadniony tłum i nie wiadomo było, co się kryje pod tą skorupą milczenia”.

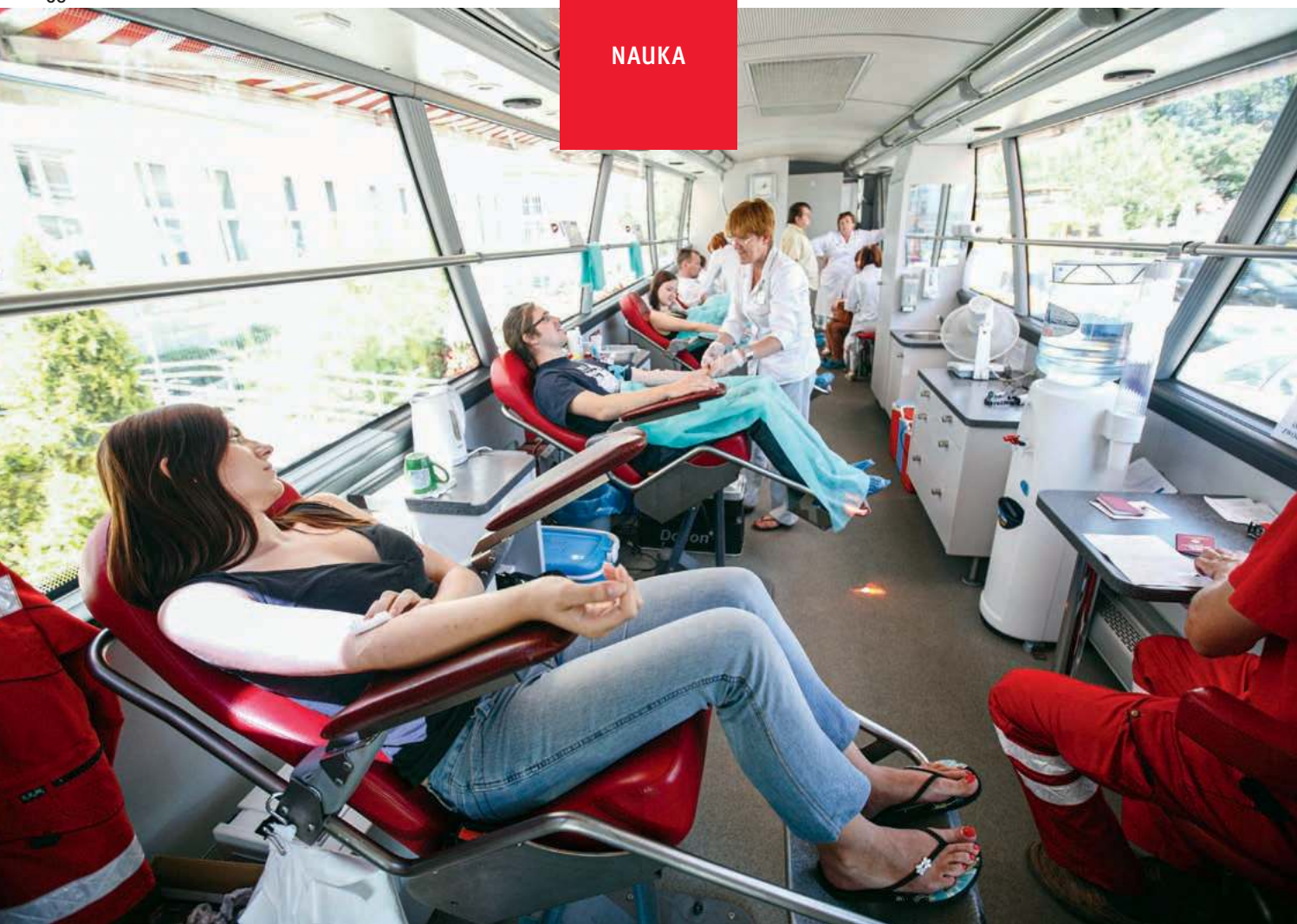
22 grudnia trumna z ciałem prezydenta zostaje złożona w krypcie katedry św. Jana.

30 grudnia 1922 r., po jednodniowym procesie, Niewiadomski zostaje skazany na śmierć i rozstrzelany 31 stycznia 1923 r. Na jego pogrzeb przyjdzie co najmniej kilka tysięcy osób.

Emocje związane z zabójstwem Narutowicza z czasem cichną, ale głębokie polityczne i społeczne antagonizmy pozostają. Choć strzały w Zachęcie są memento dla demokracji II RP, jej system trawi kryzys. Jego słabość ostatecznie obnaży kanonada, która rozlegnie się na ulicach Warszawy w maju 1926 roku.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor, doktor historii, jest pracownikiem warszawskiego IPN. Właśnie ukazała się jego książka „Orient zesłańców” o poznawaniu Bliskiego Wschodu przez polskich uchodźców podczas II wojny światowej.



Akcja krwiodawstwa przed urzędem marszałkowskim w Toruniu. Czerwiec 2011 r.

DAWCA UNIWERSALNY

Istnieją tak rzadkie grupy krwi, że trafiają się u jednej osoby na milion.
Z myślą o nich próbuje się krew hodować w laboratoriach.

ANNA BARTOSIK

NA POZĄTKU XVII W. MEDYCY PRZETACZALI mieszaninę mleka i wina pacjentom z krwotokiem. Panowało wtedy przekonanie, że krew powstaje w wątrobie ze składników pokarmowych i nie łączono jej z sercem czy oddychaniem. Później próbowano przetaczania krwi pochodzącej od zwierząt: psów, jagniąt czy cieląt. Pierwsza zakończona sukcesem transfuzja miała miejsce w 1667 r. Nadworny lekarz Ludwika XIV – Jean-Baptiste Denis – oraz asystujący mu

Paul Emmeraz przetoczyli 15-letniemu chłopcu z wysoką gorączką około 300 ml jagnięcej krwi. Dziecko przeżyło i wyzdrowiało. Ten sukces zachęcił medyków do kolejnych prób, ale wkrótce stało się jasne, że tego typu praktyki częściej zabijają ludzi, niż ich ratują. Skala porażek była tak wielka, że na ponad 150 lat zaprzestano eksperymentów z przetaczaniem ludzkiej krwi zwierzęcej.

Kolejne próby przetaczania krwi podjął na początku XIX w. James Blundell,

angielski lekarz położnik. Swoje metody testował najpierw na zwierzętach i trzymał się zasady, że najbezpieczniejsze są transfuzje między przedstawicielami tego samego gatunku. Blundell przeprowadzał eksperymenty na psach, którym najpierw obficie upuszczał krew, a następnie podawał do żyły za pomocą strzykawki krew od innego psa i w ten sposób ratował zwierzę od śmierci. Jako lekarz położnik, Blundell dostrzegał szczególnie zastosowanie transfuzji u kobiet, u których po porodach

występowały obfite krwawienia. W 1818 r. po raz pierwszy dokonał skutecznej transfuzji krwi w trakcie operacji położniczej. Dawcą był mąż pacjentki, od którego pobrano niewielką ilość krwi i podano do żyły położnicy. Dzisiaj wiemy, że kobiecie dopisało szczęście i jej mąż najprawdopodobniej miał taką samą jak ona albo zęrową grupę krwi. Londyński położnik nie miał jeszcze wtedy pojęcia o układzie grupowym krwi AB0, który został odkryty dopiero w 1901 r. przez austriackiego lekarza Karla Landsteinerja, co zresztą przyniosło mu Nagrodę Nobla w 1930 r.

Sztuczna hemoglobina

Głównym składnikiem czerwonych krwinek jest hemoglobina, która wychwytuje tlen w płucach i rozprowadza go do innych narządów, z których odbiera dwutlenek węgla – produkt przemiany materii. Transport tlenu to kluczowa funkcja krwi i dlatego stanowi największe zainteresowanie dla naukowców. Pierwsze eksperymenty, które roznieciły nadzieję na syntetyczną drogę do produkcji krwi, miały miejsce w latach 50. XX w. i wykorzystywały właśnie czystą hemoglobinę, wyizolowaną z krwi ludzkiej lub zwierzęcej. Hemoglobina jednak nie działa dobrze poza krwinkami czerwonymi. Ulega rozkładowi na fragmenty, które gromadzą się w wątrobie i nerkach, powodując uszkodzenia tych narządów. W kolejnych dekadach naukowcy tak modyfikowali cząsteczki hemoglobiny, aby ściślej wiązały się ze sobą, co zahamowywało ich rozpad. Badania tego typu preparatów, w których wzięło udział łącznie 3700 pacjentów, wykazały jednak znaczny wzrost ryzyka zawałów serca i śmierci, co spowodowało zaniechanie dalszych testów.

Jednym z możliwych wyjaśnień zwiększonego ryzyka zawału serca jest to, że hemoglobina nie wiąże się tylko z tlenem – lubi się wiązać także z tlenkiem azotu, który reguluje stopień otwarcia lub zamknięcia naczyń krwionośnych. Wprowadzenie hemoglobiny pozakomórkowej zaburza ten proces, co może utrudniać dopływ krwi do narządów, takich jak serce. Braki powodzeń w badaniach nad sztuczną krwią skierowały wysiłki naukowców w stronę namnażania naturalnych komórek krwi pobranych od pacjentów w warunkach laboratoryjnych.

W Wielkiej Brytanii rozpoczynają się właśnie próby kliniczne, w toku których po raz pierwszy testuje się u ludzi krew

wyhodowaną w laboratoriach z pobranych od pacjentów komórek macierzystych. Do tej pory podano preparat dwóm ochotnikom i nie zaobserwowano żadnych istotnych skutków ubocznych. W kolejnych etapach kluczowe będzie zbadanie efektywności przenoszenia tlenu i odbierania dwutlenku węgla z komórek.

Obcy kontra przeciwciała

Najbardziej znane systemy klasyfikacji grup krwi ludzi – i najważniejsze z punktu widzenia skuteczności transfuzji – to AB0 i Rh, ale znamy ich już znacznie więcej. Wszystkie grupy krwi są klasyfikowane na podstawie różnic w antygenach znajdujących się na powierzchni erytrocytów. Antygeny to cząsteczki białek albo cukry, które działają jak system identyfikacji na potrzeby układu odpornościowego. Osoba z grupą krwi A ma erytrocyty, których powierzchnia upstrzona jest antygenami A, zaś grupa krwi B oznacza obecność antygenów B. Grupa krwi 0 to brak jakiegokolwiek z tych antygenów, a AB to obecność obu ich jednocześnie.

Problem z przetaczaniem krwi wynika z faktu, że jeśli antygen znajdujący się na powierzchni jakiejś komórki zostaje rozpoznany jako „obcy”, system immunologiczny próbuje tę komórkę zneutralizować. Białka służące do rozpoznawania antygenów to przeciwciała, a układ odpornościowy każdego z nas ma właściwy sobie zestaw przeciwciał, między innymi takie reagujące na „obce” antygeny krwinek. Jeśli krwinki dawcy zostaną w organizmie biorcy rozpoznane jako obce, dojdzie do ich niszczenia (tzw. hemolizy). Jeśli ktoś nosi w sobie przeciwciała anti-A, to przetoczenie mu krwi od dawcy z grupą krwi A wywoła atak układu odpornościowego. Łatwo więc zrozumieć, dlaczego dawcami tzw. uniwersalnymi, których krew można przetaczać każdemu, są nosiciele grupy krwi 0: ich krwinki nie mają ani antygenów A, ani B, nie wzbudzą więc podejrzeń żadnego układu odpornościowego, ani takiego nastawionego „anti-A”, ani takiego nastawionego „anti-B”. Biorcą uniwersalnym jest z kolei posiadacz grupy krwi AB: jego układ odpornościowy jest oswojony z oboma typami antygeny, żadna ich kombinacja nie wywoła więc alarmu. Podobne rozumowanie przeprowadzone dla układu Rh prowadzi do wniosku, że przypadkiem uniwersalnym jest typ „minus”: ostatecznie więc za

„krew uniwersalną” uznaje się typ 0 Rh-. Tak przynajmniej jest w pierwszym przybliżeniu.

Rutynowo oznaczana grupa krwi ogranicza się do układów antygenowych AB0 i Rh, a w przypadku transfuzji podawana jest krew zgodna albo od uniwersalnego dawcy (0 Rh-). W rzadkich przypadkach przy podaniu krwi zgodnej w układzie AB0/Rh może jednak dojść do hemolizy – wtedy krew pacjenta badana jest szczegółowo i oznaczane są następne grupy krwi, w oparciu o identyfikację kolejnych zestawów antygenów. Międzynarodowe Towarzystwo Przetaczania Krwi wyróżnia dzisiaj aż 43 różne układy grup krwi, zawierające setki możliwych wariantów antygenów.

Poza systemem AB0

Dziedziczenie grup krwi następuje zgodnie z zasadami Mendla, ponieważ warianty danego antygeny (np. A, B czy 0 – podobnie jest w innych układach) zależą od jednego, a nie od wielu genów, jak ma to miejsce w przypadku takich cech jak kolor włosów, wzrost czy inteligencja. Od rodziców dostajemy po jednym wariantcie danego genu, a ich kombinacja warunkuje, jaką mamy grupę krwi (w danym układzie). Nie wszystkie warianty występują równomiernie w populacji. Gdy idzie o układ AB0/Rh, w Polsce najpopularniejsze są grupy 0 Rh+ i A Rh+, występujące odpowiednio u 31 i 32 proc. osób, natomiast grupa AB Rh- trafia się u jednej osoby na sto.

Biorąc pod uwagę wszystkie możliwe warianty antygenów (we wszystkich układach) obecne w populacji, liczba potencjalnych kombinacji robi się astronomiczna. Niezwykle rzadko pojawiają się osoby, u których zestawy antygenów i przeciwciał są tak specyficzne, że będą niezdolne do przyjmowania krwi od ogromnej większości dawców.

Antygeny grup krwi „MNS” zostały odkryte w latach 20. XX w. przez znanego nam już Karla Landsteinerja. To złożony układ grup krwi występujący na niektórych z najważniejszych białek strukturalnych na powierzchni krwinek czerwonych. Innym przykładem jest „wariant S/s”, którego nazwa nawiązuje do miasta Sydney, gdzie został opisany po raz pierwszy. Charakteryzuje go szczególny rodzaj cząsteczki na czerwonych krwinkach, która jest celem pasożyta malarii. Niektórzy ludzie pochodzący

→ z Afryki w ogóle nie mają tych cząstek na powierzchni swoich komórek, co zmniejsza u nich ryzyko zarażenia się malarią. Z kolei grupa krwi Kidd została nazwana na cześć pacjentki. Odkryto tę grupę w połowie XX w., gdy pani Kidd była w ciąży, a jej własny układ odpornościowy zaatakował czerwone krwinki płodu.

Postępy w oznaczaniu grup krwi nie rozwiązują problemu z jej dostępnością. Zwłaszcza jeżeli dawcą może być osoba jedna na milion. Ten problem można obejść – bo dla każdego najlepszym dawcą jest... on sam. Stąd właśnie poby stworzenia metod hodowli krwi w laboratoriach.

Tylko młode krwinki

Pierwsze eksperymentalne transfuzje laboratoryjnej krwi zostały przeprowadzone w szpitalu Addenbrooke w Cambridge. Na etapie przygotowawczym pobrano krew od ochotników i wyodrębniono z niej komórki macierzyste. Z nich mogą się rozwinąć dowolne wyspecjalizowane komórki krwi. Cały proces trwa trzy tygodnie i jest bardzo wydajny, bo z ok. 0,5 mln komórek macierzystych uzyskano aż 50 mld czerwonych krwinek. Z tej grupy wyizolowano 15 mld krwinek znajdujących się na odpowiednim etapie procesu dojrzewania, by mogły być podane ochotnikom.

Badania laboratoryjne hodownej krwi wskazują na to, że czerwone krwinki mogą wolniej się starzeć i tym samym dłużej utrzymywać się w krwioobiegu. Zwykle żyją w organizmie przez około 120 dni, zanim muszą zostać wymienione na nowe. Podczas standardowej donacji pobrana krew zawiera mieszankę młodych i starych czerwonych krwinek, które są ciągle produkowane w szpiku kostnym. Krew wyhodowana w laboratorium jest zaś zsynchronizowana na tym samym etapie rozwoju, więc powinna spełniać swoje funkcje przez pełne 120 dni.

Krew z laboratorium nie będzie rozwiązaniem na masową skalę, gdyż jej produkcja jest bardzo kosztowna w porównaniu z donacjami od ochotników. Może ona jednak przynieść fundamentalną zmianę komfortu życia dla pacjentów o rzadkich grupach krwi, wymagających częstych transfuzji.

© ANNA BARTOSIK

Murem podzielona

PROF. RAFAŁ KOWALCZYK, PROF. BOGDAN JAROSZEWICZ, BIOŁODZY:

Ryś to wrażliwy gatunek. Nasze badania pokazują, że połowa kociąt nie dożywa początku zimy. Populacja z polskiej części Puszczy Białowieskiej może wyginąć.

KRZYSZTOF STORY: Jakie ślady po zostały w Puszczy po kryzysie na granicy, stanie wyjątkowym i budowie płotu?

PROF. BOGDAN JAROSZEWICZ: Z Puszczy zniknęły, wedle wstępnych szacunków, tysiące drzew. Nawet jeśli część z nich była już martwa, to pamiętajmy, że martwe drewno nie staje się mniej ważne. Ono stanowi o unikalności tego systemu. Drewno szło głównie do ognisk, rozpalanych przez migrantów i stacjonujące na granicy służby.

Każdy turysta w Białowieży zwraca uwagę na rozjeżdżone i poszerzone puszczańskie drogi. By cokolwiek po podmokłych terenach mogło przejechać, błoto wypychano spychaczem w las, często niszcząc korzenie, a na drogę wysypywano kruszywo. Wraz z nim i na kołach ciężarówek musiały się dostać do lasu także nasiona obcych gatunków – często inwazyjnych.

Na Drodze Browskiej, która jest granicą obszaru ochrony ścisłej Białowieckiego Parku Narodowego, doliczyliśmy się 30 uszkodzonych drzew na kilometr. Podobne szkody wyrządzono przy granicy. Ja, żeby w rezerwacie ścisłym pobrać centymetr kwadratowy liścia do badań molekularnych, muszę uzyskać zgodę ministra odpowiedzialnego za środowisko. A tuż obok nagle wjeżdża maszyna, która niszczy korzenie setek drzew rosnących w tym samym obszarze ochrony ścisłej.

Wybudowany latem mur podzielił transgraniczny obiekt Światowego Dziedzictwa UNESCO, jakim od 1992 r. była Puszcza Białowieska. Przyroda potrafi pokonać takie przeszkody?

PROF. RAFAŁ KOWALCZYK: Bariery fizyczne są jednym z największych zagrożeń. Podczas podróży do południowej Afryki zobaczyłem, że dla ludzi zajmu-

jących się tam ochroną przyrody likwidacja ogrodzeń i poszerzanie obszarów chronionych należą do najważniejszych tematów. Polska nie jest w tak złej sytuacji, bo nie mamy wielkich populacji zwierząt migrujących na setki, tysiące kilometrów, ale problem pozostaje. Zahamowanie migracji odcina dopływ nowych osobników, a w efekcie spada zróżnicowanie genetyczne.

W Puszczy unikatowy ekosystem został podzielony barierą. Rośliny i ptaki sobie z nią poradzą, ale dla dużych ssaków płot jest nie do przejścia. Najbardziej martwimy się o populację rysia, która już wcześniej miała niską zmienność genetyczną.

Wszystkie białowieskie rysie to jedna rodzina?

RK: Można tak powiedzieć. Po obu stronach granicy żyje 30-35 osobników. Badania genetyczne pokazują, że była ona już do pewnego stopnia izolowana, co wynika z fragmentacji dużych kompleksów leśnych. Rysie potrzebują lasów o złożonej strukturze, z martwym drewnem i podszytem, aby móc zbliżyć się blisko do ofiary i dopaść ją w kilku skokach. Dlatego mogą przetrwać tylko w takich lasach jak tutaj – nie poradzą sobie ani na otwartym terenie, ani w typowych lasach gospodarczych.

Dlatego mimo blisko 30-letniej ochrony rysia w Polsce nie przybyło i nie zasiedliły nowych lasów. W tym samym czasie populacja wilków wzrosła trzykrotnie i zrekolonizowała prawie całą Polskę. To pokazuje, jak wrażliwym gatunkiem jest ryś. A teraz tę niewielką populację przedzieliliśmy barierą na dwie osobne. Nie wiemy dokładnie, ile tych dużych drapieżników zostało po polskiej stronie po budowie muru, ale obawiamy się, że za mało. Dodatkowo, rysie, które po-

siadały terytoria pokrywające teren po obu stronach granicy, musiały je zmienić, co nie jest takie proste. Samice zasiedlają osobne terytoria i konkurują o pokarm, szczególnie w okresie wychowu młodych. Może się okazać, że niektóre z nich mogą mieć za mało terenu, aby wykarmić młode, albo zaczną wykorzystywać tereny na obrzeżach Puszczy lub poza nią, a tam ryzyko śmierci jest wyższe niż w centrum Puszczy. To ogromne zaburzenie ich organizacji przestrzennej i relacji społecznych.

Rysie po polskiej stronie wyginą?

RK: Tego się obawiamy. Jeśli zostały tutaj trzy, cztery rozmnażające się samice, to śmierć każdej z nich może być wyrokiem dla całej populacji, bo niewielka liczba odchowanych młodych może nie uzupełnić strat związanych ze śmiertelnością. Niedawno opublikowane przez nas badania dotyczące rozrodu i śmiertelności rysy w różnych częściach Europy pokazały, że połowa kociąt nie dożywa początku zimy. Poza tym obniżająca się zmienność genetyczna może prowadzić do problemów z rozrodem. Znamy przykłady z innych gatunków dużych kotów (np. pum, gepardów), wśród których niska zmienność genetyczna prowadzi do problemów z płodnością.

Ale przecież na granicy stoi nie tylko polska zapora. Od lat funkcjonuje też białoruska, tzw. *sistiema*.

RK: Wbrew temu, co mówią urzędnicy, nie stanowiła ona większej przeszkody dla rysy i wilków. Dane z telemetrii, które zbieraliśmy do 2012 r., pokazywały, że niektóre rysie przekraczały ją nawet 60 razy w roku. To oznacza, że miały terytoria transgraniczne, a *sistiema* im w tym nie przeszkadzała. Na ten argument usłyszałem odpowiedź, że to stare dane, a *sistiema* była od tego czasu remontowana. Cóż, ja nie widzę, żeby wyglądała inaczej niż 10 lat temu, a zwierzęta dalej potrafią przez nią przejść. Z podobnymi barierami zwierzęta radzą sobie na całym świecie. Jakiś czas temu widziałem piękne zdjęcie lamparta z Afryki Południowej, który przeczołguje się pod zaskakami z drutu kolczastego. Z naszym płotem rysie i wilki już sobie nie poradzą.

A co z niedźwiedziem, który trzy lata temu zawitał do Puszczy?



BSG UW

PROF. BOGDAN JAROSZEWICZ

kieruje Białowieską Stacją Geobotaniczną UW. Bada czynniki i procesy kształtujące ekosystemy leśne, ich różnorodność biologiczną i dynamikę.



IBS BIAŁOWIEŻA

PROF. RAFAŁ KOWALCZYK pracuje w Instytucie Biologii Ssaków PAN w Białowieży. Bada m.in., jak czynniki środowiskowe wpływają na zachowanie i strategie żerowania dużych ssaków żyjących w lasach.

RK: Obserwowaliśmy go przez ten czas po obu stronach granicy i traktowaliśmy jako pierwszy znak, że powrót niedźwiedzi do Puszczy Białowieskiej jest realny, że zasięg populacji się powiększa i wkrótce pojawiają się inne niedźwiedzie, jak to się dzieje w nowo zasiedlonych lasach na Białorusi. Płot tę nadzieję przekreślił. Niedawno świeże tropy „puszczańskiego” niedźwiedzia znaleziono po stronie białoruskiej.

Płot nie powstanie tam, gdzie granicą jest rzeka. Na podlaskim odcinku 247-kilometrowej granicy z Białorusią bariera ma 186 km. Są w niej przejścia dla zwierząt?

BJ: Były zadeklarowane 22 przejścia w postaci otwieranych bram, które mają być zamknięte tak długo, jak będzie presja migracyjna. Na razie, z tego, co wiemy, są zamknięte. Władze chwaliły się też, że wykonano 70 tys. przejść dla małych ssaków (np. gryzoni). Tylko że one są o wiele za małe, często są wykonane za wysoko lub zasypane ziemią. Bardziej wyglądają na element konstrukcyjny betonowej podstawy płotu niż rzeczywiście skuteczny przepust dla zwierząt. Równie dobrze można powiedzieć, że mamy w zaporze milion przejść dla nisko latających owadów, bo przecież płot jest ażurowy.

RK: Na rzekach nie ma zapory, ale są zaskie z drutu żyłkowego. Gina w nich zwierzęta, jak mogliśmy dowiedzieć się z przekazów medialnych z doliny Bugu. Liczyliśmy, że doliny rzeczne i tereny bagienne będą pozbawione zapory, co pozwoli na utrzymanie ciągłości ekologicznej i migracje zwierząt. Rzeki są źródłem wody, szczególnie w czasie coraz częstszych suszy, obszarami wykorzystywanymi przez bardzo wiele gatunków zwierząt i ważnymi szlakami migracyjnymi. Teraz w wielu miejscach zwierzęta zostały od nich odcięte.

Jak ostatnie kilkanaście miesięcy zmieniło Waszą pracę naukową?

BJ: Zostaliśmy odcięci od świata. Do Białowieży, ze względu na unikalność terenu, przyjeżdżali naukowcy z całej Polski i świata, było tu wiele wydarzeń i konferencji. Ta współpraca została po okresie pandemicznym zawieszona na kolejny rok. Zmieniła się też zawartość naszych plecaków. Wszyscy zaczęliśmy zabierać do lasu więcej jedzenia, dodatkową butelkę wody, powerbanki.

RK: Byłem jeszcze wtedy dyrektorem Instytutu. Pamiętam, że nagle wyjścia do lasu stały się bardzo obciążające. Wielokrotnie, gdy chodziłem po fragmentach lasu z dużą ilością martwego drewna, towarzyszył mi lęk, bo nawet w takich zawałowiskach znajdowałem ślady po uchodźcach, buty, ubrania, spiwory, puste butelki. Bałem się, że znajdę czyjeś ciało. Raz się to zdarzyło. Ten człowiek pochodził z Jemenu, nie żył od tygodnia. Udało się ustalić jego tożsamość i skontaktować z rodziną.

Wielu z nas z tego okresu ma wspomnienia, które zapamięta do końca życia.

XXVI EDYCJA KONKURSU

Grand Press 2022

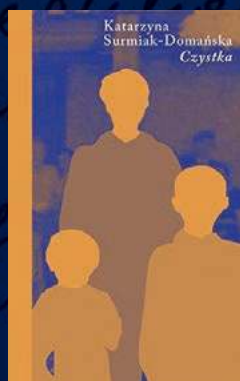
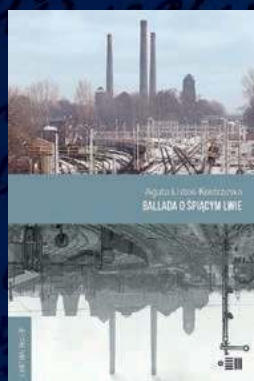
**GALA OGŁOSZENIA WYNIKÓW 13 GRUDNIA,
TRANSMISJA NA ŻYWO W TVN24 O GODZ.20:30**

KSIĄŻKA REPORTERSKA ROKU

Do 9 grudnia trwa głosowanie na Nagrodę Czytelników

ZAGŁOSUJ NA SWOJĄ ULUBIONĄ KSIĄŻKĘ

www.press.pl/glosowanie/krr



MECENAS KONKURSU

ORGANIZATORZY

PARTNERZY KONKURSU

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

press

GRAND PRESS FOUND.

za'KS
sprzyjamy wyobraźni

GRUPA LUXMED

3 LAT BŁESKO CIEBIE

Grupa Żywiec

REPROPOL

KRUK

PARTNER NAGRODY
GRAND PRESS DIGITAL

PARTNER NAGRODY GRAND PRESS ECONOMY
ORAZ NAGRODY IM B. TOMASZEWSKIEGO

PARTNER NAGRODY
KSIĄŻKA REPORTERSKA ROKU

PARTNER NAGRODY
CZYTELNIKÓW

PARTNERZY GALI

Meta

BNP PARIBAS

Sopot

nexto.PL

BAT POLAND

POLIM

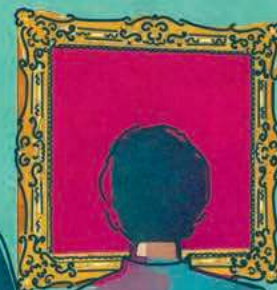
PILOCI STUDIO

COLO SOUND

F25.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 50/2022



66 10 OBRAZÓW, KTÓRE TRZEBA ZOBACZYĆ

Piotr Kosiewski

72 LUDZIE I RZECZY

O nowej wystawie
w Bunkrze Sztuki
pisze Michał Sowiński

74 HISTORIA ZZA OKNA

O książce Astrid Lindgren
pisze Jacek Taran

75 SPOSOBY POSZUKIWANIA NADZIEI

O wyborze tekstów
ks. Józefa Tischnera
pisze Monika Ochędowska

76 DŹWIĘKI I PRZERWY

Rozmowa z dyrygentem
TGD, Piotrem Nazarukiem

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO
„TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
NR 50/2022

www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA:
Monika Ochędowska

OPIEKA WYDAWNICZA:
Maja Kuczińska,
Anna Pietrzykowska,
Mateusz Gawron

PROJEKT GRAFICZNY:
Marek Zalejski

FOTOEDYCJA:
Grażyna Makara,
Edward Augustyn

OKŁADKA, SKŁAD:
Anna Prusiewicz,
Renata Surowiec
DoLasu

KOREKTA:
Grzegorz Bogdań,
Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow,
Maciej Szklarczyk



Sandro Botticelli „Madonna z dzieciątkiem, św. Janem Chrzcicielem i aniołem”

KRZYSZTOF WILCZYŃSKI
MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

10 obrazów, które trzeba zobaczyć

PIOTR KOSIEWSKI

**Gdański Memling, krakowski Leonardo,
warszawskie portrety Rembrandta – o nich wiemy.
Jednak arcydzieł jest u nas więcej.**

WOJNY, ROZBIORY, DŁUGI BRAK własnego państwa sprawiły, że nie mamy muzeów porównywalnych z paryskim Luwrem, nowojorskim Metropolitan Museum of Art czy madryckim Prado. Nie możemy się pochwalić dużymi kolekcjami malarstwa europejskiego, choć nie brak w polskich zbiorach arcydzieł, by wymienić „Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga w Muzeum Narodowym w Gdańsku, „Dagę z gronostajem” Leonarda da Vinci

w Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie, obrazy Rembrandta na Zamku Królewskim w Warszawie czy „Portret Stanisława Kostki Potockiego” Jacques’a-Louisa Davida w Pałacu Wilanowskim w Warszawie. To dzieła powszechnie znane i umieszczane na listach najcenniejszych. Jednak wybitnych obrazów jest znacznie więcej. Warto im się uważnie przyjrzeć podczas zwiedzania – ich historie mówią wiele zarówno o polskim kolekcjonerstwie, jak i dziejach naszego muzealnictwa.

SANDRO BOTTICELLI (1445-1510)
„Madonna z dzieciątkiem,
św. Janem Chrzcicielem i aniołem”,
Muzeum Narodowe w Warszawie

Należał do tych, którzy „nauczyli Florencję szczęśliwości nieba i świętości ziemi” – pisał o nim John Ruskin, XIX-wieczny krytyk, „prawodawca gustu”, który wywarł ogromny wpływ na wyobraźnię artystyczną nie tylko na Wyspach Brytyjskich. Sandro Botticelli, za życia jeden z najsławniejszych twórców florenckich, potem długo zapomniany, właśnie dzięki tekstom Ruskina został odkryty na nowo. Jego malarstwo zafascynowało Prerafaelitów, a po nich kolejne pokolenia artystów. Dziś „Primavera” i „Narodziny Wenus” to ikoniczne przedstawienia, będące częścią globalnej wyobraźni.

Botticelli był przede wszystkim malarzem Madonn. Jedna z nich znajduje się w zbiorach warszawskiego Muzeum Narodowego. Przedstawia Marię z dzieckiem, św. Janem i aniołem – zamyśloną, spoglądającą ze smutkiem w dal. Wydaje się niemal nieobecna. Dzieciątko wychyla się ku widzowi, błogosławiąc światu. Anioł zaś trzyma w ręku księgę – jakby szukał w niej tekstu, który odnosi się do Jezusa. Jest też druga księga. Zamknięta jeszcze, ale niedługo zostanie zapisana.

W 1862 r. powołano w Warszawie Muzeum Sztuk Pięknych, później przemianowane na Muzeum Narodowe. Od początku miało zbierać zarówno sztukę polską, jak i europejską, dziś zbiory tej ostatniej należą do największych w naszym kraju. Dzieje placówki związane są ze skomplikowaną historią Polski, także powojenną. Udało się bowiem nie tylko odzyskać część zagrabionych przez Niemców kolekcji, ale do Muzeum Narodowego trafiły też obiekty pochodzące m.in. z tzw. Ziem Odzyskanych, w tym właśnie obraz Botticello z dawnego Śląskiego Muzeum Sztuk Pięknych we Wrocławiu.

Dosso Dossi (1490-1542)
„Jowisz malujący motyle”, około
1523-1524, Zamek Królewski na
Wawelu – Państwowe Zbiory
Sztuki, Kraków

To jeden z najbardziej tajemniczych obrazów w polskich zbiorach. Przedstawia ojca bogów w niecodziennej sytuacji: pracującego nad obrazem o temacie ulotnym, wręcz błahym. Tuż obok Jowisza siedzi Merkury i stanowczym gestem ucisza nadchodzącą Cnotę. Nikt nie może



ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Dosso Dossi „Jowisz malujący motyle”

przeszkadzać władcy nieba i ziemi w tworzeniu malowidła.

Dosso Dossi stworzył obraz na zlecenie władcy Ferrary, ks. Alfonsa d'Este. Temat zaczerpnął z poematu wybitnego architekta i teoretyka Leona Battisty Albertiego o losach bogini Cnoty, która pragnęła opowiedzieć o nieszczęściach, jakie sprawiła jej Fortuna. Ale tekst Albertiego nie wyjaśnia tego, co przedstawiono na obrazie – wymyka się on bowiem jednoznacznym interpretacjom. Nie wiadomo, czy jest moralistyczną opowieścią, czy mówi o sztuce tworzenia, stanowiąc apoteozę malarskiej iluzji.

Płótno kilkakrotnie zmieniało właścicieli, by w 1888 r. trafić w ręce Karola Lankorońskiego, jednego z najwybitniejszych polskich kolekcjonerów. Obraz znalazł się w jego pałacu w Wiedniu. Zrabowany podczas wojny przez nazistów, nie został zwrócony rodzinie, lecz zawisł w Kunsthistorisches Museum. Dopiero w 1999 r. austriacki sąd uznał prawa Lankorońskich do obrazu. W 2002 r. Karolina Lankorońska ofiarowała go na Wawel – dopełnił jej dar z 1994 r., w ramach którego przekazała do Krakowa ponad 500 obiektów. Zamek Królewski w Warszawie zyskał wtedy dwa arcydzieła Rembrandta.

Sofonisba Anguissola
 „Autoportret przy sztalugach”

SOFONISBA ANGUISSOLA (1532-1625)
„Autoportret przy sztalugach”,
1554, Muzeum – Zamek w Łańcucie

Była pierwszą malarką, która odniosła tak znaczące sukcesy. Giorgio Vasari w słynnych „Żywotach” pisał o niej z uznaniem: „Umiała nie tylko rysować, malować, portretować z natury i sporządzać kopie, ale niezależnie od innych wykonywała obrazy niezwykle pięknie”. W 1559 r. została zaproszona przez Filipa II na dwór hiszpański. Wykonała wtedy cały szereg portretów rodziny królewskiej. Portretowała także siebie – przed nią żaden malarz nie wykonał tak wielu własnych wizerunków. W obrazie przechowywanym w Łańcucie pokazała siebie →



MUZEUM ZAMEK W ŁAŃCUCIE



Hendrick ter Brugghen „Piłat umywający ręce”



Francisco de Zurbarán „Madonna Różańcowa adorowana przez kartuzów”

→ przy sztalugach: młodą kobietę ubraną w ciemną suknię. Pracuje nad obrazem przedstawiającym Madonnę z Dzieciątkiem. Patrzy wprost na widza, jakby chciała powiedzieć: jestem malarką, zobaczcie, co potrafię.

W Muzeum Narodowym w Poznaniu można zobaczyć „Grę w szachy”, najsłynniejsze dzieło Anguissoli. Obraz łańcucki – zapewne zakupiony przez księżnę Izabelę Lubomirską – przypomina o bogactwie dawnych zamkowych zbiorów, które w większości zostały w 1944 r. wywiezione za granicę, a następnie sprzedane przez ostatniego ordynata Alfreda Potockiego.

HENDRICK TER BRUGGHEN (1588-1629) „Piłat umywający ręce”, 1617, Muzeum Narodowe w Lublinie

W polskich zbiorach nie ma ani jednego dzieła Caravaggia, ale są obrazy wybitnych caravaggionistów, twórców nie tylko z Włoch, ale też z Hiszpanii, Francji czy Holandii, którzy podchwycili podejmowane przez niego tematy, a przede wszystkim brutalny realizm czy stosowanie ostrych kontrastów światła i cienia. Do najwybitniejszych należy Hendrick ter Brugghen, który po nauce malarstwa w Utrechcie wyjechał w ponad 10-letnią podróż artystyczną do Włoch. Tam po-

znał dzieła Caravaggia, którego styl rozpropagował następnie w Holandii. Tworzył obrazy rodzajowe, jednak przede wszystkim podejmował tematy religijne. Bohaterów przedstawiał jako zwykłych ludzi, z ich niedostatkami i ułomnościami. Bliskich tym, których codziennie spotykał na ulicach.

Tak jest w przypadku „Piłata umywającego ręce” z lubelskiego muzeum. Prokurator Judei to stary, zmęczony człowiek. Dwóch służących pomaga mu obmyć dłonie. Światło, gest mycia, przeciekająca przez dłonie woda, skupione twarze Piłata i jego sług – wszystko to sprawia, że mamy poczucie, iż wydarzyło się coś symbolicznego.

FRANCISCO DE ZURBARÁN (1598-1664) „Madonna Różańcowa adorowana przez kartuzów”, 1638-1639, Muzeum Narodowe w Poznaniu

To jedno z najbardziej monumentalnych dzieł w polskich muzeach. Wybitny hiszpański malarz stworzył je na zamówienie zakonu kartuzów do głównego ołtarza ich kościoła w Jerez de la Frontera. Przedstawił w nim Marię jako trонującą Królową. Na jej kolanach stoi Dzieciątko. Razem trzymają błękitną kulę symbolizującą świat. Towarzyszą jej aniołowie. Poniżej grono zakonników, którym prze-

wodzi reformator modlitwy różańcowej o. Dominik Hélon, modlący się do Madonny. Dzieło jest pełne barokowego przepychu, ale jednocześnie Zurbarán stworzył obraz wyrafinowany kolorystycznie, a oszałamiającą biel mniszych habitów skonstrastował z całymi partiami ukrytymi w głębokim cieniu.

Obraz po kasacji zakonu w 1835 r. trafił do prywatnych kolekcji, a następnie stał się własnością króla Francji Ludwika Filipa. Był prezentowany w słynnej Gallerii Hiszpańskiej w Luwrze. Po jego abdykacji został sprzedany w 1853 r. na aukcji w Londynie. Nabywcą był Atanazy Raczyński, jeden z najwybitniejszych polskich kolekcjonerów. Zbierał współczesną mu sztukę niemiecką, ale był też zainteresowany twórcami z Półwyspu Iberyjskiego – jest autorem pierwszej historii sztuki Portugalii. Dziś obraz jest własnością Fundacji im. Raczyńskich przy Muzeum Narodowym w Poznaniu, które posiada jedną z najwybitniejszych kolekcji malarstwa europejskiego od XIV po przełom XIX i XX w.

JEAN-ÉTIENNE LIOTARD (1702-1789) „Dama w tureckim stroju z wachlarzem”, Łazienki Królewskie w Warszawie

Obraz jest dziełem szwajcarskiego malarza, który za życia był cenionym na euro-



PIOTR CERAFICKI, ANDRZEJ KOTLARSKI / ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

Jean-Étienne Liotard „Dama w tureckim stroju z wachlarzem”



ANDRZEJ RING, LECH SANDEWICZ / ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Élisabeth Vigée-Lebrun „Portret Pelagii z Potockich Sapieżyny”

pejskich dworach portrecistą, a dziś jest na nowo odkrywany. Jego zmysł obserwacji, ostrość spojrzenia, także na samego siebie – stworzył cały cykl niezwykłych autoportretów – a jednocześnie chłodna, niemalże fotograficzna precyzja, z jaką oddawał szczegóły, sprawiły, że jego dzieła są bliskie współczesnej wrażliwości. Liotard zasłynął jako twórca pasteli, jednak ten niewielki, liczący sobie zaledwie 16,7 x 19,5 cm obraz wykonał far-

bami olejnymi. Przedstawia on kobietę w tureckim stroju, siedzącą na otomanie – malarz fascynował się kulturą Imperium Osmańskiego. Wszystko jest tu niesłychanie wysmakowane kolorystycznie: czerwień siedziska, błękit poduszek, biel obszycia płaszcza.

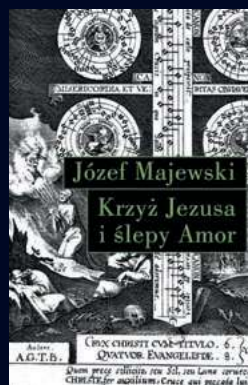
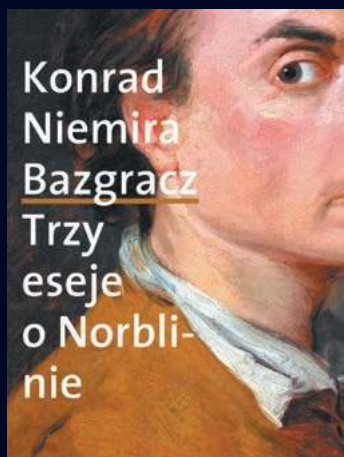
Obraz, prezentowany przez Liotarda w Paryżu, a potem w Londynie, ostatecznie trafił do zbiorów Stanisława Augusta Poniatowskiego. Obecnie jest własnością

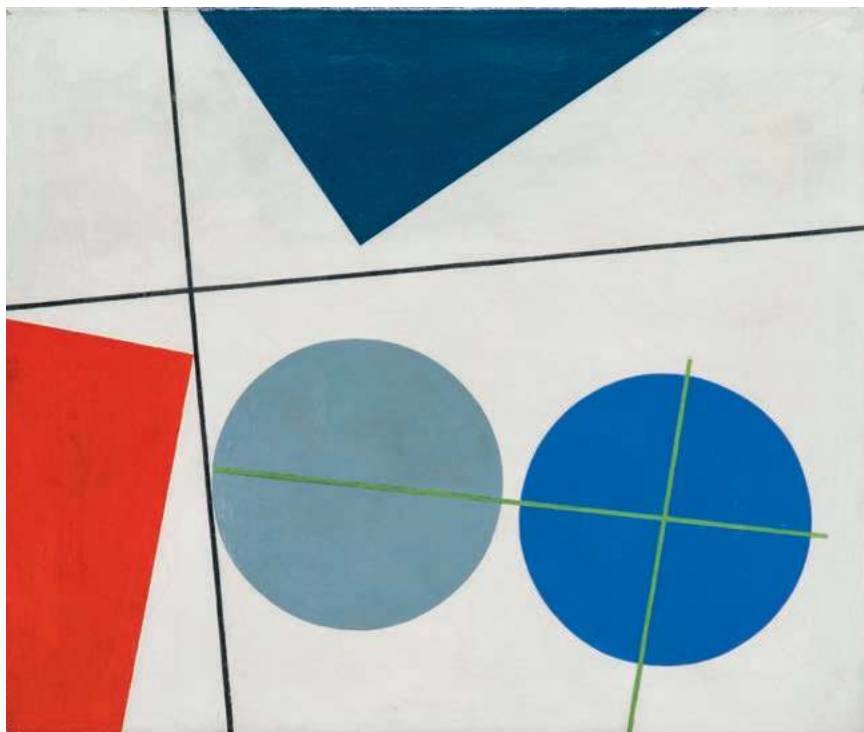
muzeum Łazienki Królewskie, które do dziś przechowuje część królewskiej kolekcji mającej – w zamierzeniu króla – stać się zaczątkiem narodowych zbiorów.

ÉLISABETH VIGÉE-LEBRUN (1755-1842) „Portret Pelagii z Potockich Sapieżyny”, 1794, Zamek Królewski w Warszawie

Élisabeth Vigée-Lebrun zajmuje szczególne miejsce w dziejach sztuki przełomu →

REKLAMA





Sophie Taeuber-Arp „Kompozycja”



Wassily Kandinsky „Wieczór”

→ XVIII i XIX w. Mimo ograniczeń, które wtedy przed kobietami stawiano, zdobyła tytuł nadwornej malarki Marii Antoniny, a w 1783 r. została przyjęta w poczet Akademii Królewskiej – wcześniej naprawdę niewielu artystkom się to udało. Pasma sukcesów przerywa wybuch rewolucji francuskiej. Malarka, blisko związana z królewskim dworem, decyduje się na wyjazd. Podróżuje po Włoszech, by ostatecznie dotrzeć do Petersburga. Do stolicy Rosji jedzie przez Wiedeń. I to w tym

mieście portretuje Pelagię Potocką, żonę ks. Franciszka Sapiehy (lista Polek i Polaków uwiecznionych przez Élisabeth Vigée-Lebrun jest długa).

To jeden z najbardziej efektownych obrazów francuskiej malarki. Przedstawia młodą kobietę ubraną w luźną, przewiewną suknię w kolorze oliwkowej zieleni. Nieoficjalnie, nawet intymnie – Pelagia Potocka została ujęta w tanecznej pozie. W tle widać pejzaż z dymiącym Wezuwiuszem. Dzieje obrazu dobrze poka-

zują skomplikowane losy polskich zbiorów. Przechowywany w pałacu Sapiehów w Dereczynie, w 1832 r. został skonfiskowany przez Rosjan. Zwrocony rodzinie w 1862 r. przez cara Aleksandra II, kilkakrotnie zmieniał właścicieli. Wreszcie w 1986 r. prof. Edward Lipiński ofiarował go do zamkowych zbiorów, których ważną częścią są prywatne dary.

WASSILY KANDINSKY (1866-1944) „Wieczór”, 1902-1903, Muzeum Narodowe we Wrocławiu

Jest uważany za jednego z twórców malarstwa abstrakcyjnego. Jego książki „O duchowości w sztuce” oraz „Punkt i linia a płaszczyzna” wpłynęły na myślenie o całej nowoczesnej sztuce. Mniej znana jest jego wcześniejsza twórczość, która ostatecznie doprowadziła go do porzucenia figuracji w malarstwie. Urodzony w Moskwie na miejsce studiów wybrał Monachium, uznawane wówczas za jedno z najważniejszych centrów artystycznych w Europie. Tam poznał niemiecki symbolizm i secesję, twórczość impresjonistów, ale też zafascynował się ówczesną teozofią. W Monachium zaczyna samodzielnie tworzyć, włącza się w tamtejsze życie. Z tego okresu pochodzi „Wieczór”, jedyny obraz Kandinskiego w polskich zbiorach publicznych. W Muzeum Narodowym we Wrocławiu można zresztą zobaczyć twórczość najwybitniejszych malarzy niemieckich oraz z tym krajem związanych – tworzących od końca XVIII po pierwsze dekady XX w.

To nastrojowy krajobraz przedstawiający kobietę z małym dzieckiem na spacerze. Powoli zachodzi słońce – trawa nadal jest intensywnie zielona, czubki drzew zabarwiły się na czerwono, ale zaczyna zapadać mrok. Malarz uchwycił stan przejścia, podszytą melancholią chwilę między końcem dnia i nadchodzącą nocą. Obraz zapowiada przyszłą, ekspresjonistyczną twórczość artysty, ale też oddaje stan niepokoju, mocno obecnego w twórczości przełomu XIX i XX w.

SOPHIE TAEUBER-ARP (1889-1943) „Kompozycja”, 1931, Muzeum Sztuki w Łodzi

Należy do grona artystek, które w pierwszych dekadach XX w. współtworzyły awangardową sztukę. Wiąże się z dadaizmem, jednym z najbardziej radykalnych zjawisk w sztuce tych czasów. Bie-

PIOTR TOMCZYK / MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

ARKADIUSZ PODSTAWKA / MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

rze udział w wystąpieniach dadaistów w słynnym zuryskim Cabaret Voltaire. Tam też poznaje swojego przyszłego męża Hansa Arpa – potem przez lata będą współpracować. Sama zaczyna tworzyć prace abstrakcyjne, stając się jedną z pionierek sztuki nieprzedstawiającej. Jest ceniona, jednak po śmierci w tragicznym wypadku w 1943 r. jej twórczość pozostaje w cieniu dorobku męża. Dopiero w ostatnich dekadach zostaje uznana za jedną z kluczowych postaci sztuki I połowy XX w.

Powstały w 1931 r. obraz należy do kompozycji dynamicznych – artystka odchodzi od rygorów symetrii, której podporządkowane były jej wcześniejsze prace. Tworzy przemyślane układy abstrakcyjnych form geometrycznych: kół, kwadratów oraz linii prostych, a cała kompozycja jest zbudowana na kontraście koloru – czerwieni, szarości, odcieni niebieskiego czy zieleni, ale także kształtów oraz wielkości poszczególnych figur.

Obraz ten Sophie Taeuber-Arp ofiarowała tworzonej z inicjatywy artystów Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej Grupy a.r., po raz pierwszy zaprezentowanej w Łodzi w 1931 r. Zgromadzone wówczas prace m.in. Hansa Arpa, Maksa Ernsta, Theo van Doesburga, Katarzyny Kobro, Fernanda Légera i Władysława Strzemińskiego zdefiniowały Muzeum Sztuki jako muzeum awangardy. Dziś są jedną z najcenniejszych kolekcji w kraju.



Lynette Yiadom-Boakye
„Obserwatorka wiosny”

LYNETTE YIADOM-BOAKYE
(ur. 1977) „Obserwatorka wiosny”, 2013, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie

Urodzona w Londynie w rodzinie pochodzącej z Ghany stała się jedną z najbardziej znanych i cenionych brytyjskich artystek – w Tate Britain trwa właśnie jej duża monograficzna wystawa. Tworzy wizerunki osób w różnym wieku, zwykłych, przeciętnych ludzi. To portrety „na niby”, bo osoby przez nią namalowane nigdy nie istniały. Łączy ich pozaeuropejskie pochodzenie przodków – jakby artystka chciała przedstawić tych, dla których w wielowiekowej tradycji zachodniego malarstwa nie było miejsca. Osoby na jej obrazach łączy też pewna tajemniczość.

Taką zagadkową postacią jest „Obserwatorka wiosny” – młoda kobieta uchwycona w chwili, w której odwraca głowę. Patrzy za siebie: zdziwiona, zaskoczona, może przerażona. Obraz jest częścią starannie tworzonej od 2005 r. muzealnej kolekcji, która umożliwiała poznawanie polskiej sztuki powstającej w ostatnich dekadach w kontekście twórczości z innych krajów. Pokaże ją jako pełnoprawną część większej całości, bez kompleksów i zamykania na własnym podwórku. Musimy jednak poczekać na zakończenie budowy siedziby muzeum przy pl. Defilad – otwarcie ma nastąpić w połowie 2024 r.

© PIOTR KOSIEWSKI

REKLAMA

P R Z E M I A N Y



23. FESTIWAL FILMU NIEMIEGO

23. SILENT FILM FESTIVAL - TRANSFORMATIONS

8-11 GRUDNIA 2022

DECEMBER 8-11, 2022



FUNDACJA DLA
KINIA

INDO
Pod Baranami



„Pokój Czapskiego” (2017)

LUDZIE I RZECZY

Do 5 marca 2023 r. w krakowskim

Bunkrze Sztuki można oglądać

wystawę Beaty Stankiewicz

„Natural Born Artist”, czyli rozpisaną

na wielu płótnach opowieść

o tajemniczym momencie,

jakim są narodziny sztuki.

Wnawiązaniu do tytułu wystawy, Beata Stankiewicz nazywana bywa „urodzoną malarką”. Taki epitet, zapewne używany jako komplement, jest jednak problematyczny. Bo co właściwie miałyby znaczyć, że ktoś urodził się jako artysta?

„Urodzony artysta to artysta z powołania. Można być księdzem lub stolarzem z powołania, można być też artystą z powołania. Wtedy zajęcie to staje się czymś więcej niż zawodem” – tłumaczyła artystka w rozmowie z „Tygodnikiem”. „Na pytanie, czy czuję się urodzoną malarką, odpowiem, że czuję się malarką z powołania. Urodzona malarka to zwrot, który niesie z sobą część geniuszu, nadzwyczajnych zdolności. Ja jednak

jestem zbyt świadoma swoich małości i niedociągnięć, żeby tak o sobie powiedzieć” – dodała.

Na wystawie „Natural Born Artist” (kuratorka: Maria Anna Potocka) można oglądać prace z kilku cykli: „Puste pokoje” (2012-2022), „Dom pracy twórczej” (2017-2022), „Miejsce pracy” (2017-2022) oraz „Dawni mistrzowie” (2022). Na zebranych obrazach obecne są zarówno postaci wielkich malarzy (Giacometti, Rodin, Maillol, Miró czy Nowosielski), jak też sama przestrzeń, w której przebywają (nie zawsze są w trakcie pracy, czasem po prostu siedzą i patrzą). Skąd pomysł, żeby malować akurat artystów? „Muszę przyznać, że w dużej mierze zdecydował o tym prezent na gwiazdkę od mojej córki Mai. Dostałam bowiem kupione na targu staroci »Wspomnienia handlarza



„Nowosielski w Starmach Gallery” (2022), z cyklu „Dawni mistrzowie”

obrazów» Ambroise’a Vollarda. Są to zapiski znanego marszanda sztuki, w których umieszczone były archiwalne zdjęcia wielu artystów, takich jak Rodin, Renoir czy Degas. Zachwyciły mnie one i postanowiłam na ich podstawie namalować cykl czarno-białych obrazów, któremu nadałam tytuł »Dawni mistrzowie«.

Bez wątpienia chodzi jednak o coś więcej. „Pobratymcy”, jak nazywa bohaterów swoich płócien Stankiewicz, to twórcy, którzy znacząco wpłynęli jeśli nie na sam warsztat, to na pewno na jej wyobraźnię. Co jednak ważniejsze, są to artyści, którzy przededefiniowali sposób myślenia o sztuce jako takiej. Dlatego też sięgając do samych początków nowoczesnego myślenia o artystycznej reprezentacji, Stankiewicz wyraźnie dookreśla stawkę swojego malarstwa.

Jej obrazy na pierwszy rzut oka wydają się realistyczną z ducha próbą uchwycenia pewnej sytuacji, w której artysta zmagą się z napierającą ze wszystkich stron banalną materią rzeczywistości. Stąd też nagromadzenie najróżniejszych przedmiotów zagęszczających kadr: butelek, przyborów malarskich i rzeźbiarskich czy zwykłych bibelotów. Ta liczba rzeczy intryguje, wręcz niepokoi. Poszczególne obiekty, same w sobie neutralne

i przeźroczyste, w nadmiarze zyskują nowe sensory, a raczej wymuszają na nas, oglądających, abyśmy tych sensory poszukali (albo je stworzyli).

Malarka, zapytana o tę obfitość przedmiotów, odpowiedziała: „Żyjemy w kulturze zachodniej. Kulturze chrześcijańskiej zbudowanej na greckiej filozofii. To daje nam mocną podstawę do pojmowania w sposób szczególnie rzeczywistości. Każdy malarz wie, że za materialnym przedmiotem stoi niematerialny świat. Przedmiot jest więc tylko pretekstem do wejścia głębiej. To nie zawsze się udaje. Tylko dobry obraz potrafi przed nami odsłonić rzeczywistość jako swego rodzaju tajemnicę”.

Okazuje się więc, że te wszystkie banalne elementy, składające się na naszą rzeczywistość, odgrywają tu kluczową rolę, może nawet ważniejszą niż sami ludzie, których czasem nawet nie ma w kadrze. Podobnie jak w debiutanckiej powieści Georges’a Pereca „Rzecz”, gdzie przedmioty są głównym paliwem opowieści. W pierwszym akapicie narrator kieruje nasz wzrok na kolejne obiekty (szary dywan, szafki w kolorze jasnego drewna, plakaty, zasłony i karnisz). Spojrzenie początkowo błędzi w przypadkowym ruchu, ale

jednocześnie ustala koordynaty dla dalszego poznania, mapuje przestrzeń, w której za chwilę się zanurzymy.

A więc nie dekoracje, a raczej brama do świata, który można różnie definiować. Dla Stankiewicz to droga do rzeczywistości niematerialnej, duchowej. Z kolei mniej platońsko nastrojony oglądający może skupić się na analizie (albo kontemplacji) materialno-przestrzennego podłoża, które kształtuje naszą wyobraźnię. W pewnym sensie chodzi o to samo – o próbę uchwycenia tego tajemniczego, alchemicznego wręcz procesu, w którym świat zamienia się we własną reprezentację. Właściwie każda sztuka po części opowiada właśnie o tym (szczególnie ta nowoczesna), jednak Stankiewicz na swoich obrazach próbuje uchwycić te szczegóły, których często nie zauważamy albo nie przykładamy do nich należytej wagi.

Bo o jakie stawki walczy tak rozumiana sztuka? „Tylko dobry obraz potrafi przed nami odsłonić rzeczywistość jako swego rodzaju tajemnicę. Coś, za czym tęsknimy, ale nie potrafimy nazwać. Jeśli zostaną spełnione odpowiednie warunki – a jest ich wiele i trudno w zasadzie o receptę, co stanowi o tym, że obraz jest dobry albo nie – otwiera się przed nami przestrzeń do kontemplacji. I to jest miejsce, w którym należy się zatrzymać, opowiadając o obrazach”. Dlatego tu stawiam kropkę i zachęcam wszystkich do wizyty w krakowskim Bunkrze Sztuki.

© Michał Sowiński

**bunkier
sztuki** 

**Wystawę Beaty Stankiewicz
„Natural Born Artist”
zobaczyć można do 5 marca 2023 r.**
Kurator: Maria Anna Potocka
Koordynatorka: Renata Zawartka
**Galeria Sztuki Współczesnej
Bunkier Sztuki
Rynek Główny 20 w Krakowie**
Więcej informacji na
www.bunkier.art.pl

HISTORIA ZZA OKNA

To opowieść o błogim dzieciństwie, którego nie dotykają dramaty dziejące się w świecie dorosłych. W trudnych czasach potrzebujemy takich historii.

Kiedy nad wierzchołkami ośnieżonych drzew srebrzą się gwiazdy, do pobliskiego kurnika zbliża się niebezpieczeństwo. Z lasu wychodzi głodny lis Mikael. Zjadłby chętnie smaczną i tłustą kurkę. Byłoby mu się to pewnie udało, bo przecież włożył już głodny pysk do środka i już kurki zobaczył, ale na szczęście dzielny stary Skrzat uratował ptakom życie.

Lisia natura każe zaprzeczać. – Kury? Ktoś tu widział jakieś kury? – zapiera się Mikael złapany na gorącym uczynku. Wcale mu nie wierzymy, ale jednak troszkę współczujemy. Ma lisek iść spać głodny? Ma wracać do lasu z pustym brzuszkiem? Dobrze się stało, że obrońca kurek ulitował się nad rudzielcem i nakarmił go kaszą. Lis wegetarianin – zapytacie? Czemu nie! Sam widziałem lisa jedzącego śliwki, dlaczego miałby zatem pogardzić kaszą, pewnie jeszcze taką ze skwarkami?

Bajka Astrid Lindgren o głodnym lisie i mądrym skrzacie jest parafrazą wiersza Karla-Erika Forsslunda z 1900 r. W oryginale skrzat ma na imię Tomten i jest trollem, dzielnym strażnikiem gospodarstwa. Nikt go nigdy nie widział, ale wszyscy wiedzą, że jest, bo zostawia na śniegu ślady stópek. O jego wyczynach powstał cały cykl opowieści – „Lis i skrzat” to tylko jedna z nich.

Prozatorską wersję tej historii Astrid Lindgren wydała po raz pierwszy w Niemczech w 1965 r. W Szwecji tekst ukazał się dopiero w roku 2017. Zilustrowała go Eva Eriksson i zrobiła to tak pięknie, że trudno odmówić jej współautorstwa. Jej nazwisko w pełni zasłużenie pojawia się na okładce jako równorzędne z nazwiskiem autorki tekstu.

To uroczą i ciepłą opowieść, która udowadnia, że w każdej sytuacji można znaleźć dobre rozwiązanie. Lisek nie jest straszny, budzi sympatię i trochę współczucia. Skrzat jest stanowczy i mądry – ratuje kury i nie pozwala lisowi odejść bez jedzenia. Wygrywają wszyscy – kury życie, lis kolację, a skrzat wypełnia wzorowo swoje powołanie. Dzieci bawiące się przy choince nie

zdają sobie nawet sprawy z tego, że pod ich domem rozgrywa się historia, która mogła skończyć się tragedią. To opowieść o błogim dzieciństwie, którego nie dotykają dramaty dziejące się nawet całkiem blisko, za oknem, ale zarazem daleko – w świecie dorosłych. W trudnych czasach bardzo potrzebujemy takich historii.

©© JACEK TARAN

**Astrid Lindgren, Eva Eriksson,
Lis i skrzat
przeł. Anna Węgłęńska.
Zakamarki, Poznań 2022**



REKLAMA



TEATR ŚLĄSKI
im. St. Wyspiańskiego

ŚLĄSKI DOSTĘPNY

Wybrane spektakle Teatru Śląskiego z napisami dla osób głuchych i niedosłyszących
szczegóły na stronie www.teatrslaski.art.pl



Śląskie. Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego

KULTURA BEZ BARIER



Fundusze Europejskie
Wiedza Edukacja Rozwój

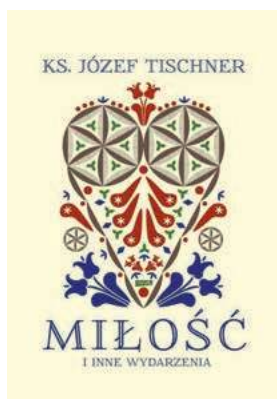


Rzeczpospolita
Polska

Unia Europejska
Europejski Fundusz Społeczny



TEATR ŚLĄSKI IM. STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO W KATOWICACH realizuje przedsięwzięcie grantowe „Udostępnienie oferty Teatru Śląskiego dla osób ze szczególnymi potrzebami w zakresie słuchu”, finansowane w ramach projektu „Kultura bez barier”.



SPOSOBY POSZUKIWANIA NADZIEI

Tischner stawia pytania o przestrzenie rozpacz oraz ścieżki wyjścia z nich w oparciu o Ewangelię. Daleko mu do naiwnych prób pocieszenia.

To już trzecie wydanie tekstów ks. Józefa Tischnera – wcześniej, w roku 2000 oraz 2011, ukazywały się one jako przewodnik po roku liturgicznym. Układ książki, zawierającej w dużej mierze archiwalne materiały z „Tygodnika Powszechnego” (najstarsze jeszcze z lat 60.), odpowiada

chronologii poszczególnych okresów i świąt. Ale to tylko sugestie, nie trzeba czytać „Miłości” ani w porządku liturgicznym, ani chronologicznym.

Zebrane w tym tomie rozważania to odwołujące się do etymologii słów i pojęć szkice filozoficzne dotyczące odwagi, nadziei, dobra, pojednania, modlitwy, cielesności i relacji między ludźmi, zawierające próbę uchwycenia – jak napisał kiedyś Wojciech Bonowicz, biograf Tischnera i redaktor tego zbioru – źródłowych doświadczeń religijnych. Choć niektóre kwestie dziś sformułowałibyśmy zupełnie inaczej, wiele myśli Tischnera pozostaje wciąż niezwykle ożywczych. Weźmy napisany pod koniec 1999 r. „Spór o nadzieję”, w którym autor rozmyśla nad przestrzenią rozpościerającą się w głębi każdego z nas w sytuacjach beznadziejnych. Tischner stawia pytania zarówno o przestrzenie rozpacz, jak i ścieżki wyjścia z nich w oparciu o Ewangelię. Daleko tu jednak do naiwnych prób pocieszenia. „Nadzieja jest siłą, dzięki której utrapienia tego świata rysują się jako sytuacje próby”, pisze, nie ukrywając przy tym, że ta siła jest pewnego

rodzaju złudą, bierze się z zaufania temu, co przed nami zakryte, a może nawet puste, bo „to, czego jeszcze nie ma, służy za pokarm temu, co już jest i jest nie do zniesienia”. Jak działa ta pustka?

Skoro zbliża się Boże Narodzenie, przeskoczmy do rozważań o pojednaniu. Jak aktualnie, a jednocześnie odważnie, wybrzmiewa zdanie, w którym Tischner zauważa, że początkiem każdej relacji i rodziny jest „inność”. Dialektyka miłości staje się przepustką najpierw do myśli Kierkegaarda, a następnie – rozważań o pochodzeniu Ducha Świętego. Wszystko to dzieje się w formie niezwykle skondensowanej, a przy tym jest, jak na ciężar tematu, nawet dla laika, podane niezwykle lekko, w krótkich odcinkach, lekcjach właściwie.

A już poza wszystkim – dobrze przypomnieć sobie fragmenty klasycznych poetów, których Tischner bardzo często, z sympatią, cytuje.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

**Ks. Józef Tischner,
Miłość i inne wydarzenia,
Znak, Kraków 2022**

REKLAMA

Kraków

**Fotografia artystyczna
w Polsce 1927-1978**

FOTOGRAFIA

3.12.2022-7.05.2023
MuFo Rakowicka
ul. Rakowicka 22A
mufo.krakow.pl

MuFo
Muzeum Fotografii
w Krakowie

MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA



MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Nazaruk (z tyłu, w jasnej koszuli) z zespołem Trzecia Godzina Dnia

Dźwięki i przerwy

PIOTR NAZARUK, DYRYGENT:

**Jestem szczęśliwy, że ludzie są otwarci na nasz przekaz.
Polacy lubią nie tylko tradycyjne kolędy w tradycyjnych aranżacjach,
ale też świeższe utwory z różnych stron świata.
Sukces TGD to potwierdza.**

ŁUKASZ OSTRUSZKA: Moja córka potrafi całe popołudnie nucić utwory Małego TGD. Takie wyznaczenie chyba Pana nie dziwi?

PIOTR NAZARUK: Z okazji czterdziestolecia zespołu wiele osób skontaktowało się z nami, dziękując za to, w jaki sposób opowiadamy o Bogu, i dzieląc tym, jak nasze piosenki oddziałują na ich życie duchowe. To niesamowite, że melodia może się stać nośnikiem Słowa.

Muszę przyznać, że mnie samemu ostatnio łatwiej jest modlić się graniem niż słowami. Siadam do instrumentu i w ten sposób się modlę. Przekazuję to, czego nie byłbym w stanie wypowiedzieć w tradycyjny sposób. Ale – z drugiej strony – jeśli pracuję za dużo, moją ulubioną muzyką jest cisza.

A jak już uda się odpocząć?

Córka zaprasza mnie teraz do poznawania wielu nowych rzeczy. Wróciłem też do tego, czego słuchałem w latach

szkolnych, czyli do klasyki. Kilka miesięcy temu byłem na Pasji Janowej Jana Sebastiana Bacha. Pamiętam ją ze szkoły, ale wtedy nie docierało do mnie piękno tej muzyki – dopiero dziś czuję ją z pełną mocą.

W czasach szkolnych była ważna inna muzyka?

Jeszcze zanim poszedłem do szkoły, pamiętam, jak podczas jednego ze spacerów z mamą zapytałem, czy słyszy muzykę. Zdziwiona odpowiedziała, że nie – dla niej to, co słyszeliśmy, to był tylko szelest liści. Ja interpretowałem to jako muzykę. Muzyka była wszędzie.

Później zacząłem robić instrumenty z puszek, wiader i innych przedmiotów. Wykorzystywałem do grania nawet rower odwrócony do góry kołami.

Mój ulubiony artysta, Sting, zapytany kiedyś o to, czym jest muzyka, odpowiedział, że to dźwięki i przerwy między dźwiękami. Coś w tym jest.

Trzecia Godzina Dnia nagrywa płyty, koncertuje, ale nie składa się z osób, które – jak Pan – na co dzień żyją muzyką. Powiedzmy, że chciałbym się dostać do TGD. Jak mogę to zrobić?

Musieliśmy odbyć podróż w czasie, ponieważ ostatnie przesłuchanie odbyło się prawie dziesięć lat temu. Wtedy daliśmy ludziom sygnał, że drzwi są otwarte, ale zapraszaliśmy wyłącznie osoby z Warszawy, ponieważ zależało nam bardzo na integracji grupy. Wcześniej zespół był ogólnopolski i to miało swój urok, ale postanowiliśmy poprawić system pracy i logistykę. Pytaliśmy naturalnie o doświadczenia muzyczne, skalę głosu, prosiliśmy o przykładowe nagrania, ale najważniejszym pytaniem było to, dlaczego ludzie chcą do nas dołączyć i czy funkcjonują w jakiejś wspólnotie chrześcijańskiej. Na spotkanie zaprosiliśmy ok. 30 osób z 200 chętnych, dołączyło ostatecznie kilkoro. Obecnie jesteśmy zespołem kameralnym, liczącym dosłownie kilkanaście osób. ➔

Podaruj muzykę na Święta



**Zabierz swoich najbliższych
w muzyczną podróż za sprawą
prezentów przygotowanych
przez NFM.**



PŁYTY



BILETY



SPECJALNE
KONCERTY
ŚWIĄTECZNE



KARTY
PODARUNKOWE



Dostępne w Kasie NFM oraz online: www.nfm.wroclaw.pl

NFM – instytucja kultury miasta Wrocławia współprowadzona przez:

Mecenas Centrum
Edukacyjnego NFM:

Mecenas NFM:

Partnerzy medialni NFM:

Wrocław miasto spotkań



→ Często się spotykacie?

Prawie co tydzień, szczególnie w czasie realizacji ważnych projektów czy przygotowań do trasy. Robimy wtedy próby albo schodzimy się na modlitwę. Pandemia sprawiła, że musieliśmy ćwiczyć zdalnie, często w ogóle tego nie robiliśmy, ale przecież podobne problemy miała większość zespołów. Chór ćwiczy regularnie, zespół instrumentalny – w miarę potrzeb.

Początkowo byliście grupą muzyków związaną ze zborami baptystycznymi, ale to się chyba zmieniło?

Teraz są w zespole osoby z różnych wspólnot ewangelicznych i Kościoła rzymskokatolickiego.

Pojawiały się tarcia?

Mamy mieszkankę wybuchową, ale od lat udaje nam się funkcjonować bez wybuchów. Skupiamy się na tym, co nas łączy, staramy się rozmawiać z szacunkiem, otwartością i miłością. To, czego się uczymy, to przekonanie, że nie warto budować swojej tożsamości na dominacji, tylko na Chrystusie. Jeśli ktoś jest po pierwsze baptystą albo katolikiem, a po

drugie należy do Chrystusa, to jest to zachwiana kolejność, która może generować konflikty i napięcia.

Z jakimi pokusami mierzyło się TGD? Były momenty, gdy wygrywały ambicje?

Momentem pokusy był początek wieku. Nagraliśmy wtedy koncert telewizyjny „Wierzyć to znaczy chodzić po wodzie” i nagle – z dosyć niszowego zespołu znanego w kręgach protestanckich – staliśmy się rozpoznawalni. Nabraliśmy dużego przyspieszenia, propozycje koncertów płynęły ze wszystkich stron. Na szczęście Bogdan Olechnowicz, duszpasterz, który akurat do nas dołączył, wygłosił nam kazanie o pokorze – okazało się zbawienne. Niektóre sentencje pamiętam do dziś, na przykład tę, że prawdziwa pokora nie da się obrazić.

Kiedy sukces pojawia się nagle, może zawrócić w głowie. W tamtym czasie regularnie śpiewała z nami Beata Bednarz, wspaniała wokalistka, osoba z klasą. Jej postawa także sprawiała, że innym głupio było zadzierać nosa.

To wszystko już za Wami. A jakie macie plany na przyszłość?

Od połowy grudnia do końca stycznia zagramy największą trasę koncertową w naszej historii, ponad 20 koncertów promujących najnowszą płytę z kolędami. Cieszę się, że ludzie są otwarci na ten przekaz. Kiedyś jeden z producentów telewizyjnych powiedział mi, że Polacy lubią tylko tradycyjne kolędy w tradycyjnych aranżacjach. Ja wierzyłem, że kolędy z różnych stron świata i utwory współczesne z ciekawymi puentami mogą zainteresować naszych słuchaczy. Przykładem jest kolęda „Mario, czy już wiesz?” – gdy pojawiła się na YouTube, była najczęściej odtwarzaną piosenką TGD i Kuby Badacha. Ludzie chcą słuchać nowych rzeczy.

© Rozmawiał ŁUKASZ OSTRUSZKA

PIOTR NAZARUK jest dyrygentem, kompozytorem i multiinstrumentalistą. Od 1993 r. lider pop-gospelowej formacji TGD (Trzecia Godzina Dnia) i współtwórca repertuaru tego zespołu. Pracuje z Anną Marią Jopek, nagrywał albumy z Patem Methenym, Makoto Ozone i Branfordem Marsalisem.

REKLAMA

znak
KULTURA

NOWA KSIĄŻKA KS. JÓZEFA TISCHNERA



”

NA TYM
POLEGA
MIŁOŚĆ, ŻE
„POZWALA
BYĆ” TEMU,
CO „INNE”.

WITAM PAŃSTWA
W NOWYM KALEN-
DARZU „PRZEKROJU”
NA KOLEJNY
ROK ZIEMSKI!



**Do kupienia
w kosmosie
i na przekroj.pl**



ODUCZ SIĘ WSZYSTKIEGO

Było inaczej, niż sądzimy. Historia ludzkości to rozpadanie się wielkich obszarów kulturowych na coraz mniejsze jednostki.
Gdy grupa osób decydowała się żyć inaczej, odłączała się. Zawsze mamy wybór.

KACPER POBŁOCKI

KSIĄŻKA „NARODZINY WSZYSTKIEGO. Nowa historia ludzkości” Davida Graebera i Davida Wengrowa pokazuje, że inna nauka i inna historia są możliwe. Dzięki połączeniu nowych, niszowych badań w większą całość autorzy stawiają pytania elementarne. Oto nowa opowieść o ludzkiej naturze i o tym, skąd wzięło się społeczeństwo, w którym żyjemy.

Wielkie odklejenie

„Lepiej wiedzieć mało, lecz dobrze, niż dużo, ale źle” – powtarzał polski mediewista Karol Buczek. Wiele współczesnych naukowców zgodziłoby się z nim. W akademii króluje specjalizacja: ścieżka badawcza, na którą wchodzi się podczas doktoratu, zwykle się tylko zawęża. Naukowcy zostają ekspertami w subdyscyplinie subdyscypliny. Efekt często jest taki, że widzą niewiele ponad to, co bezpośrednio przed ich nosem.

„Narodziny wszystkiego” pokazują, że dylemat zarysowany przez Buczkę – dobra wiedza specjalistyczna albo kiepska wiedza ogólna – jest złudny. Kult specjalizacji stanowi zdaniem Graebera i Wengrowa technokratyczną wersję postmodernizmu, który zaczął dominować w intelektualnym krajobrazie od lat 80. minionego wieku. Jest on z założenia wrogo nastawiony wobec wielkich narracji. „Szersze zarzucanie intelektualnych sieci, czy nawet zwykłe porównywanie perspektyw z kolegami i koleżankami

z innych dyscyplin – zakrawa dziś na narzucanie jednorodnej, imperialistycznej wizji dziejów” – piszą (przekład własny).

Innymi słowy: uprawianie „staroświeckiej” nauki, takiej, która nie boi się stawiać pytań zasadniczych, odbierane jest dziś jako arogancja. Choć wszyscy trąbią o potrzebie interdyscyplinarności, w praktyce większość strzeże swojego poletka, a tych, którzy chcą na nie zajrzeć, zbywają lub przeganiają. Konsekwencją takiej specjalizacji jest odklejenie nauki od społeczeństwa – przeciętny artykuł naukowy czytany jest przez mniej niż dziesięć osób.

Czy tego chcemy, czy nie, jesteśmy skazani na wielkie narracje. Każde – nawet najbardziej specjalistyczne – badania wpisują się w jakiś szerszy trend, jakąś naczelną myśl, fundamentalną ideę. Można temu zaprzeczać, upierając się, że „prawdziwi” naukowcy zajmują się wyłącznie tym, co znają najlepiej. Ale takie poletko odizolowane jest od innych pól badawczych tylko w ich mniemaniu. Odrobina dystansu pozwala zrozumieć, że to tylko mały element większej układanki.

Oczywiście nie oznacza to, że specjalistyczne badania nie są potrzebne – wręcz przeciwnie, bo to dzięki nim często dochodzi do przełomowych odkryć. Ale ich autorzy, skoncentrowani wyłącznie na swojej niszowej dyskusji, zwykle nie są w stanie tego dostrzec.

Stąd właśnie wzięła się książka Wengrowa i Graebera, którzy omawiając odkrycia archeologiczne publikowane w branżowych pismach, pokazują ich prawdziwą doniosłość. Układają z tych elementów zupełnie nową całość. Czę-

sto wnioski podważają to, co zostało już „ustalone” przez naukowców, a przez szerszą publiczność przyjęte jako oczywiste.

Piastowie

Spróbujmy odnieść to do naszego polskiego podwórka. Na przykład: uczymy się w szkole, że w roku 966 doszło do chrztu Mieszka I, a wraz z nim chrystianizacji Polski. Jednakże archeolodzy ustalili niedawno, że katedra poznańska powstała około 940 r., czyli przed „chrztem”. Jak zauważa Przemysław Urbańczyk w książce „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, wejścia do kaplicy „znajdowały się tylko od strony pałacu władcy, co oznacza, że przestrzeń sakralna miała charakter elitarny”. Rozmiary świątyni były niewielkie, a zwykli ludzie z niej nie korzystali. Dlatego, twierdzi Urbańczyk, wysoce prawdopodobne, że w Poznaniu „już około połowy X wieku funkcjonowała niewielka gmina chrześcijańska”.

Co w takim razie wydarzyło się w roku 966? Urbańczyk spekuluje, że nie był to wcale „chrzest”, tylko publiczne odnowienie ślubów. Wiara Piastów przestała być ich „prywatną” sprawą. Ale skąd wzięła się chrześcijańska elita w pogańskim kraju? Zdaniem Urbańczyka nowe datowanie budowy katedry potwierdza hipotezę o zewnętrznym pochodzeniu Piastów. Raczej nie byli wikingami, dlatego archeolog buduje argument za ich południowym, morawskim pochodzeniem. Inne współczesne badania archeologiczne pokazują istną rewolucję budowlaną w Wielkopolsce w połowie X wieku – niszczenie istniejących grodów →

Tarasy ryżowe w prowincji Yên Bái,
Wietnam, wrzesień 2020 r.

→ i budowa nowych, opartych na zupełnie innej (czyli pewnie obcej) technologii. To skleja się z tezą o tym, że właśnie wtedy do wielkopolskich puszczy przybyli wojownicy skądinąd i dokonali (krwawego) podboju tych ziem.

Można iść dalej. W podziemiach poznańskiej katedry znajduje się przedmiot, który opisywany był wcześniej jako baptysterium, czyli misa chrzcielna, choć już w latach 60. zeszłego wieku zwracano uwagę, że te misy były niezwykle niedbale wykonane i mogły służyć do zupełnie czegoś innego – do rozdrabniania wapna podczas budowy. Andrzej Tomaszewski i Zygmunt Świechowski przypominali, że tak właśnie wyglądały średniowieczne „betoniarki”. Jednak środowisko mediewistyczne nie wzięło tej tezy na poważnie, bo odbiegała ona od ogólnej ramy interpretacyjnej, poprzez którą w połowie XX wieku spoglądano na piastowską przeszłość.

Tak zwany paradygmat milenijny (związany z obchodami „tysiąclecia państwa polskiego”) zakładał, że badania archeologiczne powinny udowadniać tysiącletnią polskość ziem zachodnich. „Misy chrzcielne” miały być dowodem na to, że „chrzest Polski” miał masowy, a nie elitarny charakter, Polacy zaś od 966 r. byli nieprzerwanie częścią cywilizacji łacińskiej. W ten sposób wytworzono „fakt” historyczny, reprodukowany potem w publikacjach naukowych i popularnonaukowych czy na wystawach.

Urbańczyk wraca do interpretacji świeckiej „mis chrzcielnych”, pokazując, że nie ma czegoś takiego jak niezbite fakty historyczne, a przeszłość jest – nie ma od tego odwrotu – ciągłym obiektem (re)interpretacji. Tego rodzaju pomysły zrobiły z niego swoiste *enfant terrible* polskiej mediewistyki – choć w tym, co robi, nie ma nic kontrowersyjnego, bo tak przecież wyglądać ma nauka. Pojawiają się nowe informacje, które nie pasują do starych teorii (opowieści), trzeba więc stworzyć nowe. Tymczasem tylko wspomnienie jego nazwiska wywołuje u wielu polskich historyków palpitację serca.

Jest tak, gdyż w nauce (nie tylko historii) króluje to, co antropolog Michał Buchowski nazwał kiedyś „wybitną przeciętnością” – środowisko naukowe ceni głównie badania, które generalnie potwierdzają to, co już wiadomo, jedynie dorysowując parę nowych szczegółów. W ten sposób tkwimy wciąż w starych

W wielu wspólnotach tylko 10 procent członków łączyły więzy krwi.

Resztę stanowili ludzie, którzy przyłączali się do grupy z wyboru. Mieli podobny pogląd na życie, łączyła ich wspólna wrażliwość.

opowieściach (teoriach) ogólnych. Tymczasem, jak świetnie pokazują Wengrow i Graeber, potrzebujemy gruntownego przemyślenia naszej wyobraźni. Zacząć trzeba od oduczenia się tego, co (wydaje się nam, że) wiemy.

Czuli barbarzyńcy

Wielkie narracje są jak woda, w której pływają „pragmatyczni” specjaliści, przez jej wszechobecność jej nie zauważający. Ocean beztroskiej niewiedzy, w którym pływają do dziś nauki humanistyczne, nazywa się ewolucjonizm. Siega on korzeniami do XIX i XVIII wieku, a nawet głębiej, i jest odpowiedzią na spotkanie między Europą a resztą świata. Produktem ubocznym ekspansji kolonialnej była wiedza, którą żeglarze czy misjonarze przywozili do domu. W ten sposób zaczęto budować zręby wiedzy o świecie, jeszcze nie specjalistycznej, ale właśnie tej ogólnej, z której korzysta każdy i każda – nie tylko naukowcy.

Jak powtarzał John M. Keynes, „ludzie czynu”, którym wydaje się, że są odporni na intelektualne prądy czy wpływy, zwykle są zakładnikami jakiegoś nieżyjącego teoretyka. Innymi słowy, idea, która zakrawa na „zdrowy rozsądek” lub zdaje się „oczywistą oczywistością”, zwykle jest starą teorią, która weszła do społecznego krwiobiegu dawno temu.

Postacią kluczową, która stworzyła podwaliny zachodniej wiedzy o świecie, jest zdaniem Wengrowa i Graebera Jean-Jacques Rousseau (1712-1778). To on stworzył ideę „czułego barbarzyńcy” i twierdził, że społeczeństwa pozaeuropejskie – np. północnoamerykańscy Indianie – są „współczesnymi przodkami”, a cała cywilizacja kiedyś żyła tak jak oni. W ten sposób te społeczeństwa zostały umiejscowione na początku ewolucyjnej linii rozwoju, która w jego przekona-

niu prowadziła od społeczeństw pierwotnych (prosty i egalitarny) do społeczeństw europejskich (złożonych oraz opartych na nierównościach). Czuli barbarzyńcy żyli w czymś w rodzaju przedhistorycznego raj, gdzie nie było własności i przemocy, ale też nie było bogactwa. Człowiek prehistoryczny był szczęśliwy, choć biedny.

Od czasów Rousseau spierano się o to, kiedy ludzkość opuściła ów raj. Najczęściej wskazywano na pojawienie się państwa, a to wydarzenie z kolei było łączone z początkami rolnictwa. Teza „hydrauliczna” – jedna z popularniejszych w drugiej połowie XX wieku – zakładała, że państwo to efekt uboczny budowy sieci irygacyjnej w starożytnym Egipcie czy Mezopotamii. Społeczeństwa pierwotne, które stanowić miały małe, odizolowane grupy, głównie krewnicze, nie były w stanie zorganizować tak dużego przedsięwzięcia. Nie tylko ze względu na jego skalę, ale też dlatego, że nie potrafią planować, żyjąc w „wiecznym teraz”. Bo rolnictwo wymaga myślenia długoterminowego (najpierw siejesz, by długi czas potem zebrać) i w tym sensie stanowiło też rewolucję mentalną oraz kulturową.

Nie od dziś wiadomo, że to bujda. Jak pokazuje m.in. James C. Scott w książce „Jak udomowiono człowieka”, nie ma związku między „wynałazkiem rolnictwa” a genezą państwa. Rolnictwo nie tylko wymyślono kilka tysięcy lat przed pojawieniem się starożytnych państw, ale też wielokrotnie je porzucano. Wcale nie jest bardziej wydajną formą wytwarzania żywności niż „prymitywne” ogrodnictwo czy łowiectwo-zbieractwo. Wengrow i Graeber idą tym tropem, pokazując, że łowcy-zbieracze, jeśli tylko chcieli, potrafili zbudować imponujące metropolie – choćby w Ameryce prekolumbijskiej czy też w Ukrainie. Nawet w rzekomej kolebce cywilizacji, czyli Mezopotamii, państwa-miasta były ich zdaniem bardziej miastami niż państwami, rządzonymi oddolnie przez mieszkańców i mającymi stosunkowo egalitarną strukturę.

Graeber i Wengrow budują na dorobku takich autorów jak Eric Wolf, którego książka „Europa i ludy bez historii” pokazała, że nie ma w ogóle czegoś takiego, jak ludy pierwotne. Społeczeństwa, które ewolujiści umiejscawiają w prehistorii, były dla Wolfa efektem ekspansji europejskich imperiów. Na przy-

kład w Ameryce prekolumbijskiej istniały ludy rolnicze, które po tym, jak pojawiło się europejskie zapotrzebowanie na skóry, przerzuciły się na koczowniczy styl życia. Indianie, których znamy z westernów, są efektem europejskiej ekspansji. Podobnie wyglądał krajobraz plemion zachodniej Afryki – kiedyś były tam silne państwa (np. imperium Mali), ale zapotrzebowanie europejskich państw na niewolników sprawiło, że społeczeństwa afrykańskie „cofnęły się” do modułu plemiennego.

Można różnorodne formy organizacji życia społecznego uporządkować według ewolucyjnego schematu, od (pozornie) prostych do złożonych, ale można też je uporządkować w przestrzeni, pokazując, że „prymitywne społeczeństwa plemiennne” powiązane są symbiotycznie z „zaawansowanymi społeczeństwami europejskimi”. Dla Wolfa logika tych połączeń jest na wskroś ekonomiczna – to właśnie raczkujący zachodni kapitalizm potrzebuje „zacofanych krajów”, które produkują surowce czy tanią siłę roboczą. Dokładnie w ten sposób w połowie XX wieku myślano o wielkim pęknięciu w nowożytnej Europie, na zachodnią część, która się urbanizowała dzięki konsumpcji zboża produkowanego w „feudalizującej się” Polsce, gdzie wdrażano gospodarkę folwarczno-pańszczyźnianą.

Na wspak

Nie da się jednak wszystkiego wytłumaczyć za pomocą czynników ekonomicznych – to kolejna lekcja udzielana nam przez Wengrowa i Graebera. Widać to wyraźnie, gdy wrócimy do klasyków antropologii, którzy opisywali ogromną różnorodność sposobów, na jakie ludzie urządzali sobie społeczeństwo.

Na przykład Margaret Mead w swojej pracy „Płeć i charakter w trzech społecznościach pierwotnych” (1935) porównuje trzy sąsiadujące ze sobą wspólnoty z Nowej Gwinei. Arapeszowie to ludzie łagodni, dominuje u nich ideał człowieka spokojnego, uступliwego, troskliwego, zarówno dla kobiet, jak i mężczyzn. Mundugumorowie z kolei uważają, że człowiekowi wilkiem, i panują tam rywalizacja, przemoc, podstęp, a kobiety są równie agresywne i władcze jak mężczyźni. U Tchambuli zaś, podobnie jak w europejskim społeczeństwie, istotne jest przekonanie o tym, że kobiety różnią się od mężczyzn. Ale wzorce są tam prze-



STEVEN MAY / BE&W

DAVID GRAEBER (1961-2020) był amerykańskim antropologiem, uważanym za jednego z najważniejszych myślicieli początku XXI wieku. Wychowany w nowojorskiej rodzinie z klasy robotniczej i związany od młodości z ruchami społecznymi, zwłaszcza ze środowiskiem anarchistycznym, był jednym z inicjatorów ruchu Occupy Wall Street z 2011 r. Pierwsze badania terenowe, dotyczące instytucji niewolnictwa, prowadził na Madagaskarze. W swojej najśłynniejszej książce „Dług. Pierwsze pięć tysięcy lat” pokazuje, że niewolnictwo jest instytucją, z której wykluta się również współczesność. Kapitalizm, twierdzi Graeber, ma kilka tysięcy lat i oparty jest na przemocy ekonomicznej oraz mechanizmie długu. O archaicznej naturze współczesnego kapitalizmu traktuje też jego książka „Praca bez sensu”, w której analizuje to, co sam nazywa bullshit jobs – zawody, które mogłyby nie istnieć. Choć w dobie automatyzacji można by dać ludziom więcej czasu wolnego, współczesny kapitalizm woli tworzyć dla nich bezsensowne posady, byle tylko ich kontrolować. O naturze władzy, biurokracji oraz państwa traktuje też „Utopia regulaminów” oraz napisana razem z Marshalllem Sahlinsem książka „On Kings”. Razem ze swoją partnerką Niką Dubrovsky napisał Graeber kilka książek dla dzieci, m.in. o królach i piratach. Zmarł nagle podczas wakacji w Wenecji, prawdopodobnie na skutek powikłań po zarażeniu się COVID-19. „Narodzin wszystkiego” ukazały się już po jego śmierci.

ciwne do naszych: to kobiety dominują w życiu gospodarczym, tworzą zwartą, solidarną grupę, a mężczyźni zajmują się głównie dbaniem o swój wygląd i zabieganiem o ich względy.

Mead pokazuje, że nie da się wyjaśnić tych odmienności, odnosząc się do różnic geograficznych (klimatu, niszy ekologicznej) czy gospodarczych (np. łagodni Arapeszowie są ubodzy, a drapieżni Mundugumorowie są bogaci). Jedynym wytłumaczeniem pozostaje kultura. Graeber i Wengrow idą tym tropem, pokazując, że kultura – to, jak organizujemy swoje społeczeństwo – jest kwestią polityczną, tzn. kwestią wyboru. To właśnie tłumaczy, dlaczego rolnicy nagle stają się łowcami-zbieraczami, albo odwrotnie. A to, co ewolucjonistom jawiło się jako plemię – zwarta i mała grupa ludzi połączonych w większości więzami krwi – ma zupełnie inny charakter.

Autorzy „Narodzin wszystkiego” przypominają, że w wielu wspólnotach łowiecko-zbierackich tylko około 10 procent członków łączyły więzy krwi. Resztę stanowili ci, którzy przyłączali się do grupy z wyboru. Dlatego lepiej o plemionach myśleć jak o swoistych komunach – wspólnotach ludzi, którzy mają podobny pogląd na życie, których łączyła wspólna wrażliwość.

Kluczowym zjawiskiem dla Graebera i Wengrowa jest proces zwany schizmogenezą. Społeczeństwa pojawiają się poprzez podział. Autorzy „Narodzin wszystkiego” zauważają, że im dalej w czasie, tym bardziej jednolity, kosmopolityczny krajobraz kulturowy obserwujemy. Ewolucjoniści zakładali, że było dokładnie odwrotnie: kiedyś ludzie żyli w małych, odosobnionych grupkach, które następnie łączyły się w jakiś większy byt – plemiona w państwo, a państwa w imperium. Tymczasem historia ludzkości to historia dekosmopolityzacji, rozpadania się pierwotnych wielkich obszarów kulturowych na coraz to mniejsze jednostki. Ów rozpad też miał polityczny charakter. W pewnym momencie pewna grupa osób decydowała się żyć inaczej – odłączała się od swojej grupy i zakładała nową.

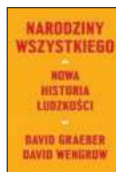
Graeber i Wengrow opisują to na przykładzie Kalifornii, gdzie przed podbojem europejskim sąsiadowały ze sobą radykalnie odmienne plemiona. Jedne odrzucały chociażby instytucję niewolnictwa, inne się w niej lubowały. Podobnie jak w Nowej Gwinei opisywanej przez Mead. ➔

→ Tożsamość nie powstaje w próżni, ale jest próbą odróżnienia się od sąsiadów. Im dalej w czasie, tym bardziej fundamentalne schizmy.

Znamy i to z naszej historii. Słowianie „pojawił się” około VI wieku naszej ery. Jak twierdzi historyk Florin Curta, na początku bycie Słowianinem było kwestią wyboru, a tym, co ich łączyło, był duch egalitaryzmu. Słowianie pojawili się w opozycji do państwa bizantyjskiego. To też tłumaczy minimalizm ich kultury materialnej, która ewolucjonistom wydawała się bardziej prymitywna od kultury materialnej choćby Germanów, nie mówiąc już o cywilizacjach państwowych. Ale może ów minimalizm był też kwestią wyboru, a nie braku umiejętności? Podobnie jak modernizm w architekturze wcale nie był bardziej prymitywny od secesji czy baroku.

Przykładów zaskakujących połączeń (łowcy-zbieracze, którzy żyją w miastach) jest w tej książce więcej. Wengrow i Graeber pokazują, że historia ludzkości nie jest prostą ewolucyjną ścieżką, ale raczej lasem, gdzie istnieje cała płatanina ścieżek. Ta, którą zdecydowaliśmy się jako społeczeństwo pójść, była tylko jedną z wielu możliwości. Dlaczego jest to ważne? Ewolucjonizm wbił nas w marazm, w przekonanie, że historia rządzi się własnymi prawami, które, jak ewolucja, są poza ludzką kontrolą. Człowiek tymczasem, powtarzają autorzy „Narodzin wszytkiego” za Arystotelesem, to zwierzę polityczne – przez tysiąclecia podejmował świadomą decyzję na temat tego, jak chce urządzić swój społeczny porządek. Dziś też żyjemy na takim rozdrożu i dlatego warto obudzić się i podjąć świadomą decyzję, w którym kierunku się udać. © KACPER POBŁOCKI

*Autor jest antropologiem społecznym, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Napisał książki „Kapitalizm. Historia krótkiego trwania” (2017, nagroda *Economicus*) oraz „Chamstwo” (2021, finał Nagrody Nike).*



David Graeber, David Wengrow **NARODZIN WSZYTKIEGO. NOWA HISTORIA LUDZKOŚCI**, przeł. Robert Filipowski, Zys i S-ka, Poznań 2022

Nazwij to snem

DARIUSZ KOSIŃSKI

Duch Ukrainy, Wernyhora, którego Juliusz Słowacki zawłaszczył i uczynił zwiastunem niepodległości Polski, został w Legnicy wrócony swojej ojczyźnie. A we Wrocławiu wszystkie duchy umarły.

DOPIERO CO JAK BURZA PRZESZŁY przez Polskę kolejne „Dziady”. Wieszcze Adam przemówił w teatrze, jakby się wczoraj urodził. A co z wieszczem Juliuszem? Trudno wyobrazić sobie w polskim repertuarze pozycje bardziej kłopotliwe niż dramaty pisane przez Słowackiego po przemianie, jaką przeszedł około roku 1843. To, co w polskiej kulturze przecież istnieje i było powszechnie akceptowane, czyli „lekcja sensu cierpienia jako drogi do zbawienia”, u Słowackiego przyjmuje kształt przerażającego teatru okrucieństwa. Uznawanie zagłady za niezbędny warunek rozwoju jest dziś postrzegane jako anachroniczne i niebezpieczne. Rodzi oskarżenia o sadystyczne rozkoszowanie się fantazjami na temat mąk zadawanych innym.

Trudności są związane też z kształtem artystycznym tych dramatów mistycznych, które są oparte na rozbudowanych kompozycjach poetyckich, połączonych z sensacyjnymi intrygami. Na dodatek u Słowackiego – w odróżnieniu od dzieła zawsze z nim zestawianego Mickiewicza – pełno jest wątpliwości i sprzeczności kwestionujących wiarę, którą sam głosi.

Działania postaci umiejscowionych na pozycjach proroków i widunów, sny nawiedzonych dziewcząt, znaki inscenizowane przez aktorzących księży i przeczulone księżniczki nie wyjaśniają się same i wbrew zapowiedziom wcale nie układają w sensowną całość. Decyzje podejmowane w rzekomo Bożym natchnieniu prowadzą do zagłady wartości, których ochrona miała stanowić ich cel i sens. Prorocy ocierają się o błazeństwo, herosi wpadają w rozpacz, a śmierć i zmartwychwstanie głosi polskim patriotom ginącym wieszcz Ukrainy. Jak z tym wszystkim dojść do ładu?

Ale właśnie ten węzeł sprzeczności sprawia, że Słowacki to tak znakomity pisarz dramatyczny i teatralny! Równy w tym względzie Szekspirowi (a lepszy od niego o niebo jako poeta), nie pisze sztuk z tezą i przesłaniem, ale tworzy dramaty, czyli kompozycje zapisanych w słowach działań i działających słów, które zawierają wiedzę możliwą do zdobycia pod warunkiem ich odczynienia i doświadczenia. Dlatego tylko teatr może zadośćuczynić temu arcydramatycznemu pisarzowi. Ale też pisarz ten stanowi dla teatru nie lada wyzwanie, któremu jako żywo nie każdy sprostać może. Podejmując je, zdecydowanie częściej ponosił klęskę, niż zwyciężał.

Jak ze snu sen

Z tym większym zdziwieniem przyjąłem fakt, że tego samego dnia, 19 listopada, w dwóch nieodległych od siebie teatrach – Modrzejewskiej w Legnicy i Polskim we Wrocławiu – odbyły się premiery dwóch ukończonych i opublikowanych dramatów Słowackiego, zaliczanych do grupy mistycznych: „Snu srebrnego Salomei” i „Księdza Marka”. Zwłaszcza że po rosyjskiej napaści na Ukrainę wyzwanie związane z ich wystawieniem stało się prawdziwie karkołomne.

Pierwszy przypomina brutalny bunt zniewolonych Ukraińców przeciwko uciskowi polskich panów, zakończony okrutną kolonialną inscenizacją, wcale nieodległą od dzisiejszej rosyjskiej propagandy. Drugi pokazuje zagładę miasta i jego mieszkańców jako warunek duchowego rozwoju oraz chrystusopodobnego proroka, który obiecując zwycięstwo przynosi mękę i śmierć. A już zupełnie nie wiadomo, jak w obliczu trwającej właśnie okrutnej wojny mówić jeden z najpiękniejszych polskich



KAROL BUDREWICZ / MATERIAŁY PRASOWE

„Sen srebrny Salomei”, Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy, listopad 2022 r.

monologów teatralnych, zaczynający się od słów „Ach, Ukrainy nie będzie...”.

Byłem niemal pewien, że Piotr Cieplak i wspierający go dramaturgicznie Robert Urbański, skracający na potrzeby legnickiego teatru „Sen srebrny Salomei”, skreślą ten fragment. Pomyliłem się – nie tylko nie skreślili, ale uczynili go jednym z kluczowych punktów swojej adaptacji i inscenizacji.

Czytając „Sen...” łatwo zauważyć, że jego akcja rozwija się nie tyle w działaniach, ile w świadectwach. Bohaterowie tego dramatu często i długo opowiadają, co zobaczyli w rzeczywistości lub w snach. Są nie tyle aktorami, ile widzami relacjonującymi, na co patrzyli. I właśnie z tej sytuacji Piotr Cieplak wprowadził podstawowy model swojej inscenizacji, o której półzartem mówi, że jest „czytaniem performatywnym”. Niemal naga scena pozbawiona wszelkiej ozdobności i jawnie nierealizowane dyspozycje sceniczne wypowiedane z offu stanowią mocny sygnał, że nie będzie się tu wiele inscenizować. Na scenie bardzo długo jedynymi sprzętami są dwa krzesła i stół, scenografia Andrzeja Witkowskiego sprowadza się zaś do zestawu niemal abstrakcyjnych tła rzutowanych na ekran zamykający płytką scenę.

Przedstawienie Cieplaka wyrasta ze świadomej rezygnacji z dążenia do ustanowienia jakiegś przekonującej iluzji świata powoływanego słowami wielkiego po-

ety – czy to historycznego, czy to duchowego. Choć tekst skrócono o niemal połowę, twórcy ufają Słowackiemu i raczej go słuchają i rozmawiają z nim, niż czytają i interpretują. Oddają poezji głos w tych szczególnych momentach, kiedy piękno słowa, doskonałość rytmu i rymu oświełają okrucieństwo i absurd świata jakimś nieziemskim blaskiem, otwierając perspektywę ocalenia. Dobrze słyszą, że to nie intryga stanowi sedno „Snu...”, ale to, co jego bohaterki i bohaterowie usiłują wypowiedzieć, a co jako częściowo niewypowiedzialne nazywają „snem”.

Żywie Ukraina

Wśród rozcinających intrygę monologów osobne miejsce stanowi ten, którego oczekiwałem, choć się nie spodziewałem. „Ukrainy nie będzie” – śpiewają ze ściśniętymi gardłami Popadianki (Joanna Gonschorek, Zuza Motorniuk), które przejęły ten monolog od mówiącego go w oryginale Pafnucego. Przekształcony w pieśń stylizowaną na ludowy lament i krzyk, przestaje być smętną wieszczbą przejętego złem duchownego służącego polskim panom, a staje się krzykiem rozpaczycy tych, którym zapowiada zagładę. Te same głosy powracają w finale, będącym prawdziwym zwieńczeniem i najważniejszą częścią przedstawienia.

Na planie intrygi akt piąty – kłopotliwy dla wielu interpretatorów – rozgrywany jest jako kolonialne przesło-

nięcie, mające ukryć winy i zbrodnie panów Polaków, którzy dosłownie usuwają ze sceny wszystko, co się im sprzeciwia – buntownicy zostają skazani na śmierć, ich przywódca zmieniony w żywą świecę, a rzekomy Kozak Sawa dzięki odzyskanym dokumentom może ujawnić się jako szlachcic Caliński i poślubić Księżniczkę. W Legnicy to rozwiązanie romansu zostaje w finale zmiecione ze sceny, gdy pojawia się na niej wieszcz – Wernyhora.

Nie jest to w tym spektaklu żaden „pan dziad z lirą” z obrazu Matejki. „Wernyhora” to poetycko-muzyczna kompozycja (muzyka Paweł Czepułkowski), wykonywana przez te same aktorki, które wcześniej wieszczły, że „Ukrainy nie będzie”. W finale najpierw sprawiają, że wreszcie słyszalny staje się głos Innego, by następnie wypowiedzieć skierowaną w przyszłość wiarę zawartą w powtarzanym coraz intensywniej słowie „Pryjde!”. Pojawiając się jako jeden z elementów monologu, stopniowo przez powtarzanie usuwa inne, by w ostatnim akordzie stać się jedynym. Ostatnie powtórzenie zapowiedzi powrotu ukraińskiego ducha wcielonego w Wernyhore wypowiedają bowiem wszyscy obecni na scenie. Wygłoszona w ten sposób, nie dotyczy już Wernyhory mającego zwiastować zmartwychwstanie Polski (jak u Słowackiego). Dotyczy Ukrainy, która mimo wszystko będzie. W kontekście wojny zapowiedź ta ma szczególną, chwytającą za gardło siłę. ➔

→ Dzięki takiemu rozegraniu finału twórcom legnickiego przedstawienia udało się coś rzeczywiście niewiarygodnego – z dramatu, który w najlepszym wariancie można by odczytać dziś jako oskarżenie Polaków o utratę Ukrainy i zagładę jej ducha, skomponowane zostało przedstawienie będące jednoznacznym aktem poparcia dla Ukrainy niezawisłej (także od Polski). Wernyhora, którego Słowacki zawłaszczył i uczynił zwiastunem przyszłej niepodległości Polski, został wrócony ojczyźnie.

Siepacze

Reżyserując w Teatrze Polskim we Wrocławiu „Księdza Marka”, Jacek Bunsch zastosował rozwiązania całkowicie odmienne od legnickich. Jesteśmy w typowym teatrze reżysera, który nie ufa autorowi, bo przecież sam ma mnóstwo „znakomitych pomysłów” i lepiej wie, jak „ubogacić przedstawienie”. Nie słucha więc Słowackiego i nie rozmawia z nim, ale z całym rozmachem, jaki zapewnia mu hołubiony przez władzę teatr, wystawia swoją niespójną fantazję, zamieniając poezję w kiepską choreografię i montaż wątpliwych atrakcji.

Historyczny dramat obłężenia i upadku Baru podczas konfederacji, której to miało dać imię, Jacek Bunsch przekształca w panalegoryczną opowieść o swoich fantazjach na temat rewolucji, cierpienia i postępu ludzkości. Zaproszony do stworzenia scenografii i kostiumów Robert Rumaś zbudował na Dworcu Świebodzkim robiącą mocne wrażenie przestrzeń gruzów współczesnego miasta. Najpewniej ukraińskiego, bo na monumentalnych ekranach umieszczonych po dwóch stronach centralnej przestrzeni do gry, za miejscami dla widzów, oglądamy znane z telewizyjnych relacji zbombardowane bloki. Jednak kostiumy, zwłaszcza mundury, podważają tę identyfikację.

Najpierw na scenę wchodzi żołnierz wyglądający, jakby właśnie wrócił z misji w Afganistanie. Potem pojawiają się Regimentarz w ubłoconym płaszczu, jakby z obozu jenieckiego z czasów II wojny światowej, oraz Marszałek w mundurze błękitnym jak hallerczycy, ale o kroku jakby piłsudczykowski. Jeśli dodać do tego Kossakowskiego, wyjętego jakby z „Potopu”, Rosjan w mundurach współczesnych profesjonalnych siepaczy i Pułaskiego wystylizowanego na... Che Guevarę, to jedyny sposób na powiązanie

„Balladyna” na motorach
czy „Kordian” na drabinie
prowokowały kiedyś
do dyskusji, bo miały z czym
i z kim dyskutować.

Dziś już nie mają.

**Polski teatr pozbył się
własnej tradycji.**

tych obrazowych tropów jest taki, że oto Bar stanowi „symbol wszystkich zgładzonych miast”, a dramat, którego będziemy świadkami, objawić ma nam wyższy sens powracających przez historię aktów przemocy.

Któż inny miałby go odsłonić, jeśli nie katolicki zakonnik, zwany przez wszystkich Ojcem? Wprawdzie stylizowany na Franciszka Papież reprezentujący tchórzliwy Kościół oficjalny zakazuje Markowi głosić kazania, ale dzielny karmelita nie ustaje w wyrzucaniu z siebie podniosłych słów. I jest tam jeszcze Żyd ukostiumowany na współczesnego bankstera (wiadomo, nie?) i jego córka, która już zupełnie straciła głowę i ubierając co chwila inną efektowną kreację krzyczy coś, z czego sama rozumie chyba tylko tyle, że ma na imię Judyta.

Próbowałem znaleźć w tym wszystkim jakiś uspojujący sens, ale poległem jak dzielni obrońcy Baru. Nie mam pojęcia, co łączy aluzję do wojny ukraińskiej z prorocztwami o Polsce, która miałaby się narodzić z ofiary wymuszonej na zamordowanym mieście przez Marka. Czy to sugestia, że Polska ma zmusić Ukraińców, by oddali życie, bo to sprawi, że Rosjanie się nawrócą (aż zgroza coś takiego domniemywać)? A może raczej chodzi o to, żeby wynieść na ołtarze niekończące się cierpienie, na które jesteśmy skazani (co sugerowałyby ostatnie słowa Pułaskiego mówione do kamery rzucającej karykaturalnie powiększony obraz jego twarzy na wielkie ekrany)? Nie umiem dociec, bo gdy tylko w przedstawieniu zarysuje się jakaś logika (nawet etycznie i politycznie przerażająca), natychmiast jej cienka linia gubi się w kolejnych eksploracjach reżyserskich pomysłów.

Tę płataninę konceptów dałoby się jeszcze wytrzymać, gdyby nie rozpaczliwa

klęska aktorska. Takiej parady sztamp, siepania się, wykrzykiwania słów przez zaciśnięte z bólu gardło, co ma sugerować i mękę, i głębsze znaczenie, dawno już nie spotkałem. I te prorocztwa Marka w stylu rozsierzonego na lewaków proboszcza, który dręczy parafian niekończącymi się kazaniami.

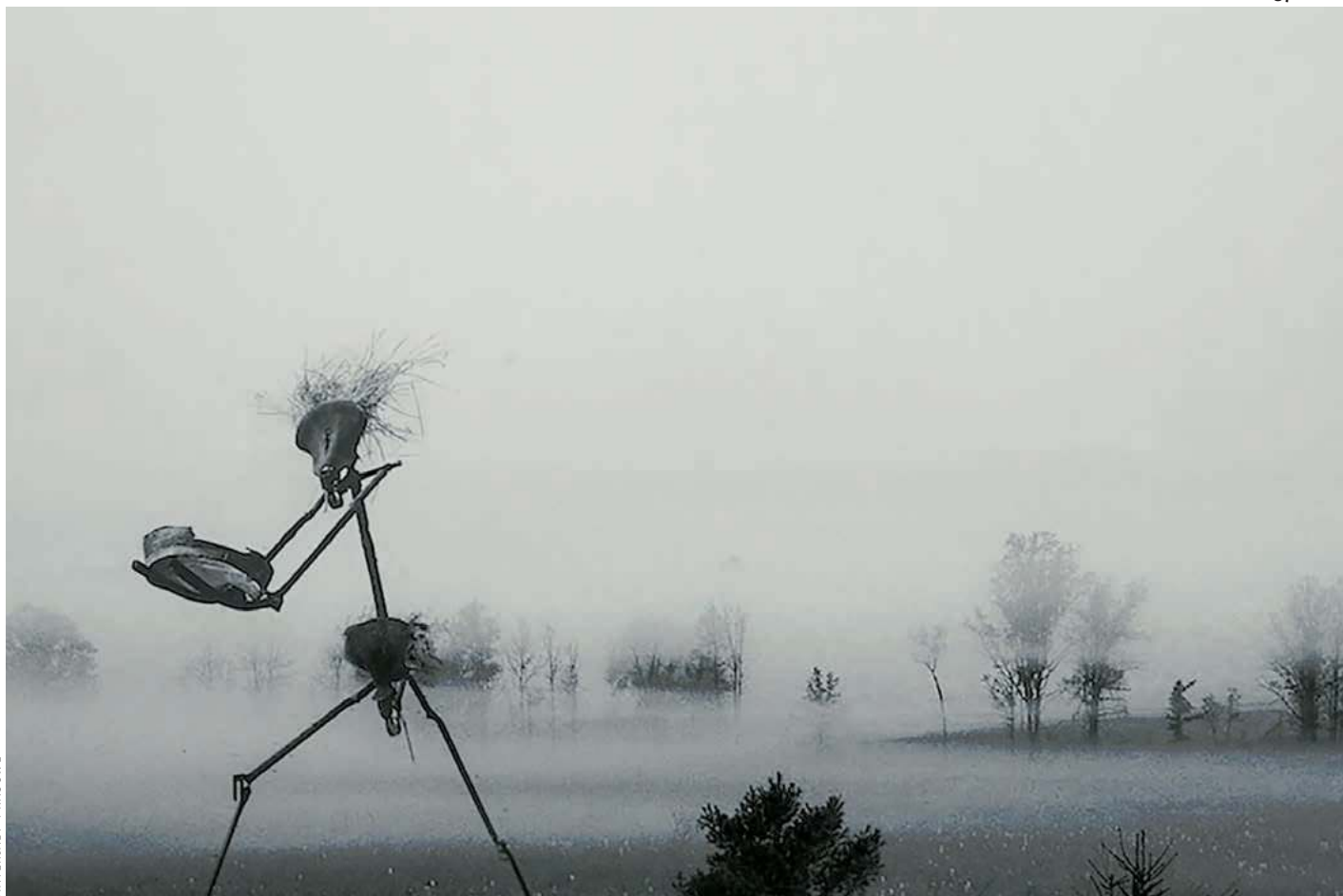
Analizą tej klęski i wyciągnięciem z niej wniosków powinny się zająć osoby piszące o teatrze do różnych gazet prawicowych, bo to one wszak do bólu troszczą się o ochronę tradycji, dziedzictwa i wartości (a poezja Słowackiego chyba jest wartością, nie?). Obawiam się jednak, że im całkowicie wystarczy, że w spektaklu jest katolicki ksiądz i że mówi się dużo o Bogu i Polsce.

Przedstawienie Jacka Bunscha to sygnał ostatecznego wyczerpania się teatru dramatycznego reżyserów, którym wydaje się, że ich „pomysły” to interpretacje. Nie mając dość odwagi i mocy twórczej, by przedstawić konstrukcję własną „do słów poety”, zarazem nie dysponując już siłami i środkami oraz podstawową wiedzą rzemieślniczą potrzebną, by móc choćby poprawnie wystawić na scenie kompozycję autorską.

Dawniej, gdy tradycja teatralna Słowackiego jeszcze istniała i gdy istnieli aktorzy umiejący mówić jego wiersz, „koncepty” bywały nawet czymś ożywczym. „Balladyna” na motorach czy „Kordian” na drabinie prowokowały do dyskusji, bo miały z czym i z kim dyskutować. Dziś już nie mają. Polski teatr pozbył się własnej tradycji, co oczywiście bardzo ułatwiło życie jego pracownikom, zwolnionym z trudu realizacji takich śmiesznych fanaberii jak pochylone „e” czy dowiedzenie się, kim był Juda Machabeusz. Jednak konsekwencją jest utrata znaczenia konceptów i tworzących je reżyserów. Ich dalsze wysiłki są męczącym dreptaniem w kółko, oklaskiwanym przez ludzi, którym wszystko jedno, co i jak się gra, byle byłoby dostojnie i o cierpiącej Ojczyźnie.

Mam nadzieję, że tego już nie da się odzobaczyć i po tej klęsce stanie się jasne, że polski teatr dramatyczny na własne życzenie utracił to, co było jego własnym sednem i sensem istnienia. Dziś, by Słowacki i inni autorzy, którymi żywiła się przez lata polska kultura, mogli jeszcze mówić, a nie być tylko streszczani na naturalnych ściągach, trzeba zacząć od początku – od nauki czytania i słuchania.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI



Kratt – postać z estońskiej mitologii. Kadr z filmu „Listopad” na podstawie powieści Andrusa Kivirähka, reż. Rainer Sarnet, 2017 r.

Miesiąc dusz

ANDRUS KIVIRÄHK, PISARZ ESTOŃSKI:

Znajomość mowy węży umożliwia nie tylko kontakt ze światem natury, ale też ze wszystkim, co nadnaturalne. Odzyskać jej nie można, ale można o niej pamiętać. Tylko w ten sposób wspólnota może trwać.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jak wygląda listopad w Estonii?

ANDRUS KIVIRÄHK: Najokropniejszy miesiąc w roku. Jest ciemno i ponuro, daleko do świąt...

To dlaczego stał się tłem powieści „Listopadowe porzeczki”?

Wyjątkowo pasował mi do historii, którą chciałem opowiedzieć. Listopad ze swoim mrokiem, niskim ciemnoszarym niebem, wszechobecną ponurością, jest idealną metaforą tego świata. Poza tym

wypada wtedy kilka ważnych ludowych świąt, które można było wpleść w fabułę.

Zaciera się granica między naszym światem a światem duchów i upiórów?

Na co dzień używamy dla listopada słowa „novembril”, wywodzącego się z łaciny, ale ludowa estońska nazwa oznacza dosłownie „miesiąc dusz”. To jest też czas zamykania się w małych wspólnotach – domowych czy wioskowych. Kiedyś ludzie gromadzili się przy ogniu i opo-

wiadali sobie najróżniejsze historie. A za oknami przechadzały się dusze zmarłych. Akcja tej powieści nie mogłaby się rozgrywać w żadnym innym miesiącu.

Co nam dziś z tego zostało?

Moje powieści nie mają charakteru historycznego. Nie rozgrywają się w żadnym wariantcie przeszłości. Owszem, czerpię pełnymi garściami z folkloru i innych ludowych tradycji, ale moim punktem odniesienia zawsze jest teraźniejszość.

W jakim sensie?

Naród estoński w swojej historii zawsze był uciśniony, zarówno politycznie, jak i kulturowo. W „Listopadowych porzeczках” są niemieccy baronowie, z kolei w „Człowieku, który znał mowę węży” występują niemieccy rycerze, którzy przybywają zza morza – wraz ze swoją kulturą oraz religią – i próbują je narzucić Estończykom. A w bliższej przeszłości był tu Związek Radziecki i rusyfikacja. Nasz język i tradycje były przez wieki marginalizowane. Nawet jeżeli funkcjonowały →

→ równolegle z tymi narzuconymi, zawsze były traktowane jako gorsze, niepotrzebne z perspektywy obcej władzy. To może nie jest do końca oczywiste dla innych, ale moi estońscy czytelnicy doskonale rozumieją, że piszę o nich, o naszej kulturze tu i teraz.

Na przykład?

W „Listopadowych porzeczkach” mamy postać, która wpięrow służy diabłu w piekle, potem znajduje swoje miejsce w kościele, musi więc cały czas lawirować. Takie samo doświadczenie miało wielu Estończyków w XX wieku, gdy wpięrow byli wcielani do Wehrmachtu, a potem, za czasów sowieckich, musieli wstępować w struktury partii komunistycznej. To przymusowe słuzenie dwóm panom jest więc nie tylko metaforą, ale bolesnym faktem historycznym.

Chodzi o stworzenie na nowo estońskiej tożsamości?

Nie tyle o stworzenie, co o sięganie do form, w których przez wieki była przechowywana. Nie mieliśmy swoich władców, nie prowadziliśmy wojen, musieliśmy więc szukać innych sposobów na przetrwanie. Na przykład w „Listopadowych porzeczkach” mieszkańcy wioski regularnie okradają tych, którzy stoją wyżej na drabinie społecznej, czyli niemiecką arystokrację.

I są w tym niezwykle skuteczni.

Chciałem nieco przewrotnie pokazać zaradność estońskich chłopów, stawiających w ten sposób opór wobec państwa, które jest im obce.

W polskiej tradycji zaborec zazwyczaj pokazuje się jako brutalnego agresora, a u Pana Niemcy są naiwni i mało rozzagnięci.

To jest istotna różnica między Polską a Estonią, która ma charakter klasowy. Nawet jeżeli mieliście obce struktury państwowe, to jednak panami byli wciąż Polacy, to oni byli podmiotem opowieści.

W Estonii każde dziecko wie, czym jest kratt.

Buduje się go ze starych wiader, mioteł i innych rupieci. Służy przyziemnym celom, na przykład ma wykradać jedzenie ze spiżarni bogatych panów.

A Estończycy zawsze byli chłopami. Paradoksalnie to prostsza sytuacja, łatwiej wtedy podśmiewywać się z opresorów. Z drugiej strony niektórzy współcześni historycy próbują łagodzić tę opozycję, argumentując, że niemieckojęzyczna arystokracja nie była aż tak odległa kulturowo od pozostałych mieszkańców Estonii, że współczesny naród estoński powstał wręcz z połączenia tych dwóch grup. Zapewne mają sporo racji, ale w powszechnej świadomości ten podział jest wciąż bardzo wyraźny.

W Pana powieściach wszystko, co pochodzi z za morza, jest odbierane negatywnie. Dlaczego?

Znowu – nie piszę o przeszłości, w tym przypadku o trwającym wieki ścieraniu się kultur, tylko o współczesności. Chodzi na przykład o umacnianie języka estońskiego, którym obecnie mówi tylko milion osób. Musimy nieustannie o niego dbać. Dziś wśród młodych ludzi coraz popularniejszy staje się angielski, co jest zrozumiałe, bo przy jego pomocy można komunikować się z resztą świata. Chcę jednak, podobnie jak inni pisarze z Estonii, aby nasz język pozostał żywy, także literacko. Dlatego sięgam po takie formy i fabuły, gdzie zachował się najlepiej. Zresztą w tym starym, tradycyjnym świecie, który tworzę w swoich powieściach, też nie wszystko jest dobre. W „Człowieku, który znał mowę węży” mamy szamana, który chce składać ofiary z ludzi. Zło, często wynikające z głupoty i przesądów, jest ponadhistoryczne.

W „Człowieku...” najeżdżcy kolonizują mieszkańców lasu między innymi przy pomocy chleba.

Miałem dużo zabawy, gdy rozwijałem ten wątek. Chleb jako zakazany owoc, którym ludzie lasu gardzą, ale który jed-

nocześnie ich kusi. W konsekwencji wiele osób porzuca dawne życie i przenosi się do wioski, stając się chłopami.

Bo dziś nie można już żyć w świecie lasu?

W książce jest jeszcze trzeci świat, w którym żyje ostatnia para małopoludów. Z ich perspektywy to ludzie lasu zdradzili dawne tradycje, bo mieszkają w chatach, a nie na drzewach, oswoiili wilki, stracili owłosienie itd. Postęp to skomplikowane pojęcie, często pełne zabawnych paradoksów. Nie chciałem wartościować żadnego z tych światów, tylko pokazać, że to, co jednym wydaje się upadkiem, dla innych jest synonimem rozwoju. Nowoczesność jest zawsze względna. Dziwne, jak niewiele to dostrzega.

Jednak tytułowy ostatni człowiek, który zna mowę węży, broni zawzięcie znikającego świata lasu.

To postać tragiczna, i to w sensie greckim – człowiek naznaczony fatum, którego przeznaczeniem jest zobaczyć koniec własnej kultury. Nie może się nigdzie zakorzenić, waha się między różnymi tożsamościami, ale ostatecznie zostaje mu samotność.

Północny gad, którego szuka przez całe życie, już go nie uratuje?

Nie, bo na świecie nie ma już wystarczająco dużo ludzi, którzy potrafiliby z nim rozmawiać. Będzie więc spał już na wieki. Dlatego ta powieść pokazuje nie tyle koniec pewnego świata, co raczej śmierć języka, który ten świat tworzył i podtrzymywał jego istnienie. Nie chodzi więc ani o progres, ani o regres, tylko o żal po tej olbrzymiej stracie.

Po utracie mowy węży?

To także wątek z mitologii estońskiej. Znajomość mowy węży umożliwia nie tylko kontakt ze światem natury, ale też ze wszystkim tym, co nadnaturalne.

Da się ją odzyskać?

Odzyskać nie, ale można o niej pamiętać. Tylko w ten sposób dana wspólnota może trwać. Ta historia to przestroga. Jeśli całkiem zapomnimy o mowie węży, rozplyniemy się. Wydaje mi się, że wszystkie narody czy, szerzej, wspólnoty małych języków mają szczególną świadomość roli słowa w kształtowaniu tożsamości i uniikatowego obrazu świata. Gdy rozmawiam

z dziennikarzami czy krytykami literackimi z innych krajów, często widzę, że nie do końca rozumieją ten lęk.

Jest Pan też autorem książek dla dzieci. A może wszyscy potrzebujemy baśni?

Potrzeba obcowania z baśnią nie zanika wraz z wiekiem. Każdy lubi czytać o rzeczach cudownych, które nie mieszczą się w naszej rzeczywistości. Taki sposób opowiadania o świecie wybrałem i w nim czuję się najlepiej. Literatura nie ma granic, po co więc ograniczać się tylko do wąsko rozumianego realizmu? Jeżeli widzimy, że jakaś forma pomoże lepiej uchwycić myśl, trzeba z niej korzystać.

Co daje nam baśń, czego nie uzyskalibyśmy w inny sposób?

Baśnie pozwalają opowiadać w przystępny sposób o rzeczach trudnych, często bolesnych, jak przemijanie czy śmierć. I nie chodzi tu wyłącznie o dzieci. W baśniach możemy też swobodnie korzystać z archetypów, a to potężne narzędzie dla każdego opowiadacza, bo ułatwia komunikację z czytelnikiem. W moim przypadku korzystam szczególnie często z tych estońskich.

Baśnie jako kolejne spoiwo wspólnoty?

Zdecydowanie. Ludziom, którzy wychowywali się na tych samych historiach czy inspirowali się podobnymi postaciami, dużo łatwiej jest później budować relacje, także te narodowe. Przez wiele pokoleń był to oczywisty mechanizm. Dziś niestety coraz mniej mamy takich opowieści, które bez wahania moglibyśmy nazwać wspólnymi. Zobaczmy, jak się to odbije na naszych przyszłych wspólnotach.

Ten korpus tekstów, który stanowi trzon naszej zbiorowej wyobraźni, bardzo trudno przetłumaczyć na inne języki i kultury.

To prawda. Gdyby pan mi zaczął teraz opowiadać polskie mity i legendy narodowe, zapewne nie zrozumiałbym wielu kontekstów albo musiałby mi je pan długo tłumaczyć. To rodzaj tajemnicy, na której wspiera się każda wspólnota. Z tego, co się orientuję, pani Anna Michalczuk-Podlecki świetnie przełożyła moją prozę na polski, ale jak sprawdzić, czy na pewno wszystkie jej elementy, tak



MARTIN KOSSESON / DZIĘKI UPRIĘŻNOŚCI ANDRUSA KIVIRÄHKA

ANDRUS KIVIRÄHK (ur. 1970) jest estońskim powieściopisarzem, dramaturgiem i dziennikarzem. W 2021 r. został nominowany do Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus za powieść „Człowiek, który znał mowę węży”. Ukazała się u nas także jego powieść „Listopadowe porzeczki”, która od ponad dwóch dekad jest w Estonii bestsellerem, a jej ekranizacja kandydowała w 2018 r. do Oscara. Gość tegorocznej edycji Festiwalu Conrada.

czytelne dla Estończyków, są również jasne dla Polaków? To mógłby ocenić tylko ktoś trzeci, kto świetnie zna obie kultury. W przypadku tego typu opowieści docieramy właśnie do rdzenia, który zawsze w jakimś stopniu pozostanie nieprzetłumaczalny.

A jednak wciąż opowiadamy sobie nawzajem nasze baśnie.

Uwielbiam czytać baśnie z innych krajów czy kultur. Fascynuje mnie to spotkanie z innością. Można się przy okazji wiele nauczyć, przede wszystkim o własnej wyobraźni, zarówno tej indywidualnej, jak i zbiorowej. Wiele rzeczy, które wydają się oczywiste, bo obcujemy z nimi od dziecka, nagle zaczyna się jawić zupełnie inaczej, przede wszystkim w swojej oryginalności.

Jak na przykład postać kratta – tego dziwnego sługi stworzonego z przypadkowych przedmiotów i ożywionego przez diabła?

Chociażby. W Estonii każde dziecko wie, czym jest kratt.

Trochę przypomina golema, tyle że w wersji chłopskiej, bo nie ma wokół niego tej wyniosłej, metafizycznej aury.

Buduje się go ze starych wiader, miodu i innych rupieci. Do tego służy bardzo przyziemnym celom, na przykład ma wykraść jedzenie ze spiżarni bogatych pań. I tu wracamy do chłopskiej przekorności estońskiej kultury. Chociaż jeden z moich krattów w „Listopadowych porzeczках” idzie dalej, bo zaczyna opowiadać mieszkańcom wioski o damach, rycerzach i romantycznej miłości. Nigdy nie wiadomo, co z takiego kratta może wyjść.

Postać kratta jest genialna, będą próbował przeszczepić ją do polskiej kultury.

To banalne stwierdzenie, ale dzięki literaturze możemy uczyć się od siebie nowych rzeczy. I co z tego, jeżeli nawet po drodze coś przekręcimy. Niech się przekręca.

Czy baśnie pomagają w czasach narastającego niepokoju?

Od miesięcy Estończycy czują, jakby też byli w stanie wojny. Potężne napięcie da się dostrzec na każdym kroku. Od 24 lutego temat wojny w Ukrainie jest obecny we wszystkich mediach, ale też w prywatnych rozmowach. Na początku wszyscy pisarze zadawali sobie pytanie, co powinni w tej sytuacji robić. Jak odnieść się do tego, co dzieje się w Ukrainie? Zwłaszcza że w kontekście rosyjskiej agresji sytuacja geopolityczna Estonii nie jest łatwa. Wielu z nas szybko jednak doszło do wniosku, że literatura czy w ogóle opowieści są nam w tym momencie szczególnie potrzebne. Od lat publikuję humorystyczne felietony w dużym estońskim dzienniku. Przed wojną zajmowałem się wewnętrznymi sprawami Estonii, teraz głównie nabijam się z Putina i jego reżimu.

Śmiech jako strategia oporu?

Ale też coś, co daje nadzieję. Śledzę uważnie ukraińskie memy, szczególnie te tworzone przez żołnierzy. Jest w nich niesamowicie dużo zjadliwego, czarnego humoru – i to właśnie na przekór horrorowi wojny.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Z estońskiego przełożyła Anna Michalczuk-Podlecki

Twarz antybohatera

ANITA PIOTROWSKA

**Scenariusz „Nitrama”,
choć dość przemyślnie
kondensuje burzliwy
życiorys sprawcy masakry
na Tasmanii, unika
fabrykowania jeszcze
jednej biografii przekłętej.**

MATERIAŁY PRASOWE



DZIŚ NA PODSTAWIE ZGROMADZONYCH danych algorytmy mogą przewidzieć popełnienie zbrodni – choć przecież nie każdy, kto miał problemy psychiczne, zimny chów i do szkoły pod górkę, musi zostać wielokrotnym mordercą. Justin Kurzel w filmie „Nitram” portretuje sprawcę australijskiej masakry z 1996 r., unikając mechanicznego profilowania. A nagrodzony na festiwalu w Cannes amerykański aktor Caleb Landry Jones daje bohaterowi rozedrganie ciało i twarz, która wyraża coś więcej niż spojrzenie „tasmańskiego diabła” o socjopatycznych skłonnościach.

Z biografii autentycznego Martina Bryanta, który w Port Arthur zastrzelił 35 osób i ranił 23, film zdaje się wybierać epizody najbardziej brzemiennie w skutkach. Kto dzieckiem będąc namiętnie bawił się fajerwerkami, aż w końcu dotkliwie się poparzył i w związku z tym przeżył tygodnie w szpitalu i pięć minut telewizyjnej sławy, niechybnie skończy na zabawach z bronią. Kto mógł tylko pomarzyć o sprzecie do surfingu, przez lata będzie hodował w sobie frustrację. Dołożymy do tego brak powodzenia u dziewczyn i chłopaków, niechęć ze strony sąsiadów oraz gwałtowne wahania nastrojów, a dostaniemy wzorcowy portret potencjalnego zabójcy. Zresztą z filmu wynika, że Martin jako beneficjent pomocy społecznej, zażywający psychotropy i powszechnie uznawany za „niedorozwoja”, niemal od zawsze funkcjonował na marginesie społecznego systemu. Stąd wzięło

się znienawidzone przezeń przezwisko Nitram, wymyślane przez szkolnych kolegów, anagram prawdziwego imienia.

Czy zatem można było zapobiec temu, co zrobił w wieku dwudziestu dziewięciu lat, skoro jego los wydawał się tak bardzo zdeterminowany? Czy dzięki odpowiedniej terapii mógł wyrosnąć na „wystarczająco normalnego” chłopaka z deską surfingową pod pachą? Gdzie byli wcześniej jego rodzice? Konwencjonalne pytania Kurzel stawia nie wprost, gdyż bardziej interesuje go wewnętrzna aura bohatera.

Rozpoczyna od nakreślenia ogólnych warunków atmosferycznych. Zabiera nas na wietrzną i chmurną Tasmanię, do niby zwyczajnej, ale głęboko dysfunkcyjnej rodziny z przedmieścia, naznaczonej skrywaną depresją ojca (Anthony LaPaglia), matczyną obsesją na punkcie higieny i obopólną ślepotą rodziców wobec ciężaru synowskich zaburzeń. A może jednak, jak w przypadku matki zagranej powściągliwie przez Judy Davis, dało się coś przewidzieć? Jej twarz niejednokrotnie zdradza taką nadwiedź. Trudno przecież nie wyczuć w domu tykającej bomby, mimo to rodzice pozostają dziwnie bierni i niezdolni do właściwej pomocy.

Twarz Martina, wykrzywiona grymasem cierpienia i jednocześnie ironii, w dodatku na wpół przysłonięta blond strąkami – niczym u Kurta Cobaina z Nirvany, innego straceńca, zmarłego ledwie dwa lata przed masakrą w Port

Arthur – dla nas okazuje się nieprzenikniona aż do końca. Plakaty reklamujące film najczęściej w ogóle nie pokazują twarzy bohatera, fotografując jego sylwetkę od tyłu. Pewnie dlatego, że scenariusz „Nitrama”, chociaż dość przemyślnie kondensuje pewien burzliwy życiorys, unika fabrykowania jeszcze jednej biografii przekłętej.

Kurzel i jego scenarzysta Shaun Grant najwyraźniej uciekają od popkulturowej mitologizacji Bryanta. Choćby po to, by nie produkować jego ewentualnych naskładowców. Usuwają więc prawdziwe personalia, kulminacyjne sceny zbrodni wolą zostawić poza kadrem (wszak filmy o przemocy zbyt często eksploatują przemoc) i całkowicie rezygnują ze skandalizującej otoczki. Nawet wtedy, gdy opowiadają o związku Nitrama z dużo starszą ekscentryczną milionerką Helen (w tej roli żona reżysera Essie Davis), czyli jedyną osobą, która dostrzegła w nim kogoś wyjątkowego, co mogło być jakąś szansą, lecz ostatecznie przyczyniło się do zguby. To również Helen rozbudziła w Nitramie konsumpcyjne i gwiazdorskie ciągoty, czego końcowym efektem będzie zakup okazałego arsenału i kamery wideo, którą sfilmuje swój morderczy *tour de force*. Przy okazji dzieło Kurzela staje się podskórną krytyką nie tylko społeczeństwa spektaklu, uprawiającego idolicę seryjnych morderców czy zamachowców (o Nitramie ktoś potem napisał piosenkę, ktoś inny namalował obraz z nim). Dostajemy oskarżenie całej „kul-

tury broni”, zbierającej krwawe żniwo nie tylko w USA.

Historia nadpobudliwego, nieobliczalnego chłopaka, który pod wpływem wrodzonych predyspozycji i rozmaitych okoliczności zewnętrznych stał się rekordowym zabójcą, a zarazem narodowym antybohaterem, przez Kurzela opowiedziana została tonem raczej beznamietnym, jednak nie bez napięcia. Od początku znamy jej finał, ale twórcy wiedzą, w jaki sposób snuć tę opowieść, by nie była jedynie podlanym adrenaliną odliczaniem.

Podobnie jak „Słoń” (2003) Gusa Van Santa (o szkolnej strzelaninie w Columbine) czy polska krótkometrażówka „Followers. Odpalaj lajwa” (2022) Jakuba Radeja, film Kurzela nie daje ostatecznych odpowiedzi na pytanie „dlaczego”. Nie domaga się także bezwarunkowego współczucia dla mordercy. Chodzi raczej o próbę solidarnego współodczuwania z nim, kiedy pędzi na złamanie karku, dzwigając potwora w sobie. Kiedy czuje się niedopasowany zarówno do swojego otoczenia, jak i do siebie samego, do własnych marzeń i wyobrażeń. Musi zatem pozostać obcy – co do tego Kurzel nie ma złudzeń. Podczas seansu możemy też bawić się w policyjnych profilerów, lecz w psychologicznej układance pozostanie wiele pustych miejsc.

Dostajemy w zamian doświadczenie filmowe pozwalające zobaczyć świat inaczej, intensywniej, intymniej. Tasmania jest tu wyspą w znaczeniu podwójnym, bo nawet rozległym, pustym przestrzeniom towarzyszy poczucie izolacji i osaczenia. W temacie zdrowia psychicznego „Nitram” ani swego bohatera nie demonizuje, ani nie ociepla. Po prostu maksymalnie wyostreza spojrzenie i uwrażliwia na te szczegóły, które zdążyły stać się ustawieniem domyślnym dla wytłumaczenia destrukcyjnego szaleństwa.

Przekonuje, że trzeba przyglądać się im za każdym razem od nowa, z bliska, w zaskoczeniu i coraz to innym oświeceniu. Tym razem będzie nim gwałtowny rozbłysk fajerwerków – rozpaczliwy sygnał wysłany do świata z wewnętrznego mroku, nawet za cenę rozległych poparzeń. ©

NITRAM

– reż. Justin Kurzel.
Prod. Australia 2021.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach.

Justin Kurzel jest australijskim reżyserem urodzonym w rodzinie polskiego imigranta. Już w debiutanckim „Snowtown” (2011) interesował się psychologią zbrodni. Ma na koncie także adaptację „Makbeta” (2015) i ekranizację gry „Assassin’s Creed” (2016), w których główne role zagrał Michael Fassbender, oraz „Prawdziwą historię gangu Kelly’ego” (2019).

Lektor: Między światami



■ Jeremi Przybora
WRAZ, CZYLI BEZ.
OPOWIADANIA I LISTY Z KRAINY NONSENSU
Wybrał Michał Rusinek.
Kraków 2022, Znak,
ss. 286.

Z PERSPEKTYWY WIDAĆ CORAZ WYRAŹNIEJ, ŻE JEREMI Przybora był jedną z najważniejszych postaci polskiej kultury powojennego półwiecza. Po pierwsze, ze względu na mistrzostwo językowe jego tekstów, które wzbogaciło polszczyznę, uwrażliwiło nas na jej niuanse i stanowiło szczepionkę na toporność nowomowy. Po drugie, bo niezwykle wehikuł czasu, jakim stał się Kabaret Starszych Panów (tu oczywiście Przybora dzieli zasługi z Jerzym Wasowskim), ocalił pewne wzorce kulturowe (ci dżentelmeni w spodniach w prążki, które podobno ręcznie malowano!) i pozwolił przetrwać w przestrzeni publicznej cennemu rodzajowi poczucia humoru: humoru nonsensownego, czyli bezinteresownego. W kwestii teorii nonsensu odsyłam do wstępu Michała Rusinka oraz cytowanego tam Stanisława Barańczaka.

W tej książce nie ma wierszy/piosenek, ani „Pomidorów”, ani „Szui”, ani „Rodziny”. Są prozy, w których występują dwaj anonimowi, ale przecież dobrze nam znani z Kabaretu przyjaciele, a także gromadka innych postaci. Przygarniecie zbiegłej z klasztoru Sióstr Solenizantek siostry Odoraty wiele będzie narratora kosztowało – niepomahomowana ekspansywność jej poszukiwań duchowych skłoni w końcu jego samego do szukania schronienia u Ojców Azylianów. Spotkamy panią Verę – wdowę po kwartecie smyczkowym, którego członkowie zatruli się kalafonią; znakomitego chirurga i melomana docenta Dżdżystego, albo też pana, któremu podczas pracy przy reaktorach trafił się wyjątkowo długi łańcuch, przez kilka lat nie opuszczał instytutu i teraz wiewiórka myli mu się z biedronką, a pachnący krzew bzu to wedle niego „wraz”.

Obyczajowe realia, niby wyjęte ze staroświeckiej powieści, stają się tłem historii niezwyklej, strasznych, czasem zaś wybrzmiewających dziwnie serio. Niekiedy bowiem zaglądamy w nich za kurtynę oddzielającą nasz świat od zaświatów – starczy się zagapić i w starej kamienicy wyjść o piętro za wysoko. „Płaszcz” to opowieść o fascynacji przyodziewkiem firmy Burberry, ale przede wszystkim o utracie ukochanej kobiety. A podupadły, obskurny hotel Pod Orłem – w jego neonowym szyldzie świeci się już tylko jedna litera, a o dawnej świetności świadczą resztki starej boazerii i niedobitki secesyjnych witraży łątanych zwykłym szkłem – może się okazać bramą do przeszłości. W której dawno wycięta aleja czereśniowa wciąż jest w pełnym rozkwicie. ©P

OLGA

Drenda:

Proszę uważać



mówi się trudno.

A potem w autobusie miła pani mówi do mnie: „Ma pani rozpiętą torbę”. Właściwie to wiedziałam o tym, czasem mi się to zdarza, bo do niej sięgam i przytulam do siebie. Założyłam, że pani miała dobre zamiary, zasunęłam zamek i podziękowałam. Z małym niepokojem: jeśli ludzie zwracają uwagę na takie rzeczy, to może znaczy, że zrobiło się niebezpieczniej. Że przebywanie wśród ludzi wiąże się z potrzebą zachowania ostrożności (większej). I że częściej niż neutralni mogą stać się potencjalnie wroddzy. W końcu ostatnio zdarzają się często bardziej wyrafinowane wersje oszustwa na wnuczka, ktoś podszywa się pod bank albo dostawcę prądu. Takie zdarzenia kruszą zaufanie ludzi do siebie nawzajem. Przez chwilę pomyślałam, że może ktoś próbował coś mi ukraść, ale skasowałam szybko tę myśl. Nie chcę, dla dobra własnego umysłu, doszukiwać się wszędzie zagrożeń większych niż przypadkowe. Strach zabija duszę, jak w „Diunie”.

To niewesoła konstatacja. Do takiej rzeczywistości nie chciałabym wracać, już w niej żyłam i dziękuję. W bardziej niebezpiecznych czasach, na początku stulecia, zdarzyło się, że ktoś zamachnął się na mój skromny dobytek. Raz powstrzymałam faceta, który usiłował wyciągnąć portfel z mojej torby podczas wsiadania do autobusu. To był portfel z Hello Kitty, nie chciałam go stracić. Wykazałam się refleksem i zrobiłam typowi „pokrzywkę”. Za drugim razem refleks mnie zawiódł. Ktoś bardzo sprytnie zwinął mi portfel na Floriańskiej. Potem dostałam wiadomość, że czeka na re-

cepcji hotelu i faktycznie czekał, cały, tylko bez stuzłotówki. Potem zastanawiałam się, czy honorowy kieszonkowiec to nie był ten sam ktoś, z kim rozmowę czytałam po latach w „Tygodniku Powszechnym”, gdzie opowiadał o swoim ulicznym epizodzie. Potem to się nigdy już nie powtórzyło. Ale też ludzie w pociągach przestali prosić się wzajemnie o rzucenie okiem na bagaż. Montują alarmy, żaluzje przeciwwłamaniowe i ogrodzenia, ale jednocześnie ufają monitoringowi i ochronie w komunikacji publicznej.

W trakcie życia zmieniają się poziomy tak zwanej normalności. Normalnie może być wtedy, kiedy nie myślimy o tym, czy nasza torba jest otwarta, bo przecież nikogo to nie obchodzi, ale bywa i taka normalność, kiedy na torbie się siada albo się ją dobrze chowa. Poznałam obie wersje normalności i pamiętam moje zaskoczenie, gdy czytałam książkę Michała Olszewskiego „Zapiski na biletach”, spisywaną na bieżąco w czasach, gdy po Polsce poruszało się więcej połączeń kolejowych i pekaesowych, nie było miejscówek, biletomatów ani zakazów palenia, znacznie łatwiej było za to stracić przynajmniej bagaż. Praktykowałam te zwyczaje, potem jakoś samo mi przeszło, nawet wstydziłam się, że pewnie wyglądałam jak zastrachany Kaspar Hauser, który właśnie opuścił swoją piwnicę. Olszewski uświadomił mi tę różnicę. Pamiętam też montaż dodatkowych zamków i podwójnych drzwi, pogłoskę, jakoby nie można było wpuszczać do mieszkań ludzi przedstawiających się „Swój” (czy właściwie ktokolwiek naprawdę tak mówi?). Takich zaleceń, zabezpieczeń i ostrzeżeń mogło naraz spiętrzyć się bardzo wiele. Nagle życie staje się bardziej wyczerpujące, bo do wszystkiego, co robimy, dołącza ciężar obawy. Już Antoni Kępiński pisał, jak wykańczający to, choć z pozoru niewidoczny wysiłek – cały czas musieć trzymać się na baczności. Dobrze jest, kiedy to, czy zdarzy się nam mieć rozpiętą torbę, czy nie, nie ma znaczenia, nie musimy zwracać na to uwagi, i gdy ta sytuacja nie staje się rzadkim luksusem, bo to normalne, że ludzie pilnują nawzajem własnego spokoju, a zakłócenie go od razu wpadłoby w oko.

Ale to jest pstryk, chwila. Kiedy pani w autobusie zwróciła mi uwagę, cofnęłam się w czasie do starych nawyków i przestałam czuć się swobodnie. Tylko na chwilę, ale wystarczająco, żeby przejść w tryb czujności. Nie znoszę go, to zawsze jakaś kapitulacja, jakaś porażka. I niebezpieczeństwo, bo może kogoś w potrzebie z góry uznamy za hochsztaplera. Może i mnie ktoś weźmie za oszusta, nie zabierze do domu tak, jak te panie z królikiem, które udzieliły mi kiedyś pomocy po wypadku rowerowym. Anomia wkrada się w nasze życie niepozornie. Zła, wroga normalność, w której trzeba mieć oczy dookoła głowy, rozmawiać po cichu, a interesy załatwiać pod stołem, szybko zastępuje tę jawną, swobodną i uczciwą (która staje się wówczas czymś dobrym co najwyżej dla cieniasów i frajerów). Niby wiemy to z socjologii, a jednak zawsze szkoda, gdy wspólną pracę diabli biorą. To na to trzeba uważać, o wiele bardziej niż na torbę. Na wszelki wypadek powtarzam sobie, po świecku, litanie z „Diuny”: „Nie wolno się bać, strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawiać mu czoło”.

©

W niebezpiecznym świecie nawet gołębie wydają się groźne.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo:

Najdoskonalszy dzień



WDECH, WYDECH – CZUJECIE TEN SMAK? Z lekka ogniskowy, prawie jakby ssać powoli suskę sechłońską – ta królowa wędzonych śliwek to wielki małopolski dar dla kuchni naszego narodu oraz sąsiadów, które zimą lubią ten rodzaj doznań.

Przyjemność to wcale nie taka oczywista, posmak dymu i lekkiej spalenizny jest odbierany pozytywnie w tych stronach świata, gdzie z powodów klimatycznych zwykłe suszenie jako sposób konserwacji wiktuałów nie wchodziło raczej w grę. Takie szczegóły od razu pozwalają nam usytuować czyjeś podniebienie na północnej, wilgotnej części mapy.

Na ulicach Krakowa w zeszłą sobotę niestety susek nie rozdawali – poszły na eksport, a nam został w ustach tylko swąd. Nawdychałem się zatem smogu, ale czyniłem to dla dobra ogółu, chcąc jako pierwszy sprawdzić i donieść tu wam, że już można się najeść powietrzem. Niestety, kaszlałem i łzałem, w żołądku zaś ziała dziura. Widocznie zbyt dosłownie i z pośpiechem wziąłem obietnice publikacji obiecujących jedzenie z powietrza. Po angielsku to się o tyle dowcipnie składa, że „z powietrza” oznacza metaforycznie „z niczego”.

No i taki jest podprogowy przekaz marketingowy bardzo ostatnio aktywnych – np. przy okazji niedawnego szczytu COP w Egipcie – firm zajmujących się tzw. precyzyjną fermentacją. Ten nowiutki odłam start-upów, sówicie nasyconych pieniędzmi i mentalnością Doliny Krzemowej, twierdzi, że całe potrzeby białkowe ludzkości dałoby się opędzić instalacjami zamieniającymi powietrze (z minimalnym dodatkami energii) na strawę. Wystarczy postawić wielkie kadzie przypominające futurystyczny browar – w nich zaś specjalnie spreparowane genetycznie mikroorganizmy bakteryjne albo drożdże produkowałyby białkowe zawiesiny, które po odfiltrowaniu i wysuszeniu dałyby różnego rodzaju magiczne proszki służące jako wypełniacz potraw lub zamiennik. Nie tylko mięsa, ta bowiem działka biznesu jest już rozkręcona i zaczyna wręcz tracić impet (główny gracz, firma Beyond Meat donosi właśnie, że w tym roku przestaje jej rosnać sprzedaż). Nakazem chwili i hasłem rozgrzewającym wyobraźnię inwestorów staje się zastąpienie upraw roślin wysokobiałkowych, takich jak np. soja. Zużywają one wprawdzie o wiele mniej zasobów (ziemia, woda itd.) niż hodowla bydła i trzody, ale jednak wciąż skłaniają do wycinki lasów i wielu innych grzechów przeciw środowisku.

I tu na scenę wkraczają firmy o wdzięcznych nazwach, takich jak Air Protein, Solar Foods czy Perfect Day. Solar – sądziliście, że chodzi o pocziwą fotosyntezę? Nic bardziej mylnego, chlorofil jest *passé*. Słońce oświetla panele, panele dają prąd, tym prądem rozbija się wodę na wodór i tlen, wodór zaś służy za „paliwo” dla drożdży – coś jak cukier w kadzi z oldskulowym moszczem – które, podkarmione dodatkowo dwu-

tlenkiem węgla, produkują soleinę. Jest to opatentowane białko wzbogacające nasz jadłospis pod wieloma postaciami, jako prawie bezsmakowa i bardzo elastyczna w obróbce proteinowa „wkładka”.

No właśnie, opatentowane. Malkontenci (na pewno naślani przez lobby wołowe) zwracają uwagę przede wszystkim na ten przykry aspekt technoutopii, ale pojawia się sporo innych prostych pytań. Ile betonu i prądu wymagać będą te fabryki białek, gdyby postawić je w wielkiej skali? Czy wiemy dokładnie, jak będą dalej rozwijać się „edytowane” genetycznie drożdże? Naprawdę żadnych kłopotliwych produktów ubocznych mogących rozwalać ekosystemy wokół fabryk? A gdyby takie mikroby, jeden z drugim, wybrały się na nieplanowaną wycieczkę poza zakład pracy? Czy ktoś to miał już czas zbadać i oszacować ryzyka?

Wypreparować życie z całego tego znoju i gnoju, oderwać je od tkanek i procesów, stać się czystym światłem – puls gnostyckich rojeń rozpędzony 2 tysiące lat temu nie ustaje ani na chwilę. Może tyle nowego da się o tym powiedzieć, że cykle się mocno skróciły i za życia jednego sceptyka pojawia się i znika coraz więcej baniek. Zabawy słonecznym proszkiem zostawmy dzieciom, o prawdziwej, skutecznej, choć nieprecyzyjnej fermentacji w następnym numerze poczytacie wiele spod pióra Michała Kuźmińskiego, a tymczasem sprawdźcie, jak się miewają buraki w kwasie na barszcz. Kiedy już dojrzeją, to będzie nasz prawdziwy, grudniowy Perfect Day. ©P



Czy wam też już się marzy, żeby zrobić wreszcie bigos?

Zanim kuchnię ogarną opary fermentu, kapusty i dymu, robię sobie czasami takie małe zastrzyki smaków z okolic, gdzie się wędzenia nie praktykuje. Oto jedno z zastosowań bardzo mocno zrumienionej, ale nie przypalanej bułki tartej, używanej jako dodatek do makaronu w ubogiej kuchni Sycylii i Apulii. Na oliwie podsmażamy delikatnie **czosnek**, pokruszoną **papryczkę** i **po dwa fileciki anchois na osobę**. Kiedy czosnek się zrumieni, wyjmujemy go, dodając **po cztery małe pomidorki na głowę**, posiekane na połówki, **solimy** i dusimy parę minut, aż ciecz z pomidorów odparuje. Odcedzamy **spaghetti** minutę przed czasem, jedną chochelkę wody, w której się gotowało, dolewamy do sosu. Łączymy z sosem i mieszamy na patelni. Na osobnej suchej patelni wcześniej rumienimy **bułkę tartą** (dwie kopiaste łyżki na głowę), ciągle mieszając drewnianą łyżką, aż uzyska kolor orzeszka laskowego – ale nie ciemniejszy – po czym łączymy z siekaną **natką** i posypujemy makaron na talerzu.

HLPHOTO / ADOBE STOCK

ZAKOPANE TALENTY

Mentalność, zgodnie z którą „liczy się tylko wynik”, zabiła nie tylko naszą radość z gry. W przyszłości zabije też radość dziewczyn i chłopaków, którzy dopiero śnią o występach z orzełkiem na piersi.

MICHAŁ OKOŃSKI

Matty Cash i Kylian Mbappé w meczu Polska-Francja. Doha, Katar, 4 grudnia 2022 r.

PILKARSKA REPREZENTACJA POLSKI ZAKOŃCZYŁA WYSTĘPY na mistrzostwach świata w Katarze i z pewnością można powiedzieć, że tzw. kibice neutralni nie będą za nią tęsknić. W ojczyźnie nie witamy jej z fanfarami czy honorową asystą myśliwców F-16, które w tamtą stronę eskortowały samolot z kadrowiczami aż do granic ojczyzny.

Owszem: spełnili plan minimum, czyli zdołali wyjść z grupy, remisując z Meksykiem, wygrywając z Arabią Saudyjską i przegrywając z Argentyną. Owszem: w meczu z Francją próbowali stawić czoło obrońcom tytułu – aż do 43. minuty walczyli jak równy z równym, a pięć minut przed stratą pierwszego gola sami mieli doskonałą okazję na zdobycie bramki, tylko że strzał Piotra Zielińskiego zatrzymał Hugo Lloris, a późniejszą dobitkę Jakuba Kamińskiego zablokował francuski obrońca. Koszmar, jaki przeżywali podczas oglądania meczów fazy grupowej ci, którzy oczekiwali od polskich zawodników dorównania standardom prezentowanym przez nich na co dzień w europejskich klubach, w tym sensie się nie

powtórzył. Jasne: Polakom tuż przed przerwą nie udało się zawiązać skutecznej pułapki ofsajdowej (ten jeden, jedyny raz spóźnił się rozgrywający poza tym bardzo dobry turniej Bartosz Bereszyński), ale później poderwali się po raz kolejny i dobiły ich dopiero błyskawiczne kontry Francuzów, z popisową akcją na 2:0, w której i zagranie z własnego pola karnego Antoine’a Griezmann’a, i przyjęcie niełatwej piłki przez Oliviera Giroud, i późniejszy drybling Ousmane’a Dembélé, a w końcu strzał Kyliana Mbappé – były zaiste godne mistrzów świata.

W pierwszych komentarzach dominowały więc frazy typu „wstydu nie ma”, a ci, którzy piłką interesują się nie tylko w czasie mundialu, podkreślali, że mecz przez spore fragmenty przebiegał pod dyktando Piotra Zielińskiego, wprowadzającego rywali w pole nie tylko podaniami, ale nawet samym sposobem, w jakim potrafił przyjąć piłkę. Że Polacy umieli odebrać futbolówkę rywalom na ich połowie, wymienić kilka podań, stworzyć przewagę w bocznym sektorze, z fantazją zaatakować...



Kariera lagi i aspiracje polskiego ludu

Tylko dlaczego dopiero na pożegnanie z turniejem? – pytali ci, którzy mieli nieszczęście oglądać spotkania Polaków w fazie grupowej. Dlaczego w inauguracyjnym mistrzostwa pojedynku z Meksykiem główną strategią drużyny było granie tzw. lagi – używam tego słowa, bo zrobiło międzynarodową karierę, a chodzi o długie piłki, przelatujące wysoko nad znakomicie czującym się właśnie z futbolówką przy nodze Zielińskim – do samotnie walczącego z obrońcami Roberta Lewandowskiego? Dlaczego w większości statystyk opisujących występy poszczególnych drużyn w pierwszych trzech meczach – ze szczególnym uwzględnieniem posiadania piłki i celnych strzałów – Polacy byli na szarym końcu?

To pytania, wbrew pozorom, nie tylko piłkarskie – i nie tylko podszyte rozważaniami, co by było, gdyby (gdyby np. Polska wygrała z Meksykiem, a następnie remisując z Argentyną obroniła pierwsze miejsce w grupie i w związku z tym trafiła na Australię, a nie na Francję...). Kiedy przed ro-

kiem przeprowadzałem dla „Tygodnika” wywiad o kondycji polskiego społeczeństwa z badaczem opinii Marcinem Dumą, mój rozmówca przywołał postać jednego z bohaterów „Ziemi obiecanej” Reymonta, niejakiego Kaczmarka – chłopca, który wyjeżdża do Łodzi, z czasem się dorabia, a na końcu wraca do swojej wsi już jako pan. „To jest przemiana, którą dziś obserwujemy – mówił prezes IBRiS-u. – Jadąc do miasta, dorabiając się tam, Kaczmarek naprawdę staje się innym człowiekiem. A dziś nawet nie trzeba wyjeżdżać do miasta, bo zmianę widać w zasadzie wszędzie”.

Widać ją także w futbolu albo raczej: w naszym stosunku do niego. W trakcie mundialu selekcjoner reprezentacji Polski z meczu na mecz coraz trudniej godził się z krytyką stylu, w jakim jego piłkarze wyczołgiwali się z grupy – i podkreślał, że przecież najważniejszy jest wynik. Problem w tym, że sam wynik wielu kibiców i – co równie ważne, a o czym za chwilę – wielu piłkarzy nie zadowalał. Że oni chcieli – że myślny chcieli – cieszyć się futbolem nowoczesnym i ofensywnym. Że nie chcieli reprezentacji grającej, jak się mówi w kręgach kibicowskich, „piach” czy „paździerz”.

„Z naszych badań – mówił mi Duma – wynika, że 72 proc. Polaków uważa się dziś za klasę średnią”. Innymi słowy: zdecydowana większość Polaków aspiruje. Aspirując, przyjmuje także pewne wzorce i narracje kulturowe. Szef IBRiS-u dawał w tym miejscu przykłady deklaracji światopoglądowych typu: „LGBT jest ok, nie mam nic przeciwko”, „z tą aborcją to naprawdę przegięli”, ale w kontekście występów reprezentacji na mundialu trudno nie dawać innych, np. „nie chcemy lagi na Robercika”, „pozwołmy Zielkowi pokazać, co potrafi”.

Bozia czuwała, ale się nie cieszyła

„Szczęsnego szkoda”, było więc zdaniem powtarzanym po pierwszych występach Polaków w Katarze, bo bramkarz Wojciech Szczęsny utrzymał nas w turnieju broniąc rzuty karne w meczach z Arabią Saudyjską i Argentyną, ale po meczu z Francją doszło także: Zielińskiego szkoda. I Lewandowskiego, dla którego – zważywszy na wiek – był to ostatni wielki turniej, w którym mógł się pokazać z najlepszej strony. I Bereszyskiego. I tylu innych, którzy w fazie grupowej nie dostali szansy na pokazanie, że potrafią grać w piłkę, a pod koniec spotkania z Argentyną musieli się modlić („Bozia czuwała” – powiedział po wszystkich trener Michniewicz), żeby Meksykanie nie wbili Saudyjczykom jeszcze jednej bramki i nie wyeliminowali tym samym Polaków z turnieju.

Nie tylko spotkanie z Francuzami sfalsyfikowało stwierdzenie mającego wyraźną słabość do religijnych odniesień Michniewicza, że nie zamieni wody w wino. „Myślicie, że jest trener, który w trzy dni nauczy albo oduczy kogoś grać w piłkę?” – mówił po spotkaniu z Meksykiem do dziennikarzy, ale o tym, że potrafią prezentować nowoczesny futbol, polscy piłkarze przekonywali także za kadencji poprzedniego selekcjonera. Jasne: Paulo Sousa skompromitował się swoją rejteradą do Brazylii – ale zremisowane mecze ze Słowacją i Hiszpanią, a nawet zakończone porażką starcie ze Słowacją na Euro 2020 z pewnością nie było popisem antyfutbolu, którym to słowem zagraniczni dziennikarze najczęściej określali grę Polaków na mundialu w Katarze.

→ O tym, że ów antyfutbol nie odpowiada liderom reprezentacji, mówili także oni sami w rozmowach z dziennikarzami. „Radość z gry jest potrzebna – wypalił Lewandowski na pytanie o własną przyszłość w kadrze (doceńmy przy okazji lojalność kapitana wobec trenera i drużyny: zrobił to dopiero po zakończeniu turnieju). – Oczywiście, jest inaczej, jak próbujemy atakować. Gdy gramy bardziej defensywnie, tej radości nie ma”. „Powinniśmy wykorzystywać umiejętności takich piłkarzy jak ja, »Lewy«, Milik – wtórował mu Zieliński. – Dla mnie ta reprezentacja powinna grać tak jak dziś. Nie mamy się czego bać”.

Zauważmy, że odpowiedzią Michniewicza na przywołanie tych słów w trakcie pomeczowej konferencji było... zaatakowanie pytającego: „Dziwi mnie, że redakcja wysłała pana na duży turniej, a pan nie może zadać własnego pytania i posługuje się wypowiedziami zawodników”. Nie pierwszy to raz, gdy selekcjonerowi puszczają nerwy – tyrada, jaką wygłosił po zwycięstwie nad Szwecją, a poświęcona krytykom jego nominacji, przypominającym rozliczne kontakty Michniewicza z hersztem mafii ustawiającej mecze polskich lig w ciemnych czasach naszego futbolu, nie bardzo nadaje się do cytowania w „TP”.

Tu nie ma co narzekać, tu trzeba zmieniać

A przecież radość z gry jest naprawdę potrzebna – w trakcie tego mundialu mówił o tym nie tylko kapitan Polaków, ale także trener grających świetny futbol Hiszpanów, Luis Enrique. Bez radości piłkarze się nie rozwijają. Bez radości nie zdobywają się na odważne czy niebanalne zagrania, które przez lata zostają w pamięci kibiców.

W tym sensie unosząca się nad katarskimi wystęпами drużyny Michniewicza alternatywa „wynik czy styl” jest fałszywa. Oprócz stylu chodzi przecież także o jakąś myśl, program czy dziedzictwo, które selekcjoner doprowadzający Polaków do jednej ósmej mundialu zostawia nam po odpadnięciu z imprezy. Kiedy po porażce z Argentyną powiedział przed kamerami, że „nie ma co narzekać, trzeba się cieszyć” (w domyśle: samym awansem), usłyszałem w tym echo słów jego niesławnego kolegi z owych ciemnych czasów polskiego futbolu, że „nie ma co trenować, trzeba dzwonić”.

Przywoływałem już w pisanym po meczu z drużyną Leo Messiego komentarzu na stronie internetowej „TP” opinię Michała Treli – jednego z najwnikliwszych, a zarazem najbardziej umiarkowanych w formułowaniu wniosków obserwatorów gry reprezentacji Polski – który jeszcze przed wygraną z Arabią Saudyjską stwierdził, że „niezależnie od wyniku, jaki osiągnie w Katarze, to na mistrzostwach świata powinna się skończyć praca Czesława Michniewicza z reprezentacją”. Dlaczego? Ano dlatego, że mając w perspektywie kolejną wielką imprezę – Euro 2024 – do której po szczęśliwym losowaniu grupy eliminacyjnej droga wydaje się szeroko otwarta, Polacy potrzebują trenera potrafiącego nauczyć ich choć w niektórych meczach atakować pozycyjnie, prowadzić grę, założyć pressing albo wyjść spod niego. „Michniewicz, wedle wszelkiej dostępnej wiedzy na podstawie 20 lat jego kariery trenerskiej, takim trenerem nie jest” – napisał Treli.

Polscy piłkarze – ci, którzy pracują i pracowali już z elitą światowych trenerów klubowych, ale i ci, którzy z racji swo-

ich talentów mogą liczyć na taką szansę w przyszłości – potrzebują partnera.

Czy Szczęsny może żyć chwilą

Powiedzmy po sprawiedliwości, że były i inne głosy zawodników. Nie tylko dobijającego powoli do sportowej emerytury na boiskach Arabii Saudyjskiej Grzegorza Krychowiaka, ale grającego w czołowym klubie ligi włoskiej Wojciecha Szczęsnego. „Za stary jestem, żeby podziwiać piękno piłki, więcej razy na mundialu z grupy nie wyjdę” – mówił niewątpliwie bohater Polaków w rozmowie z „Przeglądem Sportowym” między meczami fazy grupowej i pucharowej. I jeszcze: „Styl stylem, rozumiem narzekających, ale pocieszmy się świętem futbolu. Przeżywamy najpiękniejszy tydzień w naszym sportowym życiu”.

Po pierwsze jednak: chyba nie dla wszystkich był to tydzień najpiękniejszy. A po drugie: przypominał mi się zapis opublikowanej na łamach „France Football” rozmowy obecnego selekcjonera Francuzów, Didiera Deschamps’a, z innym francuskim trenerem i edukatorem Jeanem-Claude’em Suaudeau. „Pamiętam okropne mecze, w których radość wygrywania była ogromna, choć samo granie w nich nie dawało żadnej frajdy. Grać dobrze i niczego nie wygrać? O nie, kompletnie mnie to nie interesuje” – mówił Deschamps, i z pewnością polski bramkarz zgodziłby się z tymi słowami, ale mnie utkwiła w głowie riposta Suaudeau: „W dzisiejszej przegranej znajduję mnóstwo elementów, które pozwolą mi wygrać jutro. Ty żyjesz chwilą, ja patrzę dalej”.

O tym „spojrzeniu dalej” pisze w wydanej kilka miesięcy przed katarskim turniejem książce „Polska myśl szkoleniowa” Michał Zachodny. Analizując niepowodzenia szkoleniowców próbujących w XXI wieku odmienić nasz futbol reprezentacyjny i klubowy (oprócz Sousy także Leo Beenhakera, Jerzego Engela i Henryka Kasperczaka), zwraca uwagę, że wszyscy oni zmianę mentalności próbowali wymusić na zasadzie odgórnego przykładu – tymczasem wszędzie w Europie zaczyna się od fundamentów. „Dlatego we Włoszech zaczęto od innego kształcenia szkoleniowców w szkole trenerów w Coverciano. W Niemczech ujednolicono i scentralizowano system szkolenia. W Anglii wprowadzono Elite Player Performance Plan, który – wraz z pojawieniem się St George’s Park, czyli bazy treningowej dla wszystkich reprezentacji – pomógł stworzyć zupełnie inny profil piłkarza oraz trenera” – pisze Zachodny i zauważa, że „współczesny futbol nie akceptuje drogi na skróty”.

Futbolowi nauczyciele niedasizmu

Autor „Polskiej myśli szkoleniowej” również widzi w naszym futbolu lustro, które można przyłożyć społeczeństwu. Stosuje więc do rodzimej piłki pojęcie „niedasizmu”, zaczerpnięte z książki „21 polskich grzechów głównych” Piotra Stankiewicza. „Z punktu widzenia niedasizmu optymizm, przebojowość i wiara w sens zmiany na lepsze są naiwnością. Są zabawką dla młodych, którzy wciąż bawią się w piasku i nie wiedzą jeszcze, że ostateczna i najgłębsza prawda o prawdziwym życiu w Polsce to konieczność pogodzenia się z tym, że się nie da” – pisał Stankiewicz.

Polska myśl szkoleniowa nie funkcjonuje w oderwaniu od „polskiej myśli działaczkowskiej, kibicowskiej, piłkarskiej

i dziennikarskiej” – pisze Zachodny. Kolejne awanse reprezentacji na międzynarodowe turnieje – w pogoni za pieniędzmi UEFA i FIFA stale zwiększają liczbę ich uczestników, więc dostać się do tego grona coraz łatwiej – usypiają te środowiska, a w światowym futbolu postępuje rozwarstwienie. Problem w tym, że „kto nie podąży za wzorcami, w których pierwszorzędną rolę odgrywa odważny i spójny pressing, kto nie wyszkoli wszechstronnie uzdolnionych technicznie oraz szybko myślących zawodników i nie da im pola do rozwoju kreatywności, ten po prostu utknie w futbolowej próżni”.

Tak się złożyło, że podczas tegorocznego mundialu spędzam wiele godzin w studiach telewizyjnych, gdzie w roli tzw. eksperta dyskutuję z niejednym polskim piłkarzem i trenerem. Niektórzy z moich rozmówców odpowiadają za szkolenie młodzieży. Większość jest pełna dobrych chęci, podpatruje nowoczesne wzory. Wszyscy wiedzą, że styl i wynik nie muszą się wykluczać. Wierzą w futbol, jak mówią, „proaktywny”, oparty na szybkości, pressingu i kontroli wyrażonej za pomocą posiadania piłki, a nie „przesuwania się” w zależności od tego, co zrobi rywal. Ale potem patrzą, jak reprezentacja Polski do lat 17 w niedawnym meczu z Francuzami na mistrzostwach Europy najpierw wychodzi w ultradefensywnym ustawieniu, a później ogranicza się do grania łagi i ostatecznie przegrywa 6:1. Jakie wnioski wyciągają na temat swoich karier i tego, co powinni mówić swoim podopiecznym?

Bądźmy sprawiedliwi: podcinanie skrzydeł, wmawianie polskiemu zawodnikowi, że tak naprawdę nie umieją grać w piłkę, nie jest wyłącznie domeną Czesława Michniewicza. Można by nawet powiedzieć, że obecny selekcjoner jest po prostu przedstawicielem kolejnego pokolenia, w którym doszło do zreprodukowania traumy.

Dziewięćdziesiąt procent racji Lewego

W najbliższych dniach dyskusja skupi się zapewne na tym, czy słowa Lewandowskiego o braku radości z gry odniosły równie piorunujący efekt, co jego słynne osiem sekund milczenia po pytaniu o plan Polski na spotkanie z Włochami jeszcze za kadencji trenera Brzęczka. Czy obecny prezes PZPN Cezary Kulesza zareaguje równie zdecydowanie jak wówczas jego poprzednik Zbigniew Boniek, który wymienił Brzęczka na wspomnianego Souśa? Teoretycznie ma swobodę manewru: w Katarze mówił, że „na 90 procent” w umowie z Michniewiczem, kończącej się po mistrzostwach świata, nie ma zapisu o jej automatycznym przedłużeniu w przypadku awansu do fazy pucharowej.



ANDRZEJ IWĄŃCZUK / REPORTER

„Szczęsnego szkoda”, mówiono po pierwszych meczach.

Lewandowskiego,
Zielińskiego też szkoda.

I tylu innych, którzy w fazie grupowej nie dostali szansy na pokazanie, że potrafią grać.

Jeszcze raz spróbujemy być sprawiedliwi: kiedy Sousa rzucił pracę z reprezentacją, pole manewru PZPN było ograniczone, a wybór Michniewicza – zrozumiały. A w ostatnich miesiącach obecny selekcjoner wypełnił wszystkie założone przez federację cele. Teraz jednak nie mamy do czynienia z sytuacją nadzwyczajną, tylko taką, która pozwala planować strategicznie. Szkoleniowców z wyższej półki, a zarazem takich, którzy znajdują się w możliwościach budżetu PZPN, w świecie dzisiejszego futbolu będzie naprawdę sporo. Ilu z nich potrafiłoby pojechać z Polakami na wielki turniej w przekonaniu, że jest to odpowiednie miejsce, żeby zagrać w piłkę? I ilu polskich piłkarzy i trenerów pracujących z młodzieżą, na poziomie „fundamentów”, wypatruje z utęsknieniem takiej postaci?

Co ciekawe: o tym, że reprezentacja potrafi lepiej grać w piłkę, Robert Lewandowski mówił również w atmosferze euforii po wywalczonym awansie na mundial – tylko nie był słuchany. A Michał Zachodny zwraca uwagę, że kapitan „dorosłej” drużyny narzekał również na zachowawczy styl prowadzonej przez Michniewicza młodzieżówki, z którą obecny selekcjoner awansował do mistrzostw Europy w 2019 r.: „Wskazywał, że skupianie się w młodszej kategorii wiekowej na

grze o wynik nie rozwija zawodników, którzy za chwilę będą chcieli wejść do seniorskiej reprezentacji”.

I to jest sedno sprawy. My, kibice, mamy rozbudzone aspiracje. Piłkarze, zwłaszcza ci świadomi upływającego czasu, mają oczekiwania i ambicje. A jest wśród nich także taki, który w futbolu oprócz sukcesu z reprezentacją osiągnął wszystko – i który nie tylko z racji kapitańskiej opaski zabiera głos w imieniu młodszych pokoleń. Zapewne to nie tak powinno wyglądać, że krytyczny wywiad gwiazdy ma siłę odwoływania selekcjonera. Ale przestrozę, że mentalność, zgodnie z którą „liczy się tylko wynik”, jest zabójcza dziś i będzie zabójcza w przyszłości dla dziewczyn i chłopaków, którzy dopiero śnią o występach z orzełkiem na piersi (o tym, jakie mają znaczenie nawet dla gwiazd, najczęściej mówią lży Lewandowskiego po gołu z Saudyjczykami), trzeba przyjąć.

Szkoda czasu. Czasu i talentów, które – skoro Michniewicz ma słabość do języka religijnego, odpowiedzmy mu tym samym – należy puszczać w obieg, a nie zakopywać pośrodku pola karnego. Nawet jeśli między słupkami w tym polu karnym stoi wspaniały Wojciech Szczęsny.

© © MICHAŁ OKOŃSKI

O mundialu piszemy na bieżąco na
tygodnikpowszechny.pl/mundial2022

STANISŁAW

Mancewicz: Kebab zabrany



NIEPOKOJĄCE WIEŚCI PŁYNĄ SZEROKIM STRUMIENIEM z Półwyspu Arabskiego. Jeśli ktoś teraz myśli, że odniesiemy się do aktywności naszych piłkarzy czy też piłkarzy w ogóle, ten się najzwyczajniej pomylił. Znaczenie ma coś ważniejszego, a są to

bardzo żywe emocje, ale znów – to ważne – nie abstrakcyjnego kibica, tylko Polaka pijącego i jedzącego.

No więc weźmy kilka tytułów znalezionych w internecie. Rzecz jasna, mamy na myśli polską odmianę tego mechanizmu. Są to treści bardzo wyraźnie wybijające, świadome bądź podświadome, działania chyba jednak antypolskie organizatorów trwających właśnie mistrzostw świata w futbolu. Przejdźmy do rzeczy i zacznijmy od tzw. bolączki głównej, która rzeczywiście „rozrywa serce”, by posłużyć się klasycznym już w polskich mediach określeniem-wskazówką, co oto powinien odczuwać czytelnik spożywający towar wyprodukowany przez dzisiejszego pracownika mediów. Oto przeczytaliśmy takiego newsa: „Ceny wódki w Katarze zwalają z nóg”. Zaiste w pierwszej chwili zachwialiśmy się w starczym przekonaniu, że nic nas już nie jest w stanie zaskoczyć. A tu proszę, tkwiące w tym zdaniu zaskoczenie nas zaskoczyło. Gdy złapaliśmy równowagę, gdy uspokoił się łomot serca, zadaliśmy sobie pytanie, pozornie rzeczowe: po co mieszkanie kraju picia rytualnego, niemal motywowanego religijnie, jedzie do kraju ludzi rytualnie niepijących z powodów religijnych? Kraju z surowym w tej kwestii prawodawstwem i, rzecz jasna, z klimatem do picia wódki raczej niedobrym. Żeby tam pić? Cierpieć? Żeby pójść do kicia? Żeby zwalić się z nóg na trzęswo? Tego nie wie nikt prócz Polaków. Ludzie! – chciałoby się zawołać – nie lepiej w domu siedzieć

i napić się przy choince? Z jedną żoną, ubraną po naszemu? Doprawdy, pytać można od rana do wieczora i nie otrzymać żadnej sensownej odpowiedzi. Tekst „Ceny wódki w Katarze zwalają z nóg” należy uznać za atak na logikę.

Idźmy dalej, robi się bowiem mocniej: „Polacy są zdumieni cenami kebabu w Katarze”. Próbuje teraz znaleźć pasującą parabolę do tej podszytej rozpaczą informacji. Potrzebne by było jakieś klęskowe, malownicze porównanie, ale jesteśmy bezradni. Polskie zdumienie cenami kebabu w Katarze nie potrzebuje dodatków, egzaltacji, tragizowania ani żadnych przymiotników, jest bowiem samo w sobie czymś szokującym. Próbuje jednak nie dać się emocjom i skaczącemu ciśnieniu. Weźmy sprawę chłodno i profesjonalnie, jak to w dziennikarstwie bywało za króla Cwiczka. A więc nie mamy wątpliwości, że pracownik mediów, który skonstruował to zdanie, musiał płakać. Albo mu się chciało. Bo oto narodowe polskie danie w Katarze, w odróżnieniu od Polski, nie jest jedzeniem na każdą kieszeń. Jest także uzurpacją, kulturowym rabunkiem, jest zaanektowaniem polskich wartości z typową semicką chęcią zysku. Nawiasem, tu wtętu dla słabych uczniów: tak, Arabowie są Semitami. No więc dramat. No więc krzywda. No więc rozpacz – to jakby cytaty z Dariusza Szpakowskiego. Interpretacja? Po co. Wszystko widać jak na dłoni. Kebab został nam zabrany. ZA-BRA-NY.

Jakby tego było mało. W katarskich sklepach „spożywką” pozostawia oczywiście „wiele do życzenia” – czytamy tu i ówdzie. Ceny cenami, to już wiemy, gdyż każdy może sobie obejrzeć „katarskie paragony grozy”, ale chodzi przecież o jakość i smak. O poczucie zagubienia i oderwania. Od kraju. Oto – czytamy – w tamtejszych sklepach jest „zupełnie inne jedzenie niż w Polsce”. Serio? Lekturze tych nowin musi towarzyszyć szok i niedowierzanie, są to już nieodłączne emocje podczas lektury polskich mediów. Jeżeli zaś chodzi o ich pracowników, posłanych w nieznane bez wsparcia psychologów i antydepresantów, trzeba by ich z Kataru ewakuować, najlepiej polskimi F-16 wysłanymi w alarmowej misji przez p. M. Błaszczaka. To by było piękne. Na razie, chyba, polecą zabrać tylko naszych piłkarzy. Tak czy owak, już teraz na granicy polsko-katarskiej można by postawić niemieckie patrioty.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ



BŁYSK, MAT, KOŁOR

Fotografia i Warszawa lat 90.



**MUZEUM
WARSZAWY**

wystawa 20.10.2022 — 19.02.2023

Rynek Starego Miasta 32 | muzeumwarszawy.pl



Patroni medialni:

POLITYKA

TOK

wyborcza.pl
WARSZAWA

Pismo.



SOS WIOSKI
DZIECIĘCE

Podaruj dzieciom ich pierwsze święta



Wiele dzieci opuszczonych i osieroconych dopiero w Wioskach SOS obchodzi pierwsze prawdziwe święta.

Przeznacz darowiznę i podaruj święta dzieciom.
Wejdź **www.dziecisos.org** lub zrób przelew na
numer konta: **07 1240 6247 1111 0000 4975 0683**

